

Lisa Jackson

**DAJ MI SZANSE,
TIFFANY**

*Mamie i Tacie
Jesteście najwspanialszi*

ROZDZIAŁ 1

To tu się zaszyła! J.D. Santini obrzucił krytycznym spojrzeniem duży dom z zapuszczonym ogrodem. W widocznym miejscu, blisko ulicy, wbito w ziemię tablicę z napisem „Mieszkania do wynajęcia”. Tiffany wybrała sobie na kryjówkę szarą drewnianą landarę w stylu kolonialnym, z wykuszowymi oknami, beżowymi okiennicami i ciemnym, fantazyjnie zdobionym dachem.

Istny cud architektury, pomyślał nie bez ironii J.D., co na niewiele się zdało, ponieważ nie zmniejszyło jego zdenerwowania. Ścisnął dłonie w pięści, przysięgając w duchu, że nie wywłaszczy jej z tego domu. A przynajmniej nie od razu. Zresztą, przecież przyjechał tu wyłącznie dla jej dobra i w jak najlepiej pojętym interesie dzieci. Tylko dlaczego czuł się przy tym jak ostatni łajdak?

- Psiakrew! - zaklął głośno, wyskakując z dżipa na palące lipcowe słońce. Fala upału typowego o tej porze roku dla południowego Oregonu, omal nie zwała go z nóg.

Był coraz bardziej zły. Napytał sobie kłopotów i to na własne życzenie. Zresztą, czego innego mógłby oczekiwać, wdając się w kłopoty z własnym ojcem?

Sięgnął na tylne siedzenie dżipa cherokee i wyciągnął bagaże, składające się z wysłużonego brezentowego wora oraz nesesera.

- Teraz albo nigdy - mruknął pod nosem.

Słowo „nigdy” zabrzmiało złowieszczo. Noga go wciąż bolała przy chodzeniu, a mimo to przerzucił worek przez ramię, ujął rączkę nesesera i energicznie ruszył w kierunku domu ceglana ścieżką, która aż prosiła się o położenie nowej zaprawy. Będąc już na ganku, starał się nie przyglądać zbyt dokładnie śladom zapuszczenia i rozkładu: obłazącym z farby framugom i zardzewiałym rynnom. Przekonywał się w duchu, że przecież nic go to nie obchodzi. Co było taką samą prawdą jak twierdzenie, że papież jest mahometaninem.

Obchodziło go absolutnie wszystko, co dotyczyło Tiffany, czy tego chciał, czy nie. Była wdową po jego rodzonym bracie, matką dwojga bratanków i jedyną na

świecie kobietą, o której nie umiał zapomnieć. Poza tym była osobą, z którą zawsze wiązały się kłopoty.

J.D. nacisnął dzwonek. Słuchał, jak delikatny, przytłumiony dźwięk rozlega się za drzwiami, i wyczekiwał, z trudem hamując niecierpliwość. Co miał jej powiedzieć? Że teraz to on jest właścicielem większej części tego starego domu, ponieważ jego starszy brat był niepoprawnym hazardzistą? Że najlepiej byłoby sprzedać posiadłość i kupić mniejsze, bardziej nowoczesne i wygodniejsze mieszkanie? Że dzieci powinny... No właśnie, co powinny dzieci? Znow się przeprowadzać? Żyć pod kuratelą, w cieniu klanu Santinich? J.D. zachnął się na tę myśl. On sam całymi latami walczył o niezależność i wyzwolenie od dusznej, przytłaczającej atmosfery panującej w rodzinie. Ale to nie to samo. W końcu był samodzielnym, bezdzielnym mężczyzną, co zasadniczo odróżniało go od Tiffany, Stephena i Christiny.

Czarny kot śmignął w cieniu rozrośniętych rododendronów i azalii. We wnętrzu rozległ się odgłos kroków i drzwi uchyliły się odrobinę.

- Kto tam? - Głos należał do chłopca.

- Stephen?

- Tak?

- To ja, twój stryj.

- Stryj?

- Tak, jestem J.D.

- Och. - Stephen mimowolnie westchnął, a jego śniada twarz zaróżowiła się z emocji. Otworzył szerzej drzwi i odsunął się, wpuszczając gościa do środka.

- Co ci się stało w nogę?

- Jechałem na motorze i próbowałem uniknąć spotkania pierwszego stopnia z rowerzystą.

- Tak? - Stephen uśmiechnął się na ten żarcik i oczy mu rozblęły.

J.D. pomyślał, że za parę lat z chłopca wyrośnie przystojny mężczyzna. Na razie przypominał szczeniaka, który ma za duże łapy i uszy. Już niedługo

zniknie dziecienny zarys szczęki, a rysy twarzy staną się męskie i proporcjonalne. J.D. dostrzegł w bratanku podobieństwo do samego siebie sprzed lat, z czasów młodości durnej i chmurnej, z lat trudnego dorastania.

- Masz własny motor? - Chłopak był wyraźnie zaintrygowany.

- Miałem. Teraz jest w warsztacie.

- Jaki?

- Harley.

- Super.

J.D. zdawał sobie sprawę, że harleyem bardziej zaimponował bratankowi, niż gdyby się przedstawił jako Rockefeller.

- Teraz nie wygląda super. Nie masz pojęcia, co jedno głupie drzewo może zrobić z maszyną.

Stephen uśmiechnął się krzywo. J.D. zauważył, że chłopak ma brudne i zmierzwiłone włosy, w jego oczach czai się niepokój, a mięśnie na karku tężeją, jakby miał za chwilę rzucić się do ucieczki.

- Jest mama?

- Ona... Nie, nie ma jej w tej chwili. - Stephen spuścił wzrok, wpatrując się uporczywie w kwietny wzór na chodniku zaścielającym schody na piętro.

- Mama jest w więzieniu - pisnął z góry cienki dziecięcy głosik. Buzia otoczona burzą czarnych loków wychynęła znad poręczy.

- Co?

- Zamknij się, Chrissie. - Stephen rzucił siostrze mordercze spojrzenie.

- O czym ona mówi? - J.D. ostro zwrócił się do chłopca.

- O niczym. Chrissie sama nie wie, co plecie.

- A właśnie, że wiem - oburzyła się dziewczynka.

- No dobra, to już powiem. Mama pojechała na policję.

- Po co?

- Nie wiem - wymamrotał Stephen. Było oczywiste, że kłamie. - Byłem zajęty pilnowaniem tej smarkuli.

- Nie jestem smarkula. - Christina z trudem gramoliła się po schodach na swoich krótkich nóżkach. Czarne pierścionki włosów podskakiwały przy każdym kroku. Zaciekawione oczy dziecka były szeroko otwarte.

- Sami tu jesteście? - spytał J.D.

- Jest Ellie. - Christina podreptała przez hol i przystanęła w wahadłowych drzwiach.

- Kto to jest Ellie? - J.D. zwrócił się do bratanka.

- Pani Ellingsworth. - Stephen niezręcznie przestępował z nogi na nogę. - Mieszka tu u nas na dole. Kiedy mama wychodzi do pracy, Ellie opiekuje się Chrissie.

- A co z tobą?

- Ja nie potrzebuję żadnej opieki - odparł chłopak, gwałtownie prostując plecy.

J.D. zdał sobie sprawę, że tą drogą daleko nie zajdzie. Postawił bagaże na podłodze.

- Czy możesz mi powiedzieć, kiedy mama wróci?

- Nie wiem. Myślę, że zaraz - burknął Stephen, ale chyba zawstydził się własnego niegrzecznego tonu, bo dodał po chwili: - Możesz tu poczekać... W saloniku albo w...

W tym momencie Christina wyszła z kuchni i podreptała do jednego z dwóch wąskich trójkątnych okienek umieszczonych po obu stronach drzwi.

- Mamuniuuu! - zwołała uszczęśliwiona. Nacisnęła kłamek i wybiegła na ganek.

J.D. odwrócił się i zobaczył Tiffany, która wyskoczyła z samochodu zaparkowanego na zacienionym podjeździe. Wysoka i szczupła kobieta z sięgającymi ramion czarnymi włosami, które okalały jej regularną twarz, była prawdziwą pięknoscią. Bez wątpienia należała do tych, na których męskie spojrzenia zatrzymują się na dłużej. „Ma wabik” zwykła mówić jego matka.

Tiffany upchnęła w wielkiej torbie plik papierów, po czym podniosła wzrok. Gdy zobaczyła biegnącą po ścieżce córeczkę, obdarzyła ją czułym uśmiechem,

który jednak natychmiast zamarł na widok J.D. Jej oczy były takie, jak zapamiętał: złotobrazowe. I niepokoiły go tak samo jak niegdyś. Tiffany spojrzała na niego wrogo i uniosła brodę. Na jej policzkach wykwitł nagle rumieniec.

- Cześć, skarbie - powitała Christine, unosząc ją w ramionach.

- Patrz, mamó. Mamy gościa.

- Widzę. - Tiffany wyprostowała się jak struna. Miała na sobie białą bluzkę bez rękawów, wciąż świeżą i wyprasowaną, która pięknie kontrastowała z jej opaloną skórą. Ruszyła w kierunku drzwi. W rozcięciach spódnicy koloru khaki migwały jej długie, umięśnione nogi.

Tak, to było to. Nic dziwnego, że jego rozwiedziony brat od pierwszego wejrzenia zakochał się jak młokos w Tiffany Nesbitt. Nic też dziwnego, że to samo przydarzyło się J.D. Niemal to samo.

- Mamó... Stephen odchrząknął, jakby miał trudności z wydobyciem głosu. - Mamó, stryj J.D. przyjechał.

- Widzę - powtórzyła Tiffany z niezadowoloną miną.

- Cześć, Jay.

- Cześć, Tiff.

- Zawsze miałeś znakomite wyczucie czasu - rzuciła z sarkazmem,

- Co się tu dzieje?

- Nic. Drobne nieporozumienia - odparła Tiffany i, trzymając na ręku córeczkę, weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi.

- Z policją?

- To był wydział do spraw nieletnich - sprecyzowała Tiffany, przeskakując wzrokiem ze szwagra na syna i z powrotem. Gość zrozumiał, że to nie czas i miejsce na drażnienie zapewne nieprzyjemnego tematu. Christina zaczęła się wiercić, więc Tiffany postawiła ją na podłodze. - Wiesz, J.D., że prędzej śmierci bym się spodziewała niż ciebie tutaj.

- Przepraszam, że cię nie uprzedziłem.

- To nie w twoim stylu - zauważyła spokojnie, jakby wcale jej to nie obchodziło. Jednak obrzuciła nieproszonego gościa gniewnym spojrzeniem.

- Nie - przyznał, bo zdawał sobie sprawę, że zasłużył na reprimendę.

- Spływam, mamó - wtrącił się Stephen, patrząc krzywo spod zmierzwionej, opadającej na oczy grzywy. - My z Samem idziemy popływać i na ryby.

- Ja i Sam. - Tiffany automatycznie poprawiła syna. - Miałeś siedzieć w domu. Przecież zawarliśmy umowę.

Stephen niepewnie potarł nos.

- Odrobiłem lekcje i zrobiłem wszystko, co mi kazałaś.

- To w lipcu jeszcze się tu chodzi do szkoły? - spytał zdziwiony J.D.

- To letnia szkoła. - Spojrzenie Tiffany nie złagodniało ani trochę.

- Głupia buda - dorzucił Stephen. - Mamó, naprawdę chciałbym popływać.

Tiffany spojrzała na zegarek. Widać było, jak zмага się ze sobą, żeby nie przeciągać sporu z synem. Na jej decyzji zaważyła obecność J.D.

- Zgoda, ale bądź tu o piątej.

- Ale mamó, przecież jest lato...

- Żadnych „ale”! O piątej albo nigdzie nie pójdziesz! - stwierdziła stanowczo.

Stephen najwyraźniej chciał się jeszcze targować, ale musiał przemyśleć sprawę, ponieważ zrezygnował. J.D gotów był się założyć o każde pieniądze, że bratanek nie wróci o wyznaczonej godzinie.

- Posprzątałeś pokój? Masz tam porządek?

- Jak dla mnie, jest O.K.

- Uważaj, Stephen...

- To mój pokój i mnie wystarczy taki porządek, jaki mam. - Chłopak już stał przy drzwiach z mocno podniszczoną deskorolką pod pachą. Z porysowanej powierzchni krzyczały kolorowe napisy. J.D. domyślał się, że to nazwy kultowych zespołów rockowych. - Na razie!

- Masz być o piątej, pamiętasz?

- Tak, tak.

Tiffany odprowadziła syna wzrokiem.

- Ach, te nastolatki - szepnęła.

J.D. z trudem ją usłyszał, wyławiając z jej głosu nutę niepokoju. Nie mógł winić Tiffany za surowość. Stephen musiał zostać wzięty w karby, i to radykalnie. Chłopak miał rogatą duszę i gdyby na wszystko mu pozwalać, za parę lat mogłoby być naprawdę źle. Tiffany westchnęła i pokiwała głową, jakby wciąż jeszcze nie dokończyła rozmowy z synem. Po chwili jednak zwróciła się do gościa:

- Chodźmy do kuchni. Ty też, Christina. - Tiffany szybko ruszyła korytarzem w stronę wahadłowych drzwi, które gwałtownie pchnęła. J.D. podniósł bagaże i poszedł za nią, cudem unikając uderzenia. Kuchnia znajdowała się na tyłach budynku i wyglądała jak reklama magazynu „Piękny dom”. Promienie słońca przenikały przez szyby, rozświetlając wnętrze złocistym blaskiem. Z belki u sufitu zwisały wypolerowane mosiężne oraz miedziane kociołki i patelnie, a ściany zdobiły pęki pachnących ziół, warkocze czosnku i sznury papryki. Na drzwiach dużej lodówki umieszczono wystawę dzieł plastycznych autorstwa trzyletniej artystki, notatki ku pamięci i ważniejsze numery telefonów. Słowem, czarująca domowa atmosfera.

Tiffany wzięła z parapetu buteleczkę aspiryny i wysypała na dłoń dwie tabletki.

- Boli cię głowa?

- Jak diabli. - Tiffany naląła sobie szklanekę wody i połknęła lekarstwo. - A teraz mów, z czym przyjechałeś, Jay.

J.D. postawił worek i neseser i oparł się o kredens. Znów ogarnęło go poczucie winy na myśl o akcie własności domu, schowanym na dnie nesesera. Choć miał za złe Tiffany Nesbitt Santini mnóstwo rzeczy, jednak wcale nie chciał pomnażać jej problemów.

- No, Jay, śmiało! Nietrudno się domyślić, że nie wybrałeś się w drogę tylko po to, żeby mi powiedzieć dzień dobry.

- Nie, ale rzeczywiście chciałem się z tobą spotkać.

- Ciekawe... czuję, że masz mi do powiedzenia coś takiego, czego wcale nie chcę słuchać.

W tym momencie przy drzwiach od ogrodu pojawiła się starsza pani w zbyt obszernych ogrodniczkach, słomianym kapeluszu i rękawicach ochronnych. Na nosie miała okulary słoneczne, a w dłoni bukiet róż.

- Wydawało mi się, że słyszę jakieś głosy - powiedziała, wchodząc. Zatrzymała się nagle na widok J.D. - Nie wiedziałam, kochanie, że masz gościa.

- Pani Roberta Ellingsworth, mój szwagier J.D. Santini - przedstawiła ich Tiffany.

- Miło mi panią poznać - powiedział J.D.

Kobieta energicznie wyciągnęła dłoń w uwalanej ziemią rękawicze, spostrzegła swój nietakt i wybuchnęła śmiechem.

- Mów mi Ellie, młodzieńcze, tak jak wszyscy. Weź kwiaty, Tiffany, przyniosłam je dla ciebie.

- Dzięki. Śliczne róże.

- Ja pomagałam! - oznajmiła z dumą Christina.

- Oczywiście, że pomagałaś, moje ty słoneczko. - Starsza pani zdjęła rękawiczkę i z czułością pogłaskała dziewczynkę po głowie. - Co ja bym bez ciebie zrobiła!

- A co ja bez ciebie - westchnęła Tiffany i powąchała róże. - Dziękuję, Ellie, że znów zajęłaś się dziećmi.

- Nie ma o czym mówić, kochanie, zawsze możesz na mnie liczyć.

- Napijesz się czegoś, Ellie? Mam mrożoną herbatę, ale może być i kawa - zaproponowała Tiffany.

- Nie teraz, wpadnę później - odparła starsza pani, ocierając wierzchem dłoni spocone czoło. Zsunęła z nosa ciemne okulary, żeby się lepiej przyjrzeć nieznanemu mężczyźnie, który tak niespodziewanie pojawił się w kuchni Tiffany. - Muszę się pospieszyć, bo zaraz rozpocznie się mój ulubiony serial.

- Czekał, niech zgadnę... - W oczach Tiffany zabłyśły wesołe iskierki. - Podły brat bliźniak porwał Dereka i uwięził go, żeby się pod niego podszyć i poślubić Samanthę.

- Ciepło, ciepło. - Ellie się roześmiała. - Zdradzę ci pewien sekret: w „Życiu na wulkanie” niczego nie można do końca przewidzieć. Przyjdę, jak się skończy, i wszystko ci opowiem. Do widzenia. Było miło cię poznać - zwróciła się na pożegnanie do J.D.

- Cała przyjemność po mojej stronie - zrewanżował się, demonstrując znajomość dobrych manier.

- Ellie jest absolutnie cudowna - powiedziała z ciepłym uśmiechem Tiffany po wyjściu starszej pani. - Opiekuje się dziećmi, kiedy jestem w pracy. - Nagle zdała sobie sprawę, że była przesadnie opryskliwa dla szwagra, zapytała więc uprzejmym tonem:

- Masz ochotę czegoś się napić?

J.D. potrząsnął przecząco głową.

- Jeśli nie kawa czy herbata, to może coś mocniejszego.

- Nie, dziękuję. Może później.

- Później? - spytała, mrużąc oczy ocienione długimi rzęsami. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że zamierzasz zostać na dłużej?

- Na trochę.

- To znaczy? - dopytywała się Tiffany, nie kryjąc niezadowolenia.

- Póki moja misja się nie zakończy.

- To brzmi dość zagadkowo - powiedziała, ustawiając róże na środku stołu i podziwiając swoje dzieło, Christina kręciła się koło kuchennych drzwi.

- Mogę porysować? - spytała.

- Świetny pomysł! - powiedziała jej matka. Wytarła mokre ręce i sięgnęła po leżące na parapecie pudełko kredek. Christina wykrzywiła buzię w podkówkę.

- Chcę rysować tam!

- Na dworze?

- Tak! Kredą!

- Proszę bardzo - zgodziła się Tiffany i otworzyła szufladę kredensu, która mieściła najrozmaitsze rzeczy - potrzebne i niepotrzebne. Christina uśmiechnęła się, biorąc z rąk matki pudełko kolorowej kredy. Wyszła przez drzwi prowadzące z kuchni do ogrodu i zabrała się za ozdabianie popękanego betonowego tarasu różnokolorowymi esami-floresami. Tiffany obserwowała ją przez chwilę w milczeniu, a gdy przekonała się, że wszystko w porządku, odwróciła się ku J.D. - A zatem, drogi szwagrze, komu lub czemu zawdzięczam twoją obecność? - spytała z ironią, po czym szybko uniosła dłoń, by tym gestem powstrzymać jego odpowiedź. - Poczekaj, niech zgadnę. Misja, powiadasz? Czyżby wysłała cię rodzinka, żebyś sprawdził, czy odpowiednio się prowadzę i właściwie wywiązuję ze swoich obowiązków? Chodzi przecież o dzieci Philipa.

Tiffany zawsze był bystra, J.D. musiał to przyznać. Przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę, ukrywając zakłopotanie.

- Przyjechałem w interesach - wyjaśnił enigmatycznie.

- Daj sobie spokój z tymi kłamstwami, Jay. W mojej kuchni na pewno nie ubijesz żadnego interesu. Mógłbyś się wysilić na bardziej wiarygodne wyjaśnienie.

Tiffany zbliżyła się do niego na tyle, że poczuł delikatny zapach jej perfum. Był to ten sam zapach. Dobrze zapamiętał. Nie dawał mu spokoju od ostatniego spotkania - trzymał wtedy Tiffany w objęciach i miał ją tak blisko siebie! Zaciśnął zęby i postanowił przejść do ataku.

- A może najpierw ty zechcesz mi wytłumaczyć, co, u licha, robiłaś w wydziale przestępczości nieletnich?

- Nie wydaje ci się, że nie powinienes wsadzać nosa w cudze sprawy?

- Na pewno cudze?

- Potrafię dać sobie radę z własnymi dziećmi - odparła z naciskiem. - Wszystko mi jedno, co o tym myśli klan Santinich. - Tiffany wyjrzała przez szybkę w kuchennych drzwiach, by sprawdzić, czy Christina nie usłyszy niczego z

rozmowy. Na wszelki wypadek zniżyła głos do szeptu. - Dobrze wiem, co twój ojciec wygadywał, kiedy dowiedział się, że Philip chce się ze mną ożenić. Próbował go odwieść od tej decyzji, przedstawiając mnie w jak najgorszym świetle jako naciągaczkę, dla której liczy się tylko konto przyszłego męża - dodała z oburzeniem.

Dobrze, że nie zna ani połowy inwektyw, jakimi obrzucał ją ojciec, pomyślał J.D. W tym momencie poczuł się winny za grzechy całej rodziny.

- Słyszałam, że ty też wywierałeś nacisk na Philipa, żeby się ze mną nie żenił, uważając to za gruby błąd z jego strony.

- Nie przeciągaj struny, Tiff - odparł J.D. Czuł, jak tężeją mu mięśnie na karku.

- Miałem uzasadnione powody.

- Ani jednego dobrego - wycedziła z wściekłością przez zaciśnięte zęby.

- Może nie były dobre, ale dla mnie istotne.

- Philip i ja byliśmy... udanym małżeństwem - powiedziała, z godnością unosząc brodę.

- Skoro tak uważasz...

- Oczywiście!

Powstrzymał się od nie przemyślanej riposty i spojrzał na Tiffany. Jak zwykle wyglądała nad wyraz urodziwie, a rozchylone usta i zarumienione z gniewu policzki tylko dodawały jej uroku. J.D. przekonał się, że nadal pożąda tej kobiety. Wzbudziła w nim namiętność od pierwszego wejrzenia i od lat to się nie zmieniło. Do diabła, ale parszywa sytuacja!

- Mogę usiąść? - spytał i nie czekając na odpowiedź, zajął jedno z krzeseł o wysokim oparciu, ustawione wraz z pozostałymi wokół starego stołu na lwich nogach.

- Rób, co chcesz - odparła Tiffany, przeczesła palcami włosy i zrobiła minę, jakby miała sobie za złe, że jest nazbyt ugodowa. - Jay, dlaczego mi wreszcie nie wyjawisz, co tak naprawdę cię tu sprowadza? Jeżeli kochana rodzinka nie przysłała cię na przespiegi, musi być inny powód. Ostatnim razem słyszałam,

że nie cierpisz ani mnie, ani tego miasta.

- To za mocno powiedziane - zaproponował, choć w duchu przyznał jej rację. Nie miał za grosz zaufania do Tiffany, a Bittersweet uważał za beznadziejne prowincjonalne miasteczko zamieszkane przez równie beznadziejny, szary motłoch. - Wspomniałem już, że przyjechałem w interesach.

- Do Bittersweet? - Machinalnie odgarnęła kruczoczarny kosmyk z policzka. - To mało prawdopodobne.

- Rozstałem się z firmą.

- Coś podobnego! Wydawało mi się, że jesteś współwłaścicielem.

- Byłem. Odsprzedałem swoje udziały.

- Tak? A dlaczego?

- Ojciec zaoferował mi pracę.

Tiffany roześmiała się z niedowierzaniem.

- Daj spokój. Tylko mi nie wmawiaj, że otrzymałeś propozycję nie do odrzucenia, Jay. Ale numer! J.D. w firmie Bracia Santini. Nie sądziłam, że dożyję czegoś podobnego.

- Ani ja - przyznał J.D. i dodał: - Ojciec wysłał mnie w interesach w te strony, pomyślałem więc, że wpadnę zobaczyć, jak wam się żyje.

- Od kiedy tak ci na nas zależy? - Tiffany zawsze stawiała sprawy jasno i była szczerą aż do granic dobrego wychowania. Postanowił grać wedle jej reguł.

- Od zawsze - rzekł.

Złotobrzazowe oczy Tiffany na moment pociemniały. Pochyliła głowę, zakłopotana.

- Czy powiesz mi teraz, co słychać u ciebie i dzieci?

- Już ci mówiłam. Radzimy sobie.

- Żadnych kłopotów?

- Żadnych takich, z którymi nie umiałabym sama sobie poradzić - odparła Tiffany, marząc tylko o jednym - żeby J.D. natychmiast zapadł się pod ziemię. Wyrzała przez okno, żeby sprawdzić, co robi Christina. - Możesz przekazać

swojemu tatusiowi, że u nas wszystko w porządku - dodała szybko, ale zaraz gestem unieważniła te słowa. - Nie, powiedz mu, że jest wprost fantastycznie i tylko ptasiego mleka nam brakuje.

Tiffany nigdy nie żyła w zgodzie z seniorem rodu, Carlem Santinim ani z jego żoną, a swoją teściową. Jako druga żona Philipa, w dodatku znacznie od niego młodsza, była przez Santinich uważana za smarkulę, która ma przewrócone w głowie, a zarazem oszustkę, której zależy tylko na tym, żeby się dostać do rodzinnego majątku. Zważywszy, gdzie w końcu wylądowała, z perspektywy czasu wszystko to wydawało się makabryczną, okrutną igraszką losu.

Nie miała zaufania także do J.D., nie wierzyła w szczerą jego intencję. Czy kiedykolwiek choć przez moment rzeczywiście mu na niej zależało? Tiffany była zła na siebie, że na jego widok mocniej zabiło jej serce. Przecież przyjechał do niej na przeszpiegi! Cóż z tego...Wciąż był męski, przystojny i pociągający. Zawsze jej się podobał, choć starała się tego nie okazywać.

- A może porozmawiamy o przestępczości nieletnich?

- To moja prywatna sprawa - burknęła, ściskając dłonie w pięści.

Uśmiechnął się. Był to uśmiech zarazem cyniczny i seksowny. Mógł robić wrażenie na innych kobietach, ale nie na Tiffany, jak sobie uparcie wmawiała. W końcu zna Jamesa Deana Santiniego zbyt wiele lat, żeby się dać nabrać. Parę razy w życiu zbyt mało miała się przed nim na baczności i za każdym razem popadała w tarapaty. To nie powinno się nigdy więcej powtórzyć.

- Zapomniałaś, że wciąż należysz do rodziny?

- Od kiedy?! - Gdyby wzrok mógł zabijać, J.D. już by nie żył. Tiffany zaczęła mu oskarżycielsko wygrażać palcem przed nosem. - Wasza rodzina nigdy mnie nie zaakceptowała. Przez czternaście lat małżeństwa z Philipem ani twój ojciec, ani matka nie uznali mnie za swoją.

Tiffany chciała dodać „ani ty”, ale ugryzła się w język. Za dużo nagromadziło się wzajemnych pretensji. Marzyła o tym, by mieć to, czego życie jej odmówiło - prawdziwą, dużą, kochającą rodzinę, z tatą, mamą i licznym rodzeństwem.

Poczuła ukłucie żalu w sercu. To marzenie nigdy się nie ziściło. W tym tygodniu jej ojciec - to znaczy biologiczny ojciec, człowiek, po którym odziedziczyła jedynie kod genetyczny - przysłał jej zaproszenia na ślub ze swą wieloletnią kochanką. Tiffany odwróciła głowę do okna i zaczęła obserwować, jak Christina baraszkuje z kotem. Widok córeczki zawsze poprawiał jej nastrój.

- W co się wpakował Stephen? - naciskał J.D. Tiffany zdążyła już zapomnieć, jakim upartym, irytująco dociekliwym człowiekiem potrafi być szwagier.

- To nic poważnego - próbowała go zbyć.

- To poważne na tyle, że musiałaś iść na policję.

Zbierając się do odpowiedzi, Tiffany w milczeniu policzyła do dziesięciu.

- Wiesz, J.D., że ostatnia rzecz, jakiej od ciebie oczekuję, to prawienie mi morałów. Nie wiem, po co się tu zjawieś, i dlaczego akurat teraz, ale chyba nie po to, żeby mnie dręczyć.

- Zadałem tylko proste pytanie - zachnął się.

- Nie zamydlisz mi oczu. Nic, do czego się bierzesz, nie jest proste ani przypadkowe.

- A czemu ty wciąż zmieniasz temat?

- Bo tobie nic do tego, mecenasie.

- Chłopak jest moim bratankiem.

- Do tej pory jakoś o tym nie pamiętałeś - powiedziała oskarżycielskim tonem.

- Ale teraz mnie to obchodzi - powtórzył z uporem, patrząc na nią przenikliwym wzrokiem. Nie zmienił się wiele, tyle tylko, że dawniej nie umiał tak długo usiedzieć w jednym miejscu. Roznosiła go energia. Teraz zaś spokojnie czekał.

- Jakiś miesiąc temu była pewna sprawa z alkoholem - rzuciła tę informację na odczepnego, bagatelizującym tonem.

- Ma dopiero trzynaście lat.

- Zgadza się, trzynaście. Ale prowodyrem był nie on, tylko starszy brat jednego z najbliższych kolegów. Tamten chłopak urządził imprezę. Zrobiło się głośno,

więc sąsiedzi zadzwonili na policję. Większości udało się uciec, ale kilku chłopców przyłapano. Choć Stephen nie pił, i tak wpadł po uszy. Wydział dla nieletnich przydzielił mu kuratora. To kobieta, właśnie z nią rozmawiałam pół godziny temu.

- I uważasz, że to nic poważnego?

- Stephen zostanie oczyszczony z zarzutów. - Tiffany starała się nie okazać zdenerwowania. Uważała, że J.D. nie ma prawa ani się wtrącać, ani jej krytykować.

- Oby tak było.

- To nastolatek, a nastolatki...

- To jeszcze prawie dziecko.

Tiffany zrobiła krok ku J.D., z trudem nad sobą panując.

- Przestań mnie osądzać. Nie ty! Nie pamiętasz, ile razy sam, jak byłeś w wieku Stephena, popadałeś w tarapaty? Z tego, co mi mówił Philip, było z ciebie ziółko.

J.D. zerwał się na równe nogi, syknął z bólu i pokuśtykał do okna.

- Co ci jest? - spytała Tiffany, zła, że ją to w ogóle obchodzi. J.D. Santini był ostatnią osobą na świecie, o którą powinna się troszczyć. - Masz kontuzję?

- Pozrywane ścięgna. Nic wielkiego.

- Kiedy się to stało?

- Parę miesięcy temu. Rozbiłem się na motorze.

- Och... nikt mi o tym nie powiedział.

- A niby po co?

- Do licha! Podobno należę do rodziny.

- Trochę leżałem w szpitalu, ale to naprawdę nie był poważny wypadek. Gdybym umarł, na pewno by cię zawiadomili.

- Przed czy po pogrzebie?

J.D. zirytował jej ironiczny ton. Zacisnął zęby.

- Jesteś niesprawiedliwa. Zachowujesz się, jakbyś była wyklęta przez

Santinich. A prawda jest taka, że to ty zerwałaś kontakty i zamieszkałaś tutaj, bo sama tego chciałaś.

Rzeczywiście tak było. Tiffany zrobiłaby wszystko, by wyrwać się z kręgu ludzi sobie nieprzyjaznych, mających do niej wieczne pretensje, pouczających ją, jak ma żyć i wychowywać dzieci, oskarżających ją niesprawiedliwie. Uczyniła to przy najbliższej okazji.

- Zostawmy ten temat - zaproponowała pojednawczo. - Co się stało, to się nie odstanie. Powiedz mi raczej, jakie plany mają Bracia Santini w związku z Bittersweet.

- Tata chce kupić ziemię w tej okolicy, z przeznaczeniem na winnicę.

- A ty jesteś jego przedstawicielem handlowym?

- Na to wygląda.

J.D. był otwarty i szczery, choć czasami szorstki. Rzadko się uśmiechał, ale za to potrafił przeniknąć człowieka na wylot swoim czujnym, inteligentnym spojrzeniem. Był wyjątkowo przystojnym mężczyzną o czarnych włosach i regularnych, jak wyrzeźbionych rysach, typem zdobywcy, który nie cofa się ani na krok i dostaje to, czego chce. Zawsze był niezależny, nigdy przedtem nie pracował dla swego ojca. Philip, starszy o jedenaście lat, często powtarzał, że J.D. to syn marnotrawny, który od dziecka postępuje wbrew ojcu. Co go tak radykalnie odmieniło? Jakim sposobem taki wolny ptak jak J.D. mógł się dogadać z władczy, upartym patriarchę, który prowadził rodzinną firmę żelazną ręką? Tiffany poczuła na czole kropelki potu. Nagle zrobiło się jej duszno. Otworzyła okno, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Wiesz, jesteś doprawdy ostatnim facetem, po którym można by się spodziewać, że zapomni o własnych ambicjach, podkuli ogon pod siebie i posłusznie da się uwiązać na smyczy tatusia.

- A wiesz, że życie nie zawsze układa się po naszej myśli? Nie zauważyłaś tego do tej pory? - zapytał nie bez ironii J.D., wpatrując się w Tiffany przenikliwym spojrzeniem szarych oczu.

Tiffany odwróciła wzrok. Kuchnia wydała jej się nagle mała i ciasna. Stała za blisko J.D., nie wiadomo kiedy nastrój stał się zbyt intymny.

- Och, mój Boże, to już prawie trzecia - oświadczyła, znacząco wpatrując się w tarczę zegarka. - Christinaaa! - zwołała głośno. Dziewczynka rysowała żółtą kredą po ścianie garażu. - Czas na drzemkę!

- Nie chcę spać! - krzyknęła mała księżniczka, upuszczając kredę na ziemię.

- Wybacz - rzuciła szwagrowi Tiffany, wybiegając przez kuchenne drzwi. Podmuch lekkiego wiatorku był zbawieniem dla jej spoconej twarzy i nagich ramion. Miała za sobą potworny, męczący tydzień zakończony piekłem na policji. Na dodatek John Cawthorne, ojciec, który przez trzydzieści trzy lata całkowicie ją ignorował, zaprasza na ślub. Niedoczekanie!

Kot Węgielek, wygrzewający się leniwie na słońcu, przeciągaj się, otrzepał i z wdziękiem wkroczył na ganek.

- Chodź tu, kochanie! - Idąc w stronę Christiny, Tiffany po drodze pozbierała z betonu kawałki kredy i włożyła je z powrotem do podniszczonego pudełka.

- Nie chcę spać!

- Chcesz, kochanie!

- Nie! Nie chcę! - Obrażona Christina protestowała z godnością, odymając wargi i krzyżując na piersi małe pulchne ramionka.

- Posłuchaj, Bubuś i Kubuś są już bardzo zmęczeni i czekają na ciebie w łóżeczku. Bardzo długo czekają. - Po tym argumentie Christina bez protestu dała się wziąć na ręce.

Fatalnie, że całą tę scenę obserwował przez okno J.D. Tiffany nie życzyła sobie, żeby ktokolwiek z rodziny Santinich wtrącał się w jej sprawy - ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości. Za życia Philipa klan uważał, że nie jest dla niego odpowiednią żoną, więc teraz przynajmniej z czystym sumieniem mogliby się odczepić i nareszcie dać jej spokój.

- Za chwilę wracam! - rzuciła zdyszana w stronę nieproszonego gościa, kierując się na piętro, do sypialni córki. Od stu lat, nie licząc dobudowanej

współcześnie łazienki, nic się nie zmieniło w architekturze tej części domu. Christina sypiała w niewielkiej alkowie, z okienkiem wychodzącym na sad owocowy na tyłach domu. Obok miał pokój Stephen, a Tiffany po przeciwnej stronie korytarza. Na parterze były dwa apartamenty zajęte przez lokatorów oraz trzeci - aktualnie pusty - na drugim piętrze. Wozownia, znajdująca się po przeciwnej stronie podwórza, także była przerobiona na apartamenty mieszkalne. Parter zamieszkiwali lokatorzy, pięterko było wciąż do wynajęcia.

- Idziemy lulu - szepnęła Tiffany do Christiny, otulając ją kołdrą ręcznej roboty, prezentem od babci. Po jednej stronie poduszki ułożyła pluszowego królika Bubusia, któremu brakowało jednego oka, po drugiej zaś zabawnego szopa Kubusia.

- Jeszcze nie - marudziła córka.

- Dobrze. - Tiffany pochyliła się nad łóżeczkiem i ucałowała spocone czółko. Christina przysłała na ten świat przed trzema laty, zupełnym przypadkiem. Philip i Tiffany już dawno zdecydowali, że jeden potomek, czyli Stephen, w zupełności im wystarczy. Tym bardziej że Philip miał dwójkę dorastających dzieci z pierwszego małżeństwa. Często przytaczał filozoficzną maksymę, iż nie należy mnożyć bytów nad potrzebę, zwłaszcza że alimenty kosztowały go fortunę.

Patrząc z miłością na córeczkę, Tiffany nie po raz pierwszy stwierdziła w duchu, że Bóg najwyraźniej był innego zdania. Mimo iż sama stosowała środki zabezpieczające, a Philip od lat raczej symbolicznie wypełniał małżeńskie obowiązki, Christina została poczęta, i był to cud. Albo przeznaczenie, jak powiedziała mężowi.

- Przekleństwo raczej - skomentował Philip. - Jak myślisz, na ile dzieci jeszcze mnie stać?

- Tylko na to jedno.

- Ukartowałaś to - stwierdził zrezygnowany. Był pewien, że specjalnie nie założyła diafragmy. Klótnie się przeciągały, a Philip objawiał swoje

niezadowolenie, włóczęc się po mieście lub spędzając coraz więcej godzin w biurze. Przez pół miesiąca nocował w służbówce, udając, że nie mieszka w domu, póki

Tiffany nie zażądała wyjaśnień.

- Ja chcę tego dziecka - powiedziała stanowczo - poza tym Stephen potrzebuje rodzeństwa.

- Już je ma.

- Przyrodni brat i siostra nie mieszkają razem z nami - zauważyła Tiffany, nie bacząc na jawną irytację męża. - Słuchaj, Philip, nie planowałam tego dziecka, ale skoro jestem w ciąży, uważam, że powinnam je urodzić, i cieszę się na to. Ty też powinieneś.

- Jestem za stary, żeby znów być ojcem.

- Ale ja jestem wystarczająco młoda, żeby być matką. Wszystko się ułoży - przekonywała go. Bardzo pragnęła tego dziecka. - Sama się wszystkim zajmę.

Odpowiedzią był cichy zrezygnowany pomruk i szelest gazety, otworzonej na dziale sportowym. Philip usadowił się w fotelu i zagłębił w lekturę. Mimo że Tiffany zabolęła obojętnością męża, postanowiła nieodwołalnie urodzić dziecko i otoczyć je miłością. W końcu zresztą nawet Philip pogodził się z perspektywą pieluch i nocnego karmienia. Pewnego dnia przyszedł do domu z wielkim bukietem wiosennych kwiatów i oświadczył, że drugie dziecko, choć nie planowane, jest z pewnością darem losu, który podtrzyma ich nadwątlone małżeństwo.

- Albo nagle odmłodnieję, albo błyskawicznie stetryczeję - spuenteował z humorem.

Tiffany z żalem wspominała mężczyznę, którego kochała, albo przynajmniej kiedyś sądziła, że kocha. Christina ziewnęła, przeciągnęła się rozkosznie, a jej powieki z wolna opadły. Tiffany na palcach wyszła z pokoju i wróciła do kuchni.

J.D. czekał tam na nią, a na jego twarzy malowało się dobitne postanowienie.

- Masz tu wolny apartament, jak widzę.
- W tej chwili tak, ale pewnie niedługo znajdę lokatora.

J.D. uśmiechnął się przebiegle, zadowolony z siebie.

- No cóż, pani Santini, koniec końców to pani szczęśliwy dzień... - Na te słowa Tiffany zeszywniała. Chyba nie miał zamiaru... - Tak, zgadłaś - powiedział, w mgnieniu oka odczytując jej myśli. - Nie mam gdzie mieszkać, więc równie dobrze mogę zostać tutaj na czas pobytu w mieście.

Tiffany wiedziała, że nie wolno jej do tego dopuścić. Nie chciała mieć go tak blisko, pod własnym dachem. Obecność J.D. oznaczała komplikacje, a ona ich sobie nie życzyła.

- Wybacz mi, Jay, ale nie wynajmuję mieszkań na tydzień ani nawet z miesiąca na miesiąc. Minimalny okres wynajmu to pół roku, przy czym zawsze żądam od lokatorów równowartości dwumiesięcznego czynszu i wadium na poczet ewentualnych zniszczeń.

- Naprawdę? - W szarych oczach J.D. zabłyśły kpiące iskierki.

- Oczywiście.

- No to świetnie. - Z wyraźną satysfakcją odpowiedział wyzwaniem na wyzwanie. - Poproszę o dokumenty do podpisu.

ROZDZIAŁ 2

To szaleństwo - mruknęła pod nosem Tiffany, wdrapując się na drugie piętro.

J.D. szedł za nią, dźwigając worek i neseser. Niesprawna noga nie ułatwiała mu pokonywania stromych schodów.

- Nie do końca - zaproponował, gdy dotarli na miejsce. Westchnął z ulgą i rzucił bagaże na pasiasty materac, leżący na staroświeckim łożu z mosiężnym zagłówkiem.

Tiffany zauważyła, że kąciki ust pobieleły mu z wysiłku. Uwolniony od ciężaru, pokuśtykał do balkonowego okna i wyjrzał na podwórze.

- Bardziej odpowiedni byłby dla ciebie lokal na parterze - zauważyła.

- Naprawdę? To miło, że się o mnie troszczysz - odparł drwiąco, odgarniając włosy z czoła.

- Po prostu stwierdzam fakt. A swoją drogą, po co ci mieszkanie w Bittersweet, tej, twoim zdaniem, zapadłej dziurze?

- Wspominałem ci już o winnicy...

- Owszem, ale wciąż nie rozumiem, po co kupować ziemię akurat tutaj. Dlaczego nie w Kalifornii?

- Ojciec chciałby mieć stałe przedstawicielstwo w Oregonie.

- Jest mnóstwo winnic w Willamette Valley, znacznie bliżej Portland - stwierdziła Tiffany, rozważając w duchu, w jakim stopniu obecność Santinich właśnie tutaj, w jej rodzinnym mieście, wpłynie na życie jej i dzieci. Nie miała wątpliwości co do tego, że nie zechcą zostawić jej w spokoju. Przeprowadziła się do starej rezydencji, którą Philip traktował tylko jako lokatę kapitału, licząc na to, że uczyni z niej swój azyl, że z dala od ludzi z czasem zapomni o traumatycznych przeżyciach, o bólu i poczuciu winy.

- Ojciec uważa, że tutejszy klimat wyjątkowo sprzyja uprawom winorośli. Na północy stanu założył już winnice i...

- Wiem przecież - wpadła mu w słowo, pamiętając aż za dobrze łagodne wzgórza winnic należących do rodziny Santinich.

- Tak jak ci mówiłem, na razie badam teren.

- A przy okazji badasz, jak się sprawuję jako matka dzieci Philipa, potomków waszego klanu - skandowała poirytowana Tiffany.

Odkąd pamiętała, stary Carlo Santini traktował ją jak intruza i osobę z gruntu podejrzaną. Wbił sobie do głowy, że omotała jego syna, ponieważ chciała zawładnąć jego pieniędzmi. Santini nie mogli pojąć, że gdy poznała Philipa, zainteresowała się nim nie dla majątku, ale z powodu jego osobistego czaru, kultury, wykształcenia i staroświeckiej adoracji, jaką umiał jej okazać. Była młodziutka, ufna, a przy tym impulsywna... Była, bo już taka nie jest. Zbyt dużo przeszła, by zachować świeżość spojrzenia młodej dziewczyny i jej naiwność. A

co do stanu konta Philipa, to w praktyce okazało się, że wcale nie jest ono takie pokaźne.

- Nikt z nas nie uważał i nie uważa, że jesteś złą matką - powiedział J.D. i otworzył drzwi balkonowe. Podmuch wiatru wniósł do pokoju orzeźwiający zapach kwiatów i świeżo ściętej trawy.

- Złą matką nie. Tylko beznadziejną żoną.

J.D. nie podjął wyzwania.

- Wiem, co sądzi o mnie twoja rodzina - ciągnęła Tiffany rozgoryczonym tonem. Stare urazy nie dawały jej spokoju. - Nieraz słyszałam, że wybrałam dużo starszego męża nie tylko ze względu na jego pieniądze, ale także dlatego, że dorastałam bez ojca.

- A co ty o tym sądzisz?

- Ja wiem swoje. Pokochałam twojego brata, po prostu. Wierz mi, to się ludziom zdarza, i wtedy, gdy w grę wchodzi uczucie, inne sprawy, jak na przykład różnica wieku, przestają mieć znaczenie. A poza tym, on nie żyje i nikomu nic do tego.

Tiffany pochyliła się i starannie starła smugę kurzu z szafki przy łóżku. Chciała ukryć twarz, w której zazwyczaj można było czytać jak w otwartej księdze. Wołała, żeby J.D. nie dostrzegł, jak bardzo nadal ją oburzają podłe, niczym nie usprawiedliwione opinie Santinich. Szczególnie teraz, kiedy efekty jej własnych wysiłków wychowawczych stanęły pod znakiem zapytania.

- Nie musisz się tłumaczyć.

- Nie?! - wykrzyknęła, niezdolna już dłużej hamować emocji. - To po diabła przyjechałeś do Bittersweet? Nie próbuj dłużej mydlić mi oczu bajeczkami o winnicy, dobra? Koło granicy z Oregonem znajdziesz z tuzin takich samych dziur jak ta, a drugie tyle w Kalifornii. Muszę naprawdę mieć pecha, że akurat tutaj cię przyniosło!

Tiffany zamilkła, uświadamiając sobie, że J.D. wpatruje się w nią uważnie z nie ukrywanym politowaniem. W każdym razie tak to odebrała. Obronnym

gestem skrzyżowała ramiona na piersiach. Znowu to samo. Za każdym razem, gdy znalazła się w towarzystwie J.D., traciła kontrolę nad swoim zachowaniem; zwykle spokojna i opanowana wybuchwała gniewem lub w najlepszym wypadku wygłaszała pod adresem szwagra złościwości.

- Słuchaj, J.D., to nonsens, żebyś wynajmował u mnie takie małe mieszkanie - powiedziała w miarę obojętnym tonem, ogarniając gestem niewielką przestrzeń.

Miejsca w pokoju starczało tylko na łóżko, biurko, stolik, małą kanapkę i telewizor. Kuchnia z trudem mieściła dwupalnikową płytę do gotowania, małą lodówkę i zlew. Łazienka była zdecydowanie niewielka; znajdowały się w niej prysznic, sedes i umywalka.

- Jak dla mnie, wystarczy - rzekł lakonicznie. Jego miękka, południowa wymowa zirytowała Tiffany.

- Mam nadzieję, że nie zostaniesz na dłużej?

J.D. nie odpowiedział od razu.

- A gdybym chciał zostać dla ciebie?

- Na razie nie masz po co - wykrztusiła z trudem, zmieszana. Momentalnie pożałowała tych słów, ponieważ J.D. spytał:

- A mogę mieć?

- Nie! - wykrzyknęła, i zaczerwieniła się mocno. - O... oczywiście, że nie. Chyba że chcesz...

- Chcę.

Stał zbyt blisko. Tiffany przebiegł dreszcz.

- Skoro tak, to czuj się jak u siebie w domu.

- Dzięki, nie omieszkam.

Tiffany nie zamierzała ciągnąć tej krępującej, pełnej podtekstów rozmowy. Odwróciła się na pięcie i zbiegła po schodach. Miała masę pracy i mnóstwo problemów. Doprawdy nie potrzebowała ich więcej, a przyjazd przedstawiciela klanu Santinich mógł oznaczać dla niej tylko jedno: dodatkowe komplikacje, całkowicie zbędne w sytuacji, w jakiej tkwiła od czasu śmierci męża.

Przestraszyła się, że pobyt J.D. pod jej dachem zniweczy z takim mozołem odzyskany spokój. I tak ostatnio wyniknęły kłopoty ze Stephenem. No cóż, zaczął się w jego życiu okres dojrzewania i hormony dały o sobie znać. Z pewnością obecność ojca pomogłaby chłopcu przetrwać ten trudny czas. Niestety, zabrała go śmierć i Tiffany musiała polegać wyłącznie na swoim instynkcie macierzyńskim. Jakby tego nie było dość, po latach objawił się jej biologiczny ojciec, co było dla niej szokiem, ponieważ matka zawsze utrzymywała, że on nie żyje. Tymczasem John Cawthorne był zdrow i pełen wigoru, a ponadto teraz na siłę usiłował odzyskać córkę, o której nie raczył pamiętać przez lata. W dodatku jego starania popierały dwie przyrodnie siostry Tiffany, których dotąd nie znała i wcale nie pragnęła bliżej poznać.

- Wspaniale, nie ma co - mruknęła do siebie, zaglądając po drodze do pokoju Christiny, aby się upewnić, że córeczka śpi spokojnie. - Po prostu fantastycznie.

Obecność J.D. była jej zdecydowanie nie na rękę. Szczerze kochała Philipa, ale od początku, od kiedy znalazła się w rodzinie Santinich, była świadoma, że sympatia okazywana jej przez brata męża ma dwuznaczny podtekst. To ją krępowało, zwłaszcza że i ona w towarzystwie J.D. zachowywała się inaczej niż zwykle; jej stosunek do brata męża też nie był jednoznaczny.

- Nie chwytam - powiedział Stephen, kładąc deskę na ganku od strony kuchni. Sprzęt był mocno zniszczony i odrapany - napisy reklamujące Nirvanę i Metallicę niemal zatarte, a kółka zjechane i nie tak krągłe jak kiedyś. Wszedł do kuchni, gdzie jego matka próbowała jednocześnie przygotować kolację i doprowadzić do ładu domowe rachunki.

- Po co on tu przyjechał?

- Ponoć w interesach.

Stephen wytarł spocone dłonie o spodnie i odgarnął włosy z czoła.

- Nie podoba mi się to wszystko.

Mnie też nie, potwierdziła w myślach Tiffany, ale, by nie niepokoić syna,

głośno powiedziała:

- Nie będzie nam przeszkadzał.

Z wolna zapadał zmrok. Tiffany schowała książeczkę czekową i rachunki, zniechęcona stanem swoich finansów. Permanentnie brakowało jej pieniędzy. Niezbyt wysoka pensja i stale zmieniające się wpływy z czynszu od lokatorów wynajmujących mieszkania nie wystarczały na pokrycie niezbędnych wydatków na utrzymanie rodziny. A do tego dochodziły koszty związane z zachowaniem domu w miarę przyzwoitym stanie.

- No i dobrze - mruknął Stephen, zaglądając do garnka z sosem barbecue, który perkotał na kuchni.

Mimo zapadającej nocy wciąż było gorąco. Wspaniale ubarwiony koliber w poszukiwaniu nektaru przyleciał w pobliże domu, do kwiatów klematisu, oplatającego kuchenną werandę, a dzięcioł zapamiętałe stukał w pień starego dębu. Od ulicy dobiegał stłumiony szum przejeżdżających aut.

- Przyjdzie na kolację?

- Nie sądzę.

- To i dobrze.

- Nie mów tak, przecież to twój bliski krewny, rodzony brat twojego ojca - upomniała syna Tiffany.

A mój szwagier, dodała w duchu, czy mi się to podoba, czy, nie. J.D. podpisał umowę najmu aż na pół roku, wręczył jej czek i pokuśtykał do samochodu po resztę swego dobytku. Kontuzja wciąż była widoczna i Tiffany zastanawiała się, czy właśnie otarcie się o śmierć skłoniło go do pojednania z ojcem. A może Carlo namówił go do tego po śmierci starszego syna? Serce jej się ścisnęło na wspomnienie koszmarnego wypadku, na skutek którego utraciła Philipa. Od tamtego pamiętnego tragicznego wydarzenia nie opuszczało jej przytłaczające poczucie winy. To ono łączyło ją z nieżyjącym mężem. Owszem, kochała Philipa, ale to uczucie już należało do przeszłości, która dla niej była zamkniętym rozdziałem.

- Czemu cię dziś wezwali na rozmowę do kuratorki? - zapytał Stephen sztucznie obojętnym tonem. Nerwowo pocierał łokieć. Był to tik, który pozostał mu z dzieciństwa.

- Chciała mnie bliżej poznać.

Za drzwiami prowadzącymi na werandę miauknął kot.

- Chodź, głodomorze! - zawołała z uśmiechem Tiffany. Zauważyła, że listwa na drzwiach jest coraz bardziej obłuzowana. Kolejna rzecz w domu wymagająca naprawy. Węgielek z gracją wszedł do kuchni.

- Domyślam się, mamó. - Stephen drążył temat. - Czy możesz mi powiedzieć, o co cię pytała?

Tiffany uznała, że właśnie nadszedł odpowiedni moment na szczerą rozmowę. Od dawna czekała na taką okazję.

- Zaczęła od pytań o ciebie - no wiesz, czy się uczysz i czy wszystko u nas w porządku.

- Przecież wczoraj sam u niej byłem.

- Wiem, ale chciała pewne rzeczy uściślić. Ona martwi się o ciebie, Stephen. Ja zresztą też.

- Niepotrzebnie, wszystko jest w porządku.

Gdybyż to była prawda. Bóg jeden wie, jak bardzo Tiffany chciała zaufać synowi.

- Pytała o twoją znajomość z panem Wellsem.

Stephen znieruchomiał z kłosem winogron w ręku, po czym wypluł pestkę do zlewu.

- Wielkie halo. Pracowałem trochę u niego.

- Od pani kurator dowiedziałam się, że policja uważa, iż wiesz coś na temat zniknięcia pana Wellsa, ale nie chcesz nic powiedzieć.

Tiffany uznała podejrzenia policji za absurdalne, co mocno podkreśliła w rozmowie z kuratorką. Isaac Wells zniknął bez śladu ponad miesiąc temu i do tej pory się nie odnalazł. Śledztwo prowadzone przez miejscową policję nie

przyniosło rozwiązania zagadki. Starszy pan po prostu się zdematerializował. Tiffany nie miała wątpliwości, że jej syn nie mógłby być zamieszany w nic poważnego. Nastęczał pewnych trudności wychowawczych charakterystycznych dla wieku dojrzewania, i to wszystko. Zamierzała jednak wyjaśnić sprawę do końca.

- Nic nie wiem - burknął Stephen.

- Okazało się, ale pewna osoba, zastrzegająca sobie anonimowość, zeznała, że widziała cię w pobliżu domu Wellsa tego dnia, kiedy zniknął.

- Ktoś mnie widział? - spytał poblady nagle chłopiec. Tiffany ogarnął niepokój.

- Tak twierdzi policja.

- Ta osoba kłamie. Nie było mnie tam.

- Na pewno?

- Nie wierzysz mi?! - wykrzyknął Stephen i nerwowo oblizał wargi.

- Oczywiście, że ci wierzę, ale...

- Ale co? - przerwał.

- Ty przedstawiasz swoją wersję, a tamta osoba swoją.

- Kto to jest?

- Naprawdę nie wiem. Musisz przyznać, że od dawna ciągnęło cię na farmę starego Isaaca.

- Tak. Podobały mi się jego stare samochody, i tyle. Mamo, chyba nie myślisz, że miałem coś wspólnego z jego zniknięciem?

- Oczywiście, że nie, ale wiem, że wcześniej zachodziłeś do pana Wellsa.

- Mamo, mogę się przyznać, że raz przejechałem się bez pozwolenia jego szewroletem, ale to wszystko. Nie chciałem niczego ukraść, przysięgam. Nigdy bym czegoś podobnego nie zrobił. - Twarz chłopca była biała jak płótno. Przełknął głośno ślinę, aż jabłko Adama poruszyło mu się na szyi. - To znaczy... ja nigdy... O Boże, mamo, o co ty mnie podejrzewasz?

- Wiem, że nie zrobiłeś krzywdy panu Wellsowi, nie byłbyś do tego zdolny -

powiedziała impulsywnie. Czowała skruchę i współczuła synowi. - Kochanie, zapewniam cię, że nie podejrzewam cię o nic złego. - Wyciągnęła rękę, by uściskać Stephena, ale on się uchylił. - Ja tylko... - Chłopiec popatrzył jej prosto w twarz swymi pięknymi oczami, które pokochała od momentu jego narodzin. Tiffany czuła się okropnie. - Synku, kocham cię i wierzę, że mówisz prawdę. Chcę się tylko dowiedzieć, co robiłeś tamtego dnia, gdy przyłapał cię pan Wells. I dlaczego w tej sprawie skłamałeś.

Z chmurnych oczu chłopca wyzierał gniew.

- Ale ja nie...

- Uważaj, nie brnij dalej w kłamstwa.

Stephen odwrócił wzrok. Wyrzwał przez okno, jakby tam, na zewnątrz szukał pomocy w trudnej sytuacji, w jakiej się znalazł. Młodzieńcze, kanciaste ramiona ugięły się, jakby ktoś włożył na nie ciężar.

- Tamtego dnia przejechałem się samochodem Wellsa z nudów. No i dlatego, że się założyłem.

- Założyłeś się?

- Miles Dean mnie wyzwiał. Chyba go znasz?

A jakże. Jak mogłaby zapomnieć Milesa Deana, chłopaka o parę lat starszego od Stephena, który od początku sprowadzał jej syna na złą drogę.

- Nie kłamałem. Wells mnie przyłapał i musiałem odpracować ten zakład. I tyle. Przecież ci już o tym mówiłem.

- A co masz mi do powiedzenia na temat tego dnia, kiedy po raz ostatni widziano Isaaca Wellsa?

Stephen znów przełknął ślinę, jakby miał w gardle dławiacą gulę.

- No dobrze, powiem ci. Tamtego dnia byłem na farmie ostatni raz. Znowu się założyłem.

- O Boże, Stephen, nie!

- Ale to prawda - stwierdził, wciskając obie dłonie do kieszeni mocno już przetartych dzinsów. - Kilku chłopaków wiedziało, że orientuję się, gdzie Wells

trzyma klucze do szopy, w której stoją stare samochody. No więc...

- No więc co? - ponagliła go Tiffany, dziwiąc się, że tak długo i uparcie dochowywał tajemnicy.

- Założyłem się z Milesem Deanem, że zdobędę te klucze.

- Znowu? Po co Miles się zakładał?

- Nie wiem. Może chciał się przejechać? Podobał mu się buick... No, ale właśnie tego dnia stary się ulotnił.

Tiffany z wrażenia zaschło w gardle. Bała się pytać dalej, ale musiała doprowadzić wyjaśnienie sprawy do końca.

- No i co?

- Pytasz, czy zdobyłem klucze? Nie! Nie udało mi się. Wdrapałem się na płot i już miałem zamiar zakraść się do szopy, kiedy przypadkiem się odwróciłem. Na ganku siedział w bujanym fotelu pan Wells ze strzelbą i patrzył prosto na mnie.

- Stephen zaczerpnął powietrza. - To było niesamowite, mamó. Mówię ci, okropne. No więc... uciekłem. - Spojrzał w dół i zaczerwienił się. - Bałem się jak diabli, więc wziąłem nogi za pas. Miles był wściekły. Groził, że stłucze mnie na kwaśne jabłko.

- Dlatego bałeś się o tym mówić?

Skinął głową w milczeniu, a w oczach zaszklily mu się łzy.

- Och, synku... - Tiffany pragnęła go objąć i przytulić, ale nie miała odwagi. Spojrzenie, jakie jej rzucił, nakazywało trzymać matczyne uczucia na wodzy. - I od tamtej pory już nie widziałeś Wellsa?

- Chyba nikt go nie widział - wyszeptał Stephen. Jego cichy głos ledwo było słychać.

- Dlaczego nie opowiedziałeś o tym policjantom?

- Bo się bałem.

- Ja się też boję - wyznała Tiffany. Postukała drewnianą łyżką o brzeg garnka. Wierzyła Stephenowi, ale miała pretensję, że nie powiedział jej o wszystkim wcześniej, że nie miał na tyle zaufania do własnej matki, by podzielić się z nią

kłopotami. Zabrzęczał minutnik, przypominając, że trzeba sprawdzić węgiel drzewny przygotowany do grilla.

- Mamo! - Z korytarza dobiegło wołanie Christiny. Wkrótce i ona sama pojawiła się w drzwiach, ciągnąc za sobą kocyk.

- No i proszę, patrzcie państwo, kto tu do nas przyszedł! - Tiffany uniosła córeczkę z podłogi i cmoknęła w czoło. - Wyspała się dzidzia?

- Tak! - zamruczała Christina i oparła ciężką od snu głowę na ramieniu matki.

- Gęgul Śpioch! - roześmiał się Stephen i wziął ze stołu kolejną kiść winogron.

- Nie jestem Gęgul Śpioch! - zaprotestowała dziewczynka.

- Nie kłóćcie się. Oczywiście, że nie jesteś, kochanie. - Tiffany rzuciła synowi ostrzegawcze spojrzenie. - On się tak tylko z tobą droczy.

- On jest wielki...bałwan! - powiedziała mała.

- Ho, ho, ho - drażnił się z siostrą Stephen. - Powiedz, Chrissie, kto jest bałwan?

- Uspokójcie się wreszcie - zwróciła się do dzieci Tiffany. - Zjedz trochę winogron, mój skarbie, a ja upiekę kurczaki.

- Nie lubię winogron!

Stephen wypluł kolejną pestkę do zlewu.

- Patrz, mamuniu, ale świnka. Ciebie też nie lubię, bałwanie!

- Christina, przestań przezywać brata, a ty, Stephen, wstydz się! Taki stary koń, a dokucza zaspanemu dziecku. Chciałam zauważyć, że ty też często wstajesz z łóżka lewą nogą.

- Niech idzie spać! - rozkazującym tonem powiedziała Christina.

- Ja nie śpię w dzień, bo jestem dorosły.

- Skoro tak, to nakryj do stołu - zarządziła Tiffany. Chłopak niechętnie zabrał się do roboty, mamrocząc coś pod nosem o babskich zajęciach.

- Dlaczego nie możemy iść na wesele? - spytał Stephen, kładąc na stół trzy plecione podkładki pod talerze. Potem sięgnął do kredensu po szklanki. Tiffany usłyszała kroki na werandzie i wyjrzała. Był to J.D. Przebywanie z nim pod

jednym dachem nie będzie ani łatwe, ani przyjemne, pomyślała.

- Jakie wesele?

- No, dziadka.

W tym momencie J.D. wszedł do kuchni.

- O jakim weselu mówicie? Twój dziadkowie są małżeństwem od pięćdziesięciu lat, Stephen.

- Nie miał na myśli Santinich - wyjaśniła Tiffany, marząc o zmianie tematu, choć i tak prędzej czy później J.D. dowiedziałby się o wszystkim. W takiej miejscinie jak Bittersweet plotki rozchodziły się z prędkością światła. - Mój ojciec bierze ślub w niedzielę.

- Twój ojciec? No, no - gwizdnął cicho. - Wydawało mi się, że nie żyje... W każdym razie nie było go dotąd w polu widzenia.

- Pojawił się, jak widzisz, i to z hukiem - westchnęła Tiffany. Wyjęła z lodówki miskę z kawałkami kurczaka przygotowanymi do grillowania. Wyszła na werandę i zaczęła je układać na drucianej kratownicy. Mięso zaskwierczało na ogniu. - Stephen, przynieś sos i drewnianą łyżkę - rzuciła, nie odwracając się.

Garnek i łyżkę podał jej jednak J.D. i poprosił:

- Opowiedz mi o swoim ojcu.

Tiffany zawahała się. Zaczęła polewać gorące porcje. Nie zamierzała wtajemniczać szwagra we własne rodzinne sprawy, ale najwyraźniej nie pozostawił jej wyboru.

- To długa historia - powiedziała wymijająco, po czym dodała: - W każdym razie moim ojcem jest John Cawthorne, który ma się dobrze wbrew temu, co zawsze słyszałam od matki. Twierdziła, że ojciec nie żyje.

- Dlaczego?

- Najwidoczniej uważała, że tak będzie dla mnie lepiej. Gdybym wiedziała, że mój ojciec żyje, oczekiwałabym, że się mną zainteresuje - odwiedzi, zabierze na wakacje, pomoże. Ponieważ tak by się nie stało, martwiłabym się i nabawiła kompleksów. Matka najwyraźniej chciała mnie oszczędzić - dokończyła cicho,

aby nie dosłyszały jej dzieci przekomarzające się w kuchni.

- Cawthorne... - powtórzył J.D. w zamyśleniu. Zdawało mu się, że słyszał już wcześniej to nazwisko.

- To znana tutejsza osobistość. Hodowca, potem handlarz nieruchomościami, a w końcu biznesmen. Był żonaty. Miał jedną córkę, to znaczy jedną z prawego ł... - Tiffany urwała nagle, gdyż zauważyła, że dzieci podsłuchują. Po krótkiej chwili spytała głośno: - A może zjesz z nami? - Była to ostatnia rzecz, na jaką ona sama miała ochotę, a w dodatku zauważyła, że Stephen za plecami stryja przewraca oczami i robi miny.

- Dziękuję, innym razem - potrząsnął głową J.D. - Przyszedłem, żeby cię jeszcze o coś prosić. Czy mogę korzystać z twojego telefonu, póki mi nie założą oddzielnego numeru?

- Oczywiście. - Tiffany odetchnęła z ulgą. W obecności J.D. cały czas czuła się spięta i podminowana. Po raz setny powiedziała sobie w duchu, że powinna w miarę możliwości unikać szwagra. - Aparat jest w kuchni, wisi na ścianie.

- Widziałem.

- Drugi znajdziesz na piętrze.

- Ten w kuchni całkowicie mi wystarczy - stwierdził. - Zapłacę, kiedy przyjdzie rachunek. Dziękuję ci.

- Nie ma za co - odpowiedziała automatycznie. Telefon. Niby głupstwo, a jak wszystko, co związane z J.D., zapowiadał dalsze komplikacje. - Szczerze cię zapraszałam na dzisiejszą kolację - wyrwało się Tiffany. Czuła, że robi błąd, ale nie mogła się powstrzymać. Przecież mieli mieszkać w jednym domu przez kilka następnych miesięcy. Należało zatem próbować ułożyć wzajemne stosunki. - To tylko pierwszy krok, ale myślę, że powinniśmy spróbować...

- Czego spróbować, Tiffany? - spytał. Jego oczy były czarne jak antracyt. Miała wrażenie, że znów z niej drwi.

- Nic, nic. Po prostu usiłuję być uprzejma.

- Myślę, że etap konwencjonalnej uprzejmości mamy już za sobą.

- A może powinniśmy się cofnąć krok lub dwa?
- Kto to powiedział, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki?
- Ten, kto to powiedział, nie miał racji. Wpadłeś tu jak burza, bez zapowiedzi.

Wypytywałeś mnie o wszystko, jakbyś miał do tego prawo. Zmusiłeś mnie do wynajęcia mieszkania. A więc uważam, nie, wręcz żądam od ciebie minimum uprzejmości i przestrzegania cywilizowanych form. Jeśli się nie zastosujesz do moich warunków, natychmiast unieważnię naszą umowę.

J.D. spojrział w stronę kuchni, gdzie dzieci chowały się tuż za drzwiami.

- Dziękuję za zaproszenie - rzekł uprzejmie. - Skorzystam innym razem. Bardzo dziękuję.

Wszedł do domu przez kuchnię i zniknął w korytarzu. Tiffany biła się z myślami. Z jednej strony poczuła ulgę, że już go nie ma, z drugiej jednak była urażona, że odrzucił zaproszenie, na które zdobyła się z niemałym trudem. Uczyniła to, ponieważ uznała, że przynajmniej na czas pobytu J.D. w jej domu stosunki pomiędzy nimi powinny stać się w miarę poprawne. Nieustanne napadanie na siebie, czynienie sobie wyrzutów czy prawienie złośliwości na pewno byłoby nie do wytrzymania na dłuższą metę.

I pomyśleć, że swego czasu bardzo się do siebie zbliżyli - z pewnością za bardzo. Konsekwencje wynikające z tego faktu, abstrahując od innych powodów, były źródłem niepokoju Tiffany.

- Stary zgred - skomentował Stephen, gdy Tiffany wniosła do kuchni talerze z jedzeniem.

- Nie powinieneś go tak nazywać.

- Dlaczego nie?

- Bo to nieładnie - wtrąciła się Christina i z przekonaniem kiwnęła główką, aż jej czarne loki zatańczyły.

- Wielkie mecyje. Sama mnie uczyłaś, mamó, żeby zawsze mówić prawdę.

Tiffany postawiła na stole miskę z sałatką włoską i wrzuciła do mikrofalowej kuchenki kilka kromek czosnkowego chleba. Postanowiła, że nie da się synowi

zapędzić w kozi róg. Postawiła przed dziećmi po szklance mleka i rozważała, czy sobie nie nalać wina, ale zrezygnowała z picia alkoholu. Póki J.D. był pod jej dachem, musiała zachować czujność. Po co tak naprawdę przyjechał do Bittersweet? Na pewno ją okłamał. Przykre doświadczenia z przeszłości nie nastrojały optymistycznie. Póki będzie tu mieszkał, trzeba się go będzie wystrzegać.

Było jasne jak słońce, że chłopak ma kłopoty z prawem.

- Psiakrew - zaklął głośno J.D. i usiadł na łóżku.

Od przyjazdu męczyło go poczucie winy. Czy słusznie? Przecież to nie przez niego Stephen wpadał na głupie pomysły. Zresztą, który nastolatek w okresie dojrzewania nie przeżywa okresu buntu, który potrafi się oprzeć nie zawsze korzystnym wpływom młodzieżowego środowiska? Stephen miał za sobą traumatyczne przeżycia: tragiczną i przedwczesną śmierć ojca, przeprowadzkę z okolicy, w której przebywał od dzieciństwa w zupełnie nowe miejsce, zmianę szkoły, rozstanie z kolegami. To stanowczo za dużo jak na jednego kilkunastoletniego chłopca. Nic dziwnego, że się miota jak dziki zwierzak w klatce.

W dodatku J.D. nie przywiózł dobrych nowin, przeciwnie. Z samego dna nesesera wyciągnął grubą beżową kopertę. Znajdował się w niej akt notarialny potwierdzający, że od wypadku, w którym Philip stracił życie, dom zajmowany przez Tiffany już do niej nie należy. Stał się własnością rodziny Santinich.

J.D. rzucił kopertę na łóżko. Gorzko żałował, że zgodził się na propozycję ojca i zastąpił Philipa. Nigdy w młodości nie chciał pracować w rodzinnej firmie Bracia Santini. Udawało mu się to przez wiele lat, aż wreszcie, po nagłym zgonie starszego brata, poczuł się w obowiązku wspomóc ojca. Rodzice byli załamani utratą Philipa. Ojciec deklarował nawet, że zupełnie wycofa się z interesów. Zbiegiem okoliczności w tym samym okresie J.D. uznał, że powinien zrobić przerwę w praktyce adwokackiej. Miał już dość grzebania w kodeksach i

codziennego użerania się w sądzie, zbrzydło mu wyszukiwanie kruczków prawnych i pisanie wykrętnych uzasadnień.

Traf chciał, że uległ wypadkowi, co doprowadziło w efekcie do zmiany dotychczasowej hierarchii wartości. Gdy jego partner zaproponował, żeby pozwać za wyrządzone szkody fabrykanta motocykli, departament dróg publicznych i rodziców chłopaka, którego J.D. cudem nie staranował, coś się w nim przełamało. Odmówił dochodzenia odszkodowań. Jechał z maksymalną prędkością i wypadek nastąpił z jego winy. Omal nie stracił żyda i nie zamierzał winić o to nikogo, poza sobą samym. Dzięki wypadkowi zyskał dystans do wielu spraw i własnych dotychczasowych wyborów życiowych.

Gdy ojciec zaproponował mu pracę w firmie, zgodził się z zastrzeżeniem, że w każdej chwili będzie mógł odejść. Objął wakujące stanowisko po bracie. Carlo wciąż wspominał o przejściu na emeryturę i mamił tym syna, próbując coraz głębiej wciągać go w swe interesy. Tłumaczył, że w przyszłości J.D. powinien przejąć zarządzanie wielobranżowym przedsiębiorstwem. Ten nie wierzył jednak ojcu, który po pół wieku nie był w stanie dobrowolnie oddać steru firmy, prowadzonej dawniej na spółkę z bratem. Dino wycofał się już pięć lat temu, ale nie Carlo. Jemu władzę mogła odebrać jedynie śmierć,

Jednym z pierwszych poważnych zadań, jakie J.D. otrzymał od ojca, było ułożenie majątkowo-rodzinnych spraw. Rodzina Santinich chciała mieć pewność, że ani Tiffany, ani dzieciom nie dzieje się krzywda. Carlo nigdy nie wyzbył się wrogości wobec swej drugiej synowej, tak jak nie wybaczył Philipowi, że rozwiódł się z pierwszą. Co więcej, oskarżał Tiffany o zniszczenie małżeństwa Philipa, choć pojawiła się ona na horyzoncie wtedy, kiedy już dawno było po rozwodzie.

J.D. nie podzielał stanowiska ojca. Nie zwykł wtrącać się do życia osobistego brata, a Tiffany od razu mu się spodobała, może nawet za bardzo. Dopiero potem doszło pomiędzy nimi do nieporozumień, zresztą na ściśle określonym tle. Przyjechał w wiadomym celu, więc powinien rozejrzeć się za ładnym

kawałkiem ziemi pod uprawę winorośli, kupić go i czym prędzej wyjechać. Przekonał się, że wdowa nieźle sobie radzi, sprawdza się jako matka, pozostało więc jedynie pokazać jej papiery i wracać do Portland.

Nie powinien zwlekać, powiedział sobie w duchu, a mimo to wsunął kopertę z powrotem do nesesera, który wcisnął do szafy. Pokuśtykał do okna i przysiadł na parapecie. Było już dość ciemno. Na podwórku za domem zobaczył Tiffany. Podlewała warzywnik i kwietniki koło wozowni. Nuciała coś pod nosem, zdawałoby się spokojna i pogodzona z życiem, ale J.D. z daleka wyczuwał, że to tylko gra. Tak naprawdę ta kobieta znajdowała się na skraju załamania nerwowego, przytłoczona nie znanymi mu problemami. Gotów był założyć się dziesięć do jednego, że ich powodem jest Stephen. Postawiła konewkę na ścieżce i popatrzyła w jego okno.

J.D. nie poruszył się. Ich spojrzenia się spotkały. Powróciły wspomnienia pewnej upojonej nocy, podczas której pieścił i całował Tiffany aż do utraty tchu. Boże, jaka była wspaniała. Oddawała mu pocałunki i pieszczoty, a gdy się połączyli, przeżył niewiarygodną rozkosz.

J.D. zrobiło się gorąco. Tiffany wciąż stała bez ruchu. W pewnym momencie oblizwała górną wargę, a może mu się tylko zdawało? Do diabła z tym! Z trudem panował nad pożądaniem. Po chwili Tiffany odwróciła wzrok i pochyliła się nad rabatkami, a J.D. opuścił żaluzje. Takie sceny nie miały prawa się powtarzać. Już nigdy.

Fascynacja żoną brata, która datowała się od momentu, gdy ją po raz pierwszy zobaczył, stała się przekleństwem jego życia. Pragnął Tiffany i nic nie mógł na to poradzić.

ROZDZIAŁ 3

Słyszałaś ostatnie nowiny? Mamy nową sąsiadkę. - Doris, właścicielka niewielkiej agencji ubezpieczeniowej, w której pracowała Tiffany, poprawiła się w fotelu i uniosła do ust filiżankę. Jak zwykle praca w agencji rozpoczęła się od

wypicia porannej kawy i przejrzania bieżącej prasy.

- Kto tym razem? - Tiffany łyknęła trochę kawy i wyjęła z szuflady nóż do rozcinań papieru. W gmachu, gdzie mieściła się agencja, znajdowały się siedziby różnych instytucji, a także salon akupunktury, sklep z zabawkami, kiosk z upominkami i bankomat

- Pani architekt - poinformowała ją Doris z krzywym uśmiechem.

- Chyba nie masz na myśli...? - Tiffany nie dokończyła zdania.

- Owszem. Bliss Cawthorne otwiera biuro tuż obok nas.

- Cudownie. - Tiffany pochyliła się nad kopertami, aby Doris nie dostrzegła wyrazu jej twarzy. Nie lubiła, gdy w jej obecności mówiono o przyrodniej siostrze. W tym tygodniu było to jej szczególnie niemiłe.

- Myślałam, że się ucieszysz. - Oczy Doris, ukryte za modnymi, fantazyjnymi oprawkami okularów, błyszczały z podniecenia. Mimo sześćdziesiątki na karku i nieudanego życia rodzinnego Doris tryskała energią jak młoda dziewczyna. - Bliss wpadła tu wcześniej rano, żeby zapytać o warunki ubezpieczenia lokalu, zobaczyła na biurku plakietkę z twoim nazwiskiem i obiecała, że jeszcze zajrzy.

- Żeby się ze mną zobaczyć?

- Z pewnością. - Doris przesunęła się wraz z fotelem na kółkach w stronę buczonego cicho faksu. - Oho, przypomniała sobie o nas centrala. - Pochyliła się, żeby przeczytać treść kartki. - Znowu memo o zniknięciu Isaaca Wellsa. Bogu dzięki, że nie wykupił u nas polisy. A swoją drogą, ciekawa jestem, co mu się przydarzyło - powiedziała, potrząsając ufarbowanymi na blond, krótko przyciętymi włosami.

- Nie ty jedna - lakonicznie skwitowała Tiffany, aby uciąć rozmowę na ten temat. Każda wzmianka o Wellsie przypominała jej podejrzenia, jakie policja wysuwała wobec Stephena, utrzymując, iż wie on więcej, niż chce powiedzieć. Wprawdzie syn wyznał jej prawdę i zapewnił, że nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Isaaca Wellsa, ale cień niepokoju pozostał.

Doris odłożyła faks do odpowiedniej przegródki.

- Kiedy Bliss się tu zainstaluje? - spytała Tiffany, żeby zmienić temat.

Nie miała pojęcia, czy zdoła nad sobą zapanować i zachowywać się uprzejmie wobec przyrodniej siostry, którą, chcąc nie chcąc, będzie codziennie widywać. Bliss nazywano w mieście Księżniczką. John Cawthorne przez całe życie ją rozpieszczał, zapominając o pozostałych córkach. Tylko Bliss była godna nosić jego nazwisko. Daj sobie z tym spokój, nakazała sobie Tiffany, próbując skupić się na rutynowych czynnościach, takich jak przeglądanie poczty i wyławianie doświadczonym okiem najpilniejszych i najistotniejszych spraw do załatwienia. Bliss nie jest tu niczemu winna, przekonywała się w myślach. Całą winę ponosi ojciec, który przez lata nie raczył pamiętać o tym, że ma jeszcze dwie córki. Ostatnio zmienił front, ponieważ, jak przypuszczała Tiffany, poczuł wyrzuty sumienia w obliczu zagrożenia, jakim niewątpliwie był dla niego zawał serca. Wprawdzie przeżył i obecnie ma się dobrze, ale najwyraźniej otrzymał od życia nauczkę i postanowił naprawić błędy. Tiffany uważała, że zdecydowanie za późno.

Zajęła się pierwszymi klientami, którzy już zdążyli pojawić się w biurze. Pomogła im wypełnić polisy i deklaracje ubezpieczeniowe. Nie wyszła na lunch, tylko na chybcika zjadła jogurt truskawkowy. Zajęła się porządkowaniem formularzy, wykonała kilka telefonów do banku, znalazła też chwilę, by pogadać z Doris o jej wakacjach w Meksyku i swoich dzieciach.

Pod koniec godzin urzędowania w biurze zjawiała się Bliss Cawthorne. Tanecznym krokiem podeszła do biurka Tiffany. Była dziewczyną wprost stworzoną do tego, by brać od życia to, co najlepsze. Atrakcyjna, inteligentna blondynka nie musiała zresztą o nic się starać - od dnia narodzin szczęście samo się do niej uśmiechało. Ubrana była prosto, lecz stylowo, w markowe rzeczy - białą płócienną spódnicę i dzinsową koszulę przepasaną szerokim skórzanym pasem. Na bosych, starannie wypielęgnowanych stopach miała skórzane sandały. Na serdecznym palcu nosiła pierścionek zaręczynowy od Masona Lafferty'ego, oszlifowany gładko jak perła pojedynczy brylant. Narzeczony

wyruszył z Bittersweet w świat jako biedny chłopak, a powrócił jako człowiek sukcesu.

Bliss wprost promieniała, szczęśliwa, spełniona, zadowolona z życia. Tiffany stłumiła w sobie brzydkie uczucie zazdrości.

- Cześć! - powiedziała z naturalnym uśmiechem Bliss.

- Witaj. - Tiffany także zmusiła się do uśmiechu.

- Podpisałaś umowę wynajmu? - wtrąciła się Doris, a Bliss kiwnęła głową, nie spuszczać wzroku z Tiffany.

- Wygląda na to, że przynajmniej przez rok będę pracować tuż obok was.

- Gratuluję. Witamy na pokładzie - powiedziała Doris, wstając zza biurka i podając Bliss rękę. Zadźwięczały jej liczne bransolety, a szeroki uśmiech odsłonił złote korony. - Cieszymy się, że będziemy mieć za sąsiadkę kobietę, prawda? - zwróciła się w stronę Tiffany.

- Oczywiście.

- Teraz zostaliśmy tu tylko my i Randy. Randy prowadzi szkołę przetrwania, wiesz, te wszystkie wycieczki do puszczy z kajakami, plecakami, namiotami i tropieniem śladów. - Doris strzepnęła lekceważąco palcami. - Przed tobą lokal wynajmował Seth. Był emerytowanym księgowym i prowadził biuro rachunkowe. Nawet dobrze mu szło, ale zeszłej zimy zachorował i zaprzestał działalności.

Doris uwielbiała plotkować, a że okazji ku temu było znacznie mniej niż chęci, więc teraz usiłowała odbić to sobie z nawiązką.

- Słyszałam, że wychodzisz za młodego Lafferty'ego.

- Za miesiąc - odparła rozanielona Bliss.

- Widzę, że idziesz śladami ojca - zauważyła z przekąsem Doris.

- Być może - ucięła Bliss, z czego Tiffany wywnioskowała, że nawet Księżniczce nie w smak małżeństwo Johna z Brynnie, długoletnią kochanką, z którą romansował jeszcze za życia swojej żony Margaret, matki Bliss. Brynnie dopięła swego i już niedługo miało się odbyć huczne wesele. - Chciałabym

ubezpieczyć wynajęty lokal. - Bliss wróciła do celu swej wizyty. - Mam tu listę wyposażenia: komputery, faks, kopiarkę, drukarkę i meble. - Zaczęła omawiać z Doris szczegóły polisy, podczas gdy Tiffany drukowała faktury. Piąte przez dziesiąte słyszała, jak Doris oferuje Bliss najbardziej korzystne oferty ubezpieczeń na życie, samochód i od następstw nieszczęśliwych wypadków.

- Możemy zagwarantować ci pełen pakiet ubezpieczeń, a w dodatku jesteśmy po sąsiedzku - zachwalała usługi agencji Doris.

- Przemyślę to.

- Wspomnij o nas ojcu. Jego też chętnie ubezpieczymy. - Doris kiwnęła głową w stronę Tiffany. - Ona jakoś się nie kwapi, żeby zatelefonować, a przecież...

- Doris! - Tiffany stanowczo ucięła potok wymowy swojej szefowej, która nie знаła umiaru, gdy w grę wchodziły interesy. - Nie musisz rozmawiać z Johnem, Bliss. Niech Doris sama do niego zadzwoni, skoro jej tak na tym zależy.

- Nie omieszkam. Zaatakuję Johna zaraz po ślubie.

- Świetna myśl.

- Nie można mieć chyba do mnie pretensji o to, że się staram, co? - Doris wręczyła Bliss komplet dokumentów.

- Ja z pewnością nie mam pretensji - odparła Bliss, chowając dokumenty do torby. - Wiesz, Tiffany, liczę na to, że umówimy się na kawę lub lunch, żeby pogadać, a przy okazji lepiej się poznać.

- Jeśli to twój pomysł, a nie Johna, to chętnie. Nie zamierzałaś mnie namawiać, żebym przyszła na jego ślub?

- Chyba żartujesz. - Głos Bliss brzmiał najzupełniej szczerze. - Ale, oczywiście, decyzja należy do ciebie. Nie myśl sobie, że łatwo mi przyszło zaakceptować jego najnowszy pomysł pojednania całej rodziny, szczególnie że żeni się z Brynnie. Minęło przecież tyle lat... staram się jednak właśnie dla dobra rodziny. Chciałabym zacząć od spotkania z tobą, o ile nie masz nic przeciwko temu. - Bliss spojrzała kątem oka na Doris, która z rozszerzonymi oczami kibicowała pełnej napięcia scenie między przyrodnimi siostrami. -

Dziękuję za polisę, Doris - powiedziała. A potem znów zwróciła się do Tiffany:

- Zadzwoń, jeśli pozwolisz.

- Kiedy tylko chcesz.

Doris odprowadziła Bliss wzrokiem, a gdy zniknęła ona za drzwiami, rzekła z namysłem:

- Chyba mogłabyś być trochę uprzejmiejsza.

- Tylko dlatego, że przed chwilą dała nam zarobić?

- Polisa nie ma z tym nic wspólnego. Powinnaś być miłsza, bo to jest, do cholery, twoja siostra!

- Przyrodnia.

- To nie ma znaczenia. - Doris poprawiała stos papierów na biurku. Wargi miała ściągnięte, między umalowanymi na czarno brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka. - Szczęściara z ciebie, wiesz? Co siostra, to siostra, nawet przyrodnia. To ktoś wyjątkowy, ważniejszy niż najlepsza przyjaciółka. Nie ma dnia, żebym nie wspominała mojej.

Tiffany poczuła się nieswojo. Rodzona siostra Doris niespełna rok temu zmarła na serce.

- Pewnie masz rację - powiedziała cicho.

- Żadne tam „pewnie”, kochana. Mam rację, i już. To nie wina Bliss, że John to łajdak, który wyparł się innych swoich dzieci. Moim zdaniem, Tiffany, równie dobrze możesz go zaakceptować, jak i zlekceważyć. Twój wybór. Z siostrami to zupełnie inna sprawa. To dar od losu. Nie przegap szansy. Zajmijmy się teraz raportami o wypadkach, a potem poplotkujemy sobie o twoim życiu uczuciowym.

- Nie mam wiele do opowiadania - powiedziała Tiffany.

- Więc najwyższy czas to zmienić. Wyobraź sobie, że znam pewnego miłego rozwodnika z czwórką dzieci: czterdziestka, metr osiemdziesiąt pięć, piękne niebieskie oczy i zabójczy uśmiech. Co ty na to?

- Wycofałam się z rynku.

- Ma świetną pracę, poczucie humoru i...
- Jak mówiłam, nie jestem zainteresowana.
- Ależ nie możesz całe życie być w żałobie, kochana - łagodnie upomniała Doris, unosząc wzrok znad okularów do czytania.
- To nie chodzi o żałobę, naprawdę.
- To dlaczego nie umówisz się na piwo albo na tańce?
- Jeszcze nie dojrzałam.

Doris podeszła do dzbanka z kawą i wylała resztkę do swojej filiżanki, która, jak zwykle, miała brzegi zabrudzone szminką.

- To postaraj się dojrzeć, Tiffany.
- Postaram się.
- Kiedy?
- Niedługo - obiecała, wiedząc dobrze, że to kłamstwo. Nie mogła wykrzesać z siebie żadnego zainteresowania mężczyznami. I nic nie wskazywało na to, by sytuacja miała się zmienić. A J.D.? - przypomniał głos wewnętrzny. Tiffany zrobiła to, co zawsze w takich wypadkach: kompletnie go zignorowała.

- Dobrze pan trafił - powiedział Maks Crenshaw, mężczyzna o charakterystycznej jajowatej głowie i twarzy gęsto upstrzonej piegami. Obwoził J.D. po wietrznych, pagórkowatych terenach wokół Bittersweet. Trawa była żółkła i wypalona, za to płoty kolejnych mijanych farm zdobiły bujne, barwne pnącza. - Nie znam się na uprawie winorośli, do czego się od razu szczerze przyznaję. Zawiozę pana w pobliże Ashland i Medford. Są tam winnice. Słyszałem, że uprawiający je osiągają rekordowe zbiory, bo ziemia jest takiej klasy, że praktycznie wszystko samo rośnie.

J.D. puszczał całą tę paplaninę mimo uszu. Patrzył przez zakurzone okno na niewielkie stada bydła i dębowe zagajniki, urozmaicające monotonię krajobrazu. Na głos Crenshawa nakładała się głośnie muzyka, wydobywająca się z głośników starego cadillaca, i monotonne buczenie klimatyzatora.

- Przeżyłem tu całe życie i powiem panu, że niejedno widziałem. Pamiętam, jak z hodowli bydła ludzie zaczęli się przerzucać na lamy i strusie... Wie pan, czasy się zmieniają... Jestem pewny, że znajdziemy dokładnie to, czego pan szuka.

J.D. usiłował się skupić, ale jego myśli wciąż błądziły wokół Tiffany i jej dzieci. Jako wdowa samotnie wychowująca dzieci z pewnością nie miała łatwego życia. Christina była mała i wymagała nieustającej opieki, a dla Stephena rozpoczął się trudny, pełen zasadzek okres dojrzewania. Tiffany musiała zaopiekować się dziećmi i zarobić na ich utrzymanie. Pracowała i dorabiała wynajmowaniem mieszkań w tym starym, wymagającym remontu domu. To stanowczo za dużo obowiązków jak na jedną osobę. J.D. dowiedział się od gadatliwego Maksa Crenshawa, że poza nim mieszkania wynajmują pani Ellingsworth, którą już poznał, a także student malarstwa i młode małżeństwo. Góra stała pusta, bo niedawno wyprowadził się stamtąd młody mężczyzna nazwiskiem Lafferty. Pośrednik nieruchomości z Bittersweet najwyraźniej był doskonale zorientowany.

- Na koniec pokażę panu gospodarstwo, którego nie ma to jeszcze wprawdzie w swoim wykazie, ale można się spodziewać, że do mnie trafi. To farma, na której ostatnio wydarzyła się tajemnicza historia...

Crenshaw skręcił na podjazd zapuszczonej posiadłości z małym domem mieszkalnym, paroma szopami i wielką stodołą na tyłach.

- Dziwna historia - ciągnął Maks; zatrzymując samochód, lecz nie wyłączając silnika. - Zapali pan? - spytał i wyciągnął z kieszeni zmiętą paczkę papierosów.

- Nie.

- Chwali się, chwali. Sam próbuję rzucić palenie, ale wie pan, jak to jest. - Wyjął papierosa, po czym znów podsunął paczkę J.D.

- Nie, dziękuję.

- Palił pan kiedyś?

- Wieki temu.

- Żeby to ja zdołał rzucić palenie. Ale co tam... Ta ziemia należy czy należała, w zależności, jaką wersję przyjąć - do Isaaca Wellsa.

- Ach, tak? - zainteresował się nagle J.D.

- Tak. Stary Isaac żył tu sam jak palec. Nigdy się nie ożenił. Miał siostrę, ale umarła dawno temu i braci, którzy wywędrowali w świat. Niech pan sobie wyobrazi, że przed miesiącem czy sześcioma tygodniami Isaac po prostu zniknął. - Pośrednik przerwał, opuścił szybę i pstryknął zapalniczką. - Podejrzana sprawa, jakby mnie ktoś pytał. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Gdyby umarł albo gdyby go zabili, dało już by się do tej pory znalazło. Może ktoś go porwał dla okupu? Są w miasteczku tacy, którzy myślą, że zgromadził grubszą forszę i trzymał ją w bankowym sejfie albo zakopał w blaszanych puszkach tu, na farmie, ale moim zdaniem to zwykłe plotki. - Maks przez chwilę palił w milczeniu. - Wie pan, gdyby nawet zdecydował się stąd odejść, to komuś znajomemu chyba by się wygadał, co? - Pokręcił głową w zadumie i zdusił niedopałek w popielniczce. - Tak czy owak, ta farma niedługo będzie na sprzedaż. Tylko nie wiadomo, czy znajdzie się kupiec.

J.D. wpatrywał się w hektary nieużytków. Dom, nie dość że mały, to wymagał kapitalnego remontu, a sporo szyb było powybijanych. Stodoła z grubych desek, poszarzałych od deszczu i słońca, była wyjątkowo duża i w nie najgorszym stanie w przeciwieństwie do szop, które się rozpadały. Podwórze wyglądało nędznie.

- Dziwak był z tego Isaaca, jakby się kto pytał, ale o ile wiem, nikt mu źle nie życzył. Tajemnicza sprawa.

- I nie znaleziono żadnych śladów?

- Nawet jeśli gliny na coś natrafiły, nie puszczają pary z gęby. - Maks wrzucił wsteczny bieg. - Powłóczymy się jeszcze trochę po okolicy, jeśli pan pozwoli. Mam parę pomysłów. Pierwsza farma, ziemia Stowella, jest zarejestrowana u pośrednika w Medford. Liczy około stu akrów, jest dobrze utrzymana, a że właściciele spieszą się ze sprzedażą, można wytargować dobrą cenę. Nie

sugeruję bynajmniej, że pańskiej firmy nie stać na pierwszą cenę, mówię tylko tak, na wszelki wypadek. Pojedziemy, zobaczymy.

Wycofał cadillaca na drogę i ruszył. J.D. obserwował w lusterku znikające zabudowania posiadłości Isaaca Wellsa. Maksowi usta się nie zamykały, a jednostajna muzyka, nadawana przez lokalną rozgłośnię, brzęczała z samochodowego głośnika jak natrętny bąk. Stary gruchot połykał milę za milą, a J.D. marzył tylko o tym, by jak najszybciej z niego wysiąść. Z każdą minutą utwierdzał się w przekonaniu, że przyjazd do Bittersweet był pomyłką.

Tiffany, z dwiema torbami zakupów pod pachą, z trudem otworzyła frontowe drzwi.

- Już jestem! - oznajmiła głośno.

Węgielek spał na fotelu w holu. Na powitanie uniósł głowę i przeciągnął się leniwie.

- Jest tam kto? - zawołała Tiffany, po czym nie doczekawszy się odpowiedzi, weszła do kuchni i postawiła torby na stole. Kot ocierał się o jej nogi, licząc na to, że w ten sposób zasłuży na rychły posiłek. - Zostawili nas samych. Węgielku, co? - Tiffany pochyliła się i pogłaskała kota.

Spostrzegła na stole kartkę zapisaną koślawym pismem pani Ellingsworth. Starsza pani informowała, że zabrała Christinę na spacer do parku. Tiffany przypomniała sobie, że Stephen miał tego dnia za zadanie wygrabić podwórko u babci. Pewnie właśnie to robi. Tiffany zabrała się za rozpakowywanie zakupów. Zauważyła przy tym z irytacją, że zaproszenie na ślub ojca, które wcisnęła do szuflady, zostało rozłożone na stole, jakby ktoś się z niej celowo naigrywał.

- Wspaniale - mruknęła, gładząc palcem gruby kredowy papier.

Po raz pierwszy zobaczyła własnego ojca kilka miesięcy temu i był to dla niej szok. Wzrastała w przekonaniu, że ojciec nie żyje. Tak twierdziła matka i miała po temu swoje powody. Z perspektywy czasu Tiffany coraz lepiej je rozumiała. Sama miała dzieci i uważała za swoje zadanie chronić je i oszczędzać im

przykrości i rozczarowań. Czy John Cawthorne naprawdę nie potrafił zrozumieć, że nad pewnymi sprawami nie można przejść do porządku? Czy brakowało mu wyobraźni, czy serca?

Na kartce papieru widniały słowa, które czytała chyba dziesiąty raz.

John Andrew Cawthorne i Brynnie Perez
mają zaszczyt zaprosić Tiffany Santini z dziećmi
na uroczystość swych zaślubin,
która odbędzie się w kościelnej kaplicy
w niedzielę 7 sierpnia o 19.00.
Na zabawę weselną państwo młodzi
zapraszają do Cawthorne Acres.

- Niedoczekanie - szepnęła Tiffany.

Uważała, że planowana uroczystość była jednym wielkim skandalem. W żadnym razie nie zamierzała brać w niej udziału i już udzieliła odmownej odpowiedzi. Nie zmieniła zdania po telefonie Johna i choć poczuła się wina, że tak bezpardonowo odtrąca rękę wyciągniętą do zgody, twardo obstawała przy swej decyzji.

Z niechęcią sięgnęła do koperty i wyjęła list pisany ręką ojca, który był dołączony do zaproszenia. Widocznie myślał, że jedna kartka papieru to wystarczające zadośćuczynienie za wszystkie krzywdy, jakie wyrządził córce i jej matce, zostawiając je przed trzydziestu trzema laty na pastwę losu.

Kochana Tiffany,

Wiem, że nie zasługuje na twoją wyrozumiałość, ale mimo to proszę cię o nią. Uwierz mi - chcę zacząć nowe życie, a przede wszystkim pragnę, żebyś ty i twoje siostry były pełnoprawnymi członkami mojej rodziny.

Bóg jeden wie, ile grzechów popełniłem w swoim życiu. I na pewno przydarzy

mi się jeszcze niejeden błąd, zanim zapukam do bram Królestwa Niebieskiego. Mimo to proszę cię, abys znalazła w sercu dość litości, żeby wybaczyć staremu człowiekowi, który chce uporządkować swoje ziemskie sprawy, zanim stanie przed obliczem Pana. Kocham cię tak, jak potrafię, Tiffany. Zawsze cię kochałem i będę aż do śmierci. Jesteś moją pierworodną córką. Mam nadzieję, że będziesz przy mnie wraz z Twoimi siostrami podczas weselnej uroczystości.

Twój ojciec

John Cawthorne

Ojciec. Ile bólu wciąż łączyło się dla niej z tym słowem. Gdzie był ten ojciec, gdy jej matka harowała na dwóch posadach, usiłując samodzielnie utrzymać nieślubne dziecko? Gdzie się podziewał kochany tatuś, kiedy Tiffany dorastała i nie miała blisko siebie nikogo, kto wyjaśniłby jej, jacy właściwie są ci mężczyźni? Gdzie był w dniu, kiedy wychodziła za mąż i potrzebowała ramienia ojca, który powinien poprowadzić ją do ślubu i oddać mężowi? Co sobie myślał, gdy dowiedział się, że Tiffany urodziła dzieci - jego wnuki?

John Cawthorne najwyraźniej nie rozumiał dotąd znaczenia słowa „ojciec”, a Tiffany wątpiła, czy kiedykolwiek je zrozumie. Zmięła list w zaciśniętej dłoni i wyrzuciła kulkę papieru do kosza. Była zła, że poświęca staremu draniowi tak wiele myśli.

I co z tego, że za parę dni ma się odbyć jego ślub i wesele? To po prostu legalizacja starego romansu z kobietą, która miała już w życiu tylu mężów, ile inne mają par kolczyków.

Co do tak zwanych sióstr, to Tiffany wątpiła, czy cokolwiek może ją z nimi łączyć. Bliss była od niej o kilka lat młodsza. Kiedy pojawiła się w agencji, jej widok tylko potwierdził to, co Tiffany o niej myślała - że jest pewną siebie, atrakcyjną i wykształconą kobietą, urodzoną w przysłowiowym czepku. Nosiła nazwisko Cawthorne i nigdy w życiu nie doświadczyła uczucia opuszczenia czy rozpacz z powodu biedy, odmienności i wyobcowania. Nawet dzieci

rozwiedzionych rodziców znały swoich ojców. Drogi życia Tiffany i Bliss przecinały się, ale żadną miarą nie zbiegały.

Z kolei druga siostra, Katie Kinkaid, była żywiołowa jak tajfun i egzystowała w naiwnym przekonaniu, że samą siłą woli da się góry przenosić. Nie, Tiffany zdecydowanie nie miała nic wspólnego z żadną z nich i wcale nad tym nie ubolewała. Poszła do sypialni, gdzie przebrała się w dzinsy i podkoszulkę, związała włosy w koński ogon i wróciła do kuchni, by skończyć segregowanie zakupów. Właśnie się z tym uporała, gdy usłyszała głosy na podwórku. Złożyła torby i schowała je na zwykłe miejsce pod zlewem, a potem wyjrzała przez okno. To pani Ellingsworth z Christiną zbliżały się do domu.

- Mamuniuuu! - zawołała dziewczynka, gdy Tiffany otworzyła kuchenne drzwi. Mała wyrwała się opiekunce i pobiegła do schodków.

- Chyba ma dość na dzisiaj - powiedziała Ellie.

- Wcale nie - zaprzeczyła Christina.

- Natomiast ja zdecydowanie tak. Chciałabym mieć chociaż połowę energii tego dzieciaka. - Ellie otarła czoło rękawem. Tiffany rozłożyła ręce, a Christina jak bomba wpadła w jej objęcia.

- Huśtałam się i jeździłam na karuzeli - oświadczyła.

- Naprawdę?

- Żeby to raz! - Zaśmiała się Ellie.

- Dużo razy - powiedziała Christina. Uwolniła się z ramion matki i pobiegła za Węgielkiem do ogrodu.

- Światowa panienka, nie ma co - skomentowała Ellie. - Sądzę, że dziś w nocy będzie spać jak zabita.

- To dobrze - odparła Tiffany, myśląc z troską o nocnych koszmarach, jakie często nękały córeczkę od czasu śmierci Philipa. - Ellie, wcale nie musisz zabierać Christiny do parku. Przecież to cię męczy. Wystarczy, że w domu jej dopilnujesz.

- Ale ona tak to lubi - z rozczeniem zauważyła Ellie - i jest taka słodka. A tak

przy okazji, to Stephen jeszcze nie wrócił? - spytała z niepokojem. - To dziwne. Octavia zadzwoniła i poprosiła, żeby przyszedł przyszczyć trawnik. Powiedziała, że zabierze mu to najwyżej godzinę. Zaraz, zaraz... Kiedy to było? - Ellie spojrzała na zegarek. - Ze trzy godziny temu.

- Nie zostawił kartki, za to znalazłam na stole zaproszenie. - Tiffany wskazała ręką na stół.

- Dziwne - z namysłem powiedziała Ellie. - Nie widziałam go tu wcześniej.

- Stephen musiał je znaleźć i zostawić. - Tiffany zaczęła szukać wiadomości od syna, ale ani na stole, ani na lodówce nie było żadnej kartki. Powiedziała sobie, że chwilowo nie ma się czym martwić, bo pewnie wybrał się z kolegami na ryby albo popływać. - No cóż, miejmy nadzieję, że się niedługo pokaże. Napijesz się lemoniady albo mrożonej herbaty? -

Ellie sięgnęła po papierową chusteczkę i ponownie otarła czoło z potu.

- Najchętniej wypiłabym drinka, ale trochę na to za wcześnie. A poza tym wybieram się dzisiaj na randkę.

- Na randkę? - powtórzyła zdziwiona Tiffany. - A któż jest tym szczęśliwcem?

- Stan Brinkman - odparła starsza pani, bardzo z siebie zadowolona. - Wdowiec na emeryturze. Miał firmę budowlaną, ale odprzedał ją synom. Co roku przyjeżdża do Bittersweet na wakacje, a zimą jeździ do Arizony.

- Jak długo się znacie? - Tiffany była zaskoczona niezwykle nowinami.

- Wystarczająco długo - odparła Ellie i mrugnęła porozumiewawczo. - O wszystkim opowiem ci jutro. - Pomachała na pożegnanie i podeszła jeszcze na chwilę do Christiny, zajętej zrywaniem koniczyny i układaniem listków w foliowej foremce.

W tym momencie zadzwonił telefon. Tiffany już za drugim dzwonkiem podniosła słuchawkę.

- Mama?

- Cześć, synku, dobrze, że dzwonisz. - Tiffany z ulgą przysiadła na krześle. - U babci wszystko w porządku? Skosiłeś trawnik?

- Ja... tak, już dawno.

W głosie chłopca Tiffany wyczuła nienaturalne napięcie i od razu tknęło ją, że stało się coś złego. Zmartwiła.

- Gdzie jesteś, Stephen?

Nie odpowiedział od razu.

- Stephen?!

- Jestem na policji. Mamo... ktoś chciałby z tobą porozmawiać.

ROZDZIAŁ 4

Gdzie jesteś? - Dobrze, że Tiffany siedziała na krześle, bo zrobiło się jej słabo. O Boże, to nie mogła być prawda.

- Mówiłem.

- Wiem, co mówiłeś, ale skąd się tam wzięłeś? Co się stało? Jak się czujesz? - Tiffany obawiała się najgorszego.

- Dobrze się czuję.

- Na pewno? - dopytywała się, wcale nie przekonana.

- Tak. Sierżant chce z tobą mówić.

- Poczekaj, Stephen, może lepiej zaraz przyjadę, żeby cię...

- Pani Santini? - przerwał jej obcy męski głos. - Mówi sierżant Pearson.

- Co się stało? Czy z moim synem wszystko w porządku?

- Poza podbitym okiem i paroma zadrapaniami, tak. Myślę, że do wesela się zagoi. - Zapewnienia sierżanta nie zdołały jej uspokoić.

- Ale co się stało? Dlaczego syn znalazł się w komisariacie?

- Pani syn i drugi chłopak, Miles Dean, pobili się w Minimarcie.

- Pobili się? - powtórzyła bezmyślnie.

Ojciec Milesa, Ray Dean, właśnie wyszedł z więzienia. Wyglądało na to, że syn wkrótce pójdzie w jego ślady. Co, na Boga, Stephen robił tym razem w towarzystwie Milesa?

- Chłopcy się pokłócili i, od słowa do słowa, kłótnia przeszła w bójkę.

Kasjerka z Minimartu zadzwoniła po radiowóz, więc przymknęliśmy ich. Naprawdę, nie ma powodu do obaw, pani synowi nic poważnego się nie stało.

- A co z Milesem?

- Miles zawsze potrafi się wymigać - odpowiedział sierżant po chwili wahania.

- Czy przeciw Stephenowi wniesiono oficjalnie skargę? - spytała Tiffany.

- Nie przeciw niemu.

- Więc przeciw Milesowi?

- To się jeszcze zobaczy.

- Czy mogę odebrać Stephena?

- Przyjedzie do domu wozem patrolowym. Powinni być za dziesięć minut.

- Czy to znaczy, że nie muszę niczego podpisywać?

- Nie, proszę chwilę poczekać. - Usłyszała stłumiony głos Pearsona, który zwracał się do kogoś w pokoju. - Tak, czeka na niego. A ty, Stephen, obiecaj, że przestaniesz rozrabiać, dobra?

- Obiecuję - dobiegła jej uszu odpowiedź syna.

- Zapamiętaj sobie, że ze mną nie ma żartów. Następnym razem nie ujdzie ci na sucho. Załatwione, już do pani jedzie. - Tym razem sierżant zwrócił się do Tiffany.

- To dobrze - odparła bez przekonania.

- Jest jeszcze coś, pani Santini. Wprawdzie ten incydent w Minimarcie to na pozór nic wielkiego, ot, kogucia bójka smarkaczy, którzy się poróżnili o jakieś głupstwo, ale... Gdyby któryś z nich miał przy sobie broń, nóż albo pistolet, rzecz mogłaby się skończyć tragicznie.

Policjant powiedział na głos to, o czym Tiffany już wcześniej pomyślała. Mimo gorąca dostała gęziej skórki. Pistolety. Noże. Broń. Przeprowadziła się do takiej miejsciny jak Bittersweet między innymi po to, aby nie mieć do czynienia z gangsterami i przemocą na ulicach. Tymczasem ponieważ okazało się, że w południowym Oregonie dziesięcioletni chłopcy otrzymywali do zabawy noże myśliwskie, a dwunastolatki broń palną, tak jakby te prezenty od rodziców

były symbolicznym znakiem wchodzenia w dorosłość. Bez broni chłopiec nie mógł stać się mężczyzną.

- Poważnie porozmawiam ze Stephenem - obiecała Pearsonowi.

- I dobrze pani robi - powiedział sierżant. - Myślę, że jazda radiowozem i zatrzymanie w komisariacie da mu do myślenia.

- Oby tak było.

Tiffany chciała już odwiesić słuchawkę, w spokoju zaczekać na Stephena i na własne oczy obejrzeć jego skaleczenia, a potem porozmawiać o kodeksie prawnym, ale sierżant Pearson jeszcze nie skończył.

- Mam pani jeszcze coś do powiedzenia.

- Słucham.

- Mówiłem na początku, że chłopcy pokłócili się o coś. Nie wiadomo o co, może o dziewczynę. Tak sądzi kasjerka, która usłyszała strzęp rozmowy. Usłyszała jednak również, jak wymieniali nazwisko Isaaca Wellsa.

- Co takiego? - Tiffany zamarła.

- No, wie pani, to ten, który niedawno zniknął. Miał ziemię i dom na trasie wylotowej z miasta.

- Wiem, kto to jest - odparła, próbując nie okazać strachu. - Mój syn nie ma nic wspólnego ze sprawą Wellsa.

- Zapewne. Kiedy jednak kazaliśmy mu opróżnić kieszenie, co, jak pani wie, należy do rutynowych czynności po zatrzymaniu, znaleźliśmy przy nim pęk kluczy.

- Kluczy? - wykrztusiła z najwyższym trudem. - To do domu - powiedziała, próbując wykrzesać w sobie cień nadziei. Na próżno. Przecież Stephen nosił tylko jeden klucz do drzwi wejściowych, nie cały komplet.

- Możliwe - sierżant zawahał się przez moment. - Breloczek jest dość oryginalny i ma grawerunek. - Tiffany przymknęła oczy, czekając na cios. - Są tam litery I.X.W, co można odczytać jako Isaac Xavier Wells.

- Rozumiem.

- Niech pani porozmawia z synem.

- Zrobię to - przyrzekła. Gdy odkładała słuchawkę, zdawało jej się, że ma na plecach tysiackilogramowy ładunek. Dlaczego Stephen wciąż się zadawał z Milesem Deanem? Skąd w jego kieszeni wziął się pęk kluczy? O co poszło w bójce? I wreszcie co Stephen miał wspólnego ze zniknięciem Isaaca Wellsa?

- Mamuniuu! - rozległo się z podwórka nawoływanie Christiny.

Tiffany zdobyła się na uśmiech. Otworzyła okno nad zlewem i zawołała:

- Co, dziecinko?

- Patrz!

Christina, z usmarowaną buzią i błyszczącymi oczami, stała w cieniu drzewa, z dumą prezentując swe najnowsze dzieło - wyrośnięty placek z błota i trawy w aluminiowej foremce, niegdyś pojemniku na zapiekankę z kurczaka. Wierzch błotnego ciasta zdobyły dodane dla koloru płatki bratków.

- Śliczne - powiedziała Tiffany. Węgielek głośno zamiauczał, żeby go wpuścić do domu.

- Chcesz kawałek?

- Oczywiście - odpowiedziała, próbując przestać obsesyjnie myśleć o problemach ze Stephenem. I tak będzie musiała odbyć z nim zasadniczą rozmowę. - Chcę największy kawałek. - Pchnęła dłonią drzwi, by kot mógł wejść do środka. Christina, trzymając foremkę w wyciągniętych sztywno rączkach, puściła się biegiem do kuchennych schodów.

- Uważaj! - krzyknęła Tiffany.

Za późno. Dziecko potknęło się o porzuconą niedbale deskorolkę Stephena i padło jak długie na werandę. Foremka, trawa i pacyny błota poszybowały w powietrze. Tiffany w ułamku sekundy rzuciła się na ratunek. Uniosła w ramionach Christinę w tym samym momencie, w którym dziewczynka brała głęboki oddech, by wybuchnąć płaczem. I tak się stało. Płacz był tak donośny, że mógłby obudzić umarłego. Z oczu Christiny trysnęły strumienie łez, a zranione kolano zabarwiło się krwią.

- Maaa-muuu-niuu! - szlochała wczepiona w matkę Christina.

- Ciii, dziecinko, wszystko będzie dobrze. - Tiffany zaniosiła córeczkę do niewielkiej łazienki przylegającej do kuchni.

- To boli!

- Poboli troszeczkę i przestanie, jak tylko mamusia cię opatrzy.

W szafce Tiffany znalazła jodynę i czystą gazę. Christina, posadzona na klapie od klozetu, wierciła się i głośno wciągała powietrze. Tiffany po kolei zdezynfekowała każde zadrapanie na kolanie i brodzie dziewczynki.

W tym momencie odezwał się dzwonek do drzwi wejściowych.

- Już idę! - zawołała Tiffany, próbując przekrzyczeć łkanie i jęki Christiny. Jedną ręką przytrzymując dziecko, drugą sięgnęła po bandaże i plastry. Dzwonek znów się odezwał.

- Psiakrew, dajcie mi żyć - mruknęła pod nosem Tiffany, owijając w biały kokon kolano córki. - Chodź, kochanie, lepiej będzie, jak otworzymy, bo ktoś tam za drzwiami strasznie się niecierpliwi. - Cisnęła zużytą gazę do umywalki, dźwignęła Christinę i ruszyła ze swym brzemieniem do frontowych drzwi. Oczekiwała, że ujrzy Stephena w towarzystwie policjanta. Tymczasem stanęła twarzą w twarz z J.D.

- Nie dałaś mi klucza - przypomniał.

- Ach tak, racja. Przepraszam, że nie pomyślałam. Zresztą od kuchni było otwarte. - Tiffany przełożyła Christinę z biodra na biodro. Dziewczynka wciąż szlochała spazmatycznie.

- Co się stało? - spytał J.D.

- Upadłam! - oświadczyła Christina z taką dumą, jakby była starym weteranem, chwalcącym się bitewnymi bliznami.

- Przypadkiem, moje słoneczko. - Tiffany ucałowała ciemne loczki na głowie córki. - Wejdzmy do... - zaczęła, ale gdy spojrzała ponad ramieniem J.D. na ulicę, zawołała: - Och, nie!

J.D. odwrócił się w samą porę, by dojrzeć skręcający na podjazd wóz

patrolowy.

- Przepraszam - usłyszał i gdy zwrócił głowę w stronę, skąd dochodził głos, ujrzał pobladłą Tiffany. Wyminęła go i biegiem ruszyła przez trawnik. J.D. niespiesznie podążył za nią. Na widok Stephena, który wygramolił się z radiowozu, zmarszczył brwi, mocno zaniepokojony. Co się tu dzieje? Czy Tiffany zupełnie przestała panować nad sytuacją? Christina, brudna i zakrwawiona, wygląda okropnie. Jej brat niewiele lepiej. Całe jego pozerstwo gdzieś się ulotniło, twarz była posiniaczona, a jedno oko spuchnięte. I przede wszystkim, dlaczego odwozi go do domu policja?

- Pani Santini? - spytał policjant, krępy szatyn w drucianych okularach.

- Tak.

- Sierżant Talbot.

- Miło mi.

- Pan Santini? - Policjant przeniósł wzrok na J.D.

- Owszem, ale nie jestem ojcem chłopca.

Policjant zmarszczył brwi, jakby nie mógł pojąć, co w takim razie J.D. robi u boku pani Santini.

- Jestem stryjem Stephena - wyjaśnił J.D.

- Powinna pani zająć się jego okiem. Zapuchło jak diabli - stwierdził sierżant Talbot.

- Zbada go lekarz - obiecała Tiffany. Christina wcisnęła buzię w jej obojczyk, rozsmarowując po jasnej skórze matki brud i krew.

- Nie potrzeba, nic mi nie jest - burknął Stephen, zsuwając na opuchnięte oko długi kosmyk.

- Należy je opatrzyć - powiedziała stanowczo Tiffany, próbując ocenić, jak bardzo jej syn został poturbowany. - A co z drugim chłopcem? - spytała.

- Wygląda mniej więcej tak samo jak ten ancymonek - rzekł policjant, dotykając ramienia Stephena. - Miejmy nadzieję, że na tym się skończy.

Stephen stał ze wzrokiem wbitym w ziemię i opuszczoną głową.

- Na pewno - obiecała z przekonaniem Tiffany.

Talbot uśmiechnął się wyrozumiale i usłyszawszy wołanie przez radio, pospieszył do wozu. Odbył krótką rozmowę, po czym uruchomił silnik i szybko odjechał bez pożegnania.

- Co się stało? - J.D. zwrócił się do bratanka.

- Nic takiego.

- Twoje podbite oko nie wzięło się chyba z niczego.

W odpowiedzi Stephen wzruszył tylko ramionami i ruszył w kierunku domu.

- Zatrzymaj się! - zawołała ostrym tonem Tiffany. - Mówiłam już, że musi cię zbadać lekarz. Pojedziemy do szpitala albo na pogotowie.

- A ja ci mówiłem, że nic mi nie jest.

Christina, widząc, że cała uwaga matki skupiła się na bracie, chlipnęła głośno.

- Buzia mnie boli!

- Wiem, że boli, kochanie. - Tiffany pocałowała córeczkę w czoło. - Zajmę się tobą, kiedy tylko opatrzymy Stephena.

- Nie potrzebuję żadnych opatrunków - burknął chłopak i wszedł na schody.

- Mylisz się. - Tiffany poszła za synem. J.D. bez wahania podążył za nimi.

- Mamo, dasz mi wreszcie spokój czy nie! - wybuchnął Stephen i przeskakując po dwa stopnie naraz, wbiegł na górę i z trzaskiem zamknął drzwi do swojego pokoju, skąd niebawem dobiegły dźwięki katowanej bez litości gitary.

Tiffany stała bez ruchu, najwyraźniej niepewna, czy ustąpić synowi, czy próbować przeprowadzić swoją wolę. J.D. obserwował ją uważnie. Odniósł wrażenie, że wytrzymałość i cierpliwość Tiffany się kończy.

- Za moment wracam - powiedziała cicho.

- Pomóc ci? - J.D. był gotów wesprzeć ją swoim autorytetem w sporze z synem.

Popatrzyła mu prosto w twarz tymi swoimi niezwykłymi, bursztynowymi oczami, którymi zauroczyła go od pierwszego wejrzenia. Ze wzruszeniem i współczuciem stwierdził, że utworzyły się pod nimi ciemne kręgi. Tiffany

musiała być zmęczona, na jej barki spadło za wiele obowiązków. Znał ją na tyle, by wiedzieć, że by się do tego nie przyznała, A w każdym razie jemu - jednemu z Santinich.

- Nie. Sama sobie poradzę - rzuciła ostro. Z Christina na ręku ruszyła do małej łazienki koło kuchni. - Mam zapasowy klucz. Jak skończę z małą, to ci go dam. Jest w mojej torbie, w kuchni. Zaczekaj tam na mnie. Weź sobie z lodówki coś do picia - dodała i wyszła.

W powietrzu nadal unosił się zapach jej perfum. Stale ten sam... J.D. dobrze go zapamiętał. Równie dobrze jak wszystkie ekscytujące szczegóły tamtej niezapomnianej, jedynej nocy... Potrząsnął głową. To droga donikąd, Santini, upomniał się w myślach. Powoli przeszedł do kuchni. Tam najpierw o mały włos nie rozbił głowy o wysoko umieszczony miedziany rondel, a potem musiał walczyć z pokusą, aby nie rzucić się na pachnące imbirem domowe ciasteczka, których pełna patera stała na kredensie. Do kuchni dobiegały głośnie protesty Christiny: „Nie, mamó, nie!” i stłumiony, uspokajający głos Tiffany.

J.D. otworzył lodówkę. Za stertą wiktuałów znalazł kilka puszek piwa. Otworzył jedną i wypił porządny łyk.

- Auuc! Mamó! Jak to boli! - dobiegł go krzyk rozżalonej Christiny.

- Cicho, maleńka, wytrzymaj jeszcze minutkę - odpowiedziała Tiffany.

J.D. nie mógł tego dłużej słuchać. Wyszedł na zadaszoną werandę. Rozciągał się z niej widok na podwórze i ogród. Pod oblażącą z farby ścianą domu stała duża ogrodowa huśtawka i dwa fotele na biegunach. Przed nimi na gazonach pieniały się barwne, pachnące petunie, nagietki i kilka innych gatunków kwiatów, których nazw nie pamiętał. Na ścieżce leżała odwrócona do góry dnem aluminiowa foremka do ciasta, a obok kupki ziemi, trawy i pojedyncze płatki kolorowych bratków. J.D. ominął cały ten bałagan i stanął na wypalonym słońcem trawniku. Philip nabył posiadłość, traktując ten zakup jako inwestycję na przyszłość, ponieważ rodzinna firma Santinich była zainteresowana rozwijaniem działalności w tych stronach. Wszystkie budynki - dom, garaż i

wozownia - były pomalowane jasnoszarą farbą, a framugi, okiennice i drzwi na czarno. Dachówka, wieżyczki i drewniana ozdobna stolarka przydawały im staroświeckiego, wiktoriańskiego uroku. J.D. przypuszczał, że ten romantyczny styl oddziałuje pozytywnie na ludzi sentymentalnych, którzy przedkładają styl i klimat domostw nadgryzionych zębem czasu nad wygodę i nowoczesność świeżo postawionych budowli. Lokatorzy tego typu nie będą domagać się w apartamencie zmywarki, kiedy w zamian mogą podziwiać artystyczną zabytkową stolarkę.

Pociągnął długi łyk. Lubił piwo, a to, które pił, przyjemnie chłodziło wysuszone gardło. Philipowi nigdy by przez myśl nie przeszło, że jego druga osierocona rodzina osiadzie właśnie tutaj, ale też nie mógł przewidzieć, że w wieku czterdziestu ośmiu lat sam nagle i gwałtownie przeniesie się na tamten świat. J.D. znów się napił. Nad jego głową bzyknął szerszeń, a pies sąsiadów zaczął nagle warczeć i szczekać. Nie pomagały nerwowe okrzyki właścicielki - czworonóg ujadł w najlepsze. Z okna na piętrze głównego budynku wciąż dobiegały głośnie dźwięki gitary. J.D. podniósł głowę i spojrzał w okno Stephen'a. Jego bratanek podrygiwał na środku pokoju. Zagryzając usta i potrząsając czarną grzywą, walił w struny gitary. Nagle, jakby wyczuł, że jest obserwowany, uniósł głowę i zobaczył stryja. Gitara natychmiast umilkła, a sam Stephen zniknął z pola widzenia.

J.D. zastanawiał się, jaki właściwie jest ten chłopak i dokąd zajdzie. Wszystko wskazywało na to, że Stephen, wchodząc w okres dojrzewania, podąża ku ciemnej stronie księżyca. Tak jak kiedyś J.D. Zaliczył złamanie nosa, szcicie ciężko poranionej nogi po wypadku samochodowym, a kartoteka jego młodzińskich wyczynów naruszających prawo była doprawdy imponująca. Szczęściem opamiętał się, zanim osiągnął pełnoletniość. Stephen zapewne szedł tą samą, pełną niebezpiecznych zakrętów drogą, jakże ciekawszą od prostego, ale nudnego traktu przeznaczonego dla „porządnych obywateli”. Można było poprobować mocnego alkoholu, szaleć po nocy „pożyczonymi” wozami, strzelać

do skrzynek pocztowych i, generalnie, porywać się na wszystko, co niedozwolone.

- Niedobrze - mruknął J.D. i w tym momencie ujrzał Tiffany, która z Christiną w objęciach wyszła na werandę.

Dziewczynka miała plaster na brodzie, ale jej buzia była już czysta, bez brudnych smug i śladów łez na pызatych policzkach. Tiffany też doprowadziła się do porządku. Rozpuściła włosy, które teraz spadały jej ciemną, lśniącą falą na ramiona. Twarz, nie licząc lekkiego muśnięcia szminki, była pozbawiona makijażu, a mimo to zachwycała swoim pięknem. Wysoko osadzone kości policzkowe, prosty, zgrabny nos i duże oczy o niespotykanej, miodowej barwie, ocienione gęstymi, wywiniętymi rzęsami tworzyły nadzwyczaj urodziwą całość.

- Jesteś bratem tatusia? - spytała Christina, która chyba dopiero teraz na to wpadła.

- Tak.

- Tata jest w niebie. - Mała wygłosiła to tak rzeczowym tonem, że po plecach J.D. przeszedł zimny dreszcz.

- Wiem - zdobył się na odpowiedź.

- On już nie wróci.

Zanim J.D. odniósł się do tej ostatniej uwagi, porozumiał się wzrokiem z Tiffany. Jej spojrzenie mówiło, że trzeba zachować najwyższą ostrożność.

- Mieszkasz u nas?

- Trochę pomieszkam - powiedział, wstydząc się własnego kłamstwa.

- A po co?

Celne pytanie. J.D. zauważył, że Tiffany zeszywniała i drżący uśmiech zamarł jej na wargach.

- Stryjek Jay przyjechał tu do pracy... no i postanowił nas odwiedzić.

- Tak, właśnie - rzekł, zadowolony, że to stwierdzenie było bliskie prawdy. - Muszę załatwić w miasteczku pewne sprawy.

Usta Tiffany zacisnęły się w wąską linię.

Znudzona rozmową Christina zaczęła się wiercić, więc matka postawiła ją na ziemi.

- Wiesz, Jay, jakoś ciągle nie mogę sobie wyobrazić, że pracujesz dla ojca. Zawsze byłeś... taki inny.

- Byłem czarną owcą i marnotrawnym synem, który poprzysiągł sobie nigdy w życiu nie pracować u ojca i trzymać się z daleka od firmy Bracia Santini.

Krzywy uśmieszek, który zagościł na jego wargach, wyrażał politowanie dla samego siebie, a oczy, zwykle szare jak mgła o zmroku, teraz stały się ciemne niczym chmura gradowa, jakby w jego duszy szalała burza. Tiffany umknęła wzrokiem w bok. Zdążyła poznać urok i siłę tego spojrzenia.

- Zdarzyło się coś, co zmieniło moje nastawienie do życia. - J.D. jednym haustem dokończył piwo. - Umarł mój starszy brat - dodał poważnym tonem. Prześmiewcza poza zniknęła.

- To zmieniło życie nas wszystkich - westchnęła Tiffany, krzyżując ręce na piersiach.

- No właśnie. Może mi wreszcie powiesz, co się dzieje ze Stephenem?

- Dorasta.

- I dlatego ma na pieńku z policją?

- To nic poważnego. - Tiffany usiłowała zbagatelizować ostatnie wydarzenia, zdecydowana bronić swego syna przeciwko całemu światu, w tym także, a może przede wszystkim, przed ingerencją rodziny Santinich. Nie pozwoli, by wtrącali się do jej życia! Nic im do tego, jak wychowuje swoje dzieci i czy daje sobie z tym radę! Aby się czymś zająć, wzięła szczotkę i zaczęła zamiatać ze ścieżki resztki „ciasta” Christiny.

- A mnie się wydaje, że wręcz przeciwnie. - J.D. podążył za nią, zgniatając w dłoni metalową puszkę.

- Sam wiesz najlepiej, jak przebiegają i czym się kończą młodzieńcze bunty.

Nie spieszył się z odpowiedzią. Poszukał wzrokiem kosza, gdzie mógłby wyrzucić puszkę.

- To było dawno temu, Tiffany.

Miękki i zmysłowy ton, jakim wymówił jej imię, sprawił, że przeszył ją nagły dreszcz. Ożyły wspomnienia, zdawałoby się, na zawsze zapomniane, głęboko ukryte na dnie pamięci. Zdradziecka wyobraźnia przywołała obraz nagiego do pasa J.D., umięśnionego i męskiego, uwodzicielskiego i pociągającego.

- Nie możesz się oszukiwać i udawać, że przeszłość się nie liczy. - Ledwo Tiffany wypowiedziała te słowa, żałowała, że w ogóle padły. Było już jednak za późno.

- Czasami byłoby lepiej, gdyby można było zmienić przeszłość - zauważył cichym głosem J.D.

Tiffany zrozumiała, że nie ona jedna uległa nastrojowi i pozwoliła, choć na chwilę, powrócić wspomnieniom. To nie powinno się było wydarzyć, a jakakolwiek rozmowa o tym była zbyt niebezpieczna. Energicznie zgarnęła ostatnie zwiędłe płatki. Christina bawiła się w trawie, zrywając całe pęczki i wyrzucając je w powietrze.

- Nie przejmuj się Stephenem - powiedziała, może zbyt obcesowo. - Dam sobie z nim radę.

- Masz ciężkie życie: niesforny nastolatek, małe dziecko, praca zawodowa, dom. Nie mówiąc już o utrzymaniu posesji i lokatorach. Za dużo jak na jedną kobietę.

- Radzę sobie. Nie powinienes sobie zaprzętać głowy moimi sprawami - powiedziała z wymuszonym uśmiechem. Nie pozwoli nikomu z Santinich dyrygować sobą i dziećmi!

- Przydałaby ci się tu męska para rąk.

- Co takiego? Męska para rąk? Czy ja się nie przesłyszałam? - prychnęła lekceważąco. - Postawmy sprawę jasno, J.D. Ja nie potrzebuję tu mężczyzny. Ani teraz, ani potem. Ja... my... radzimy sobie całkiem dobrze.

- Naprawdę? - J.D. uśmiechnął się kpiąco i wsunął kciuki w szlufki paska. Ten gest uwydatnił jego muskulaturę i napięte ścięgna mocnych, opalonych

przedramion. Zdecydowaną w rysunku brodę pokrywał cień czarnego zarostu, kontrastującego z białymi zębami. - Pozwól, że teraz ja ci powiem, jak oceniam całą tę sytuację - dodał, przysuwając się bliżej Tiffany. - Christina ma tylko trzy lata i wymaga stałej opieki, Stephen jest w trudnym wieku dojrzewania i należałoby znaleźć czas, aby się nim zająć, dom nadaje się do remontu.

- Tak to widzisz?

- Nie mówiąc o tym, że ty, wdowa samotnie wychowująca dwójkę dzieci, ledwo trzymasz się na nogach.

- Nie powinno cię to obchodzić.

- To dzieci mojego brata.

- Doprawdy, a to mi nowina! - odparła gniewnie. - Dotąd dbałeś o nie tyle, co o zeszłoroczny śnieg. Skąd ta nagła troska? Tylko mi nie wmawiaj, że na skutek wypadku na motorze doznałeś duchowej przemiany, bo i tak ci nie uwierzę. To nie w twoim stylu.

- A co ty wiesz o tak zwanym moim stylu? - spytał, nie kryjąc ironii.

- Wystarczająco dużo - odpowiedziała. - Już ci mówiłam, że jesteś zbyt niezależnym, egoistycznym i skupionym na sobie typem, żeby pracować na rachunek ojca.

Oczy mu zabłyśły na to wyzwanie.

- Staruszek na pewno by się z tobą zgodził. Nie nią jednak wyboru - niedaleko padło jabłko od jabłoni.

- Tak uważasz? - Tiffany miała już dość tej krępującej rozmowy. - Czas pokaże. Chrissie, wracam do domu, zrobię Stephenowi opatrunek. Zostań na podwórku.

Dziewczynka zdążyła już zapomnieć o niedawnym bólu. Zajęta łapaniem motyli, nawet nie odpowiedziała.

- Będę miał na nią oko - zaofiarował się J.D.

- Brama jest zamknięta, jest tu bezpieczna. Nie musisz mi pomagać.

- Ale chcę.

- Idę do domu - powiedziała Tiffany, ucinając dyskusję.

Na klamce drzwi pokoju syna zauważyła kartonową tabliczkę z napisem „Nie przeszkadzać”. Nie zważając na to ostrzeżenie, Tiffany zapukała i, nie czekając na zaproszenie, otworzyła drzwi i weszła do środka. Stephen leżał w rozgrzebanym łóżku, wpatrując się tępo w plakaty z modelkami, rockowymi idolami i autami wyścigowymi, które przymocował do sufitu. Na jego brzuchu leżała gitara. Podbite oko zapuchło jeszcze bardziej. Na ten widok Tiffany oznajmiła:

- Zabieram cię do szpitala.

- Zapomnij o tym.

- Jedziemy, i to natychmiast. Z oczami nie ma żartów. Wstawaj, jedziemy. A po drodze opowiesz mi o tej awanturze z Milesem.

- Jakiej tam awanturze...

- A co to było, Stephen? Gdybyście nie narozrabiali, nie wzywano by policji. I nie wracałbyś do domu z podbitym okiem. - Tiffany musiała przestąpić odtwarzacz CD i pudełka z grami wideo, aby podejść do okna. Zobaczyła, że Christina wdrapała się na huśtawkę i teraz zmuszała J.D., żeby się nią zajmował. Wsparty mocno na zdrowej nodze, puszczał huśtawkę w ruch, a Christina była tym uszczęśliwiona. Czarne loki fruwały w powietrzu między zwieszającymi się z jabłoni sznurami, a dziewczynka co chwila wybuchała perlistym śmiechem. Tiffany westchnęła. Nie pamiętała już; kiedy córeczka po raz ostatni śmiała się tak spontanicznie i radośnie. Przed śmiercią Philipa? Może i tak, chociaż Philip stosunkowo mało czasu poświęcał dzieciom i rzadko znajdował czas na zabawę z nimi. Brakowało mu cierpliwości. Tiffany odwróciła głowę i znów spojrzała na syna. Stephen odłożył gitarę i mamrocząc pod nosem niecenzuralne wyrazy, podniósł się z łóżka.

- Policjant mówił mi, że poszło o jakąś dziewczynę.

- Nie o dziewczynę - burknął Stephen.

- A więc o co? O Isaaca Wellsa?

- Mówiłem ci już, że nic nie wiem o Wellsie.
- Policja poinformowała mnie, że znaleźli przy tobie klucze, które prawdopodobnie należały do niego.

Stephen zbladł jak ściana.

- Niemożliwe.
- Mają te klucze. Na breloczku są inicjały pana Wellsa. Jak mi to wyjaśnisz?
- Ja ich nie wziąłem.
- Więc kto?
- Ja... ja nie wiem.
- Stephen!
- Naprawdę, mamó. Znalazłem te klucze, kiedy w parku jeździłem na deskorolce.
- A dlaczego nie powiedziałeś mi o niczym ani nie oddałeś ich policji?

Tiffany bardzo chciała uwierzyć, że syn nie mija się z prawdą, ale wiedziała, że nie pozbędzie się wątpliwości dopóty, dopóki nie wyjaśni wszystkich okoliczności.

- Nie wiem.
- Zdajesz sobie sprawę, że policja sprawdzi, czy pasują do domu Wellsa lub do pomieszczeń gospodarczych. Wezwą cię na przesłuchanie, to pewne.

Stephen z uporem zacisnął wargi. Tiffany wiedziała, że teraz nic z niego nie wydobydzie. Postanowiła dać mu trochę czasu na przemyślenie sytuacji, w jakiej się znalazł. Później ponowi wysiłki i wyciągnie z syna prawdę. Dla jego własnego dobra.

- Chodź, jeszcze porozmawiamy, trzeba jechać do lekarza. Musi zobaczyć to twoje oko - powiedziała i ruszyła do drzwi. Stephen posłusznie poszedł za nią.

Gdy znaleźli się przed domem, Tiffany poleciła synowi wsiąść do samochodu, a sama zawróciła na podwórko. Zobaczyła Christine, która ścisnęła palec J.D. Zmierzali w stronę domu.

- Stryjek Jay mówi, że dostanę loda - oznajmiła dziewczynka.

- Tak powiedział?
 - Po jedzeniu.
 - To trochę potrwa, kochanie. Muszę teraz zawieźć Stephena do szpitala. Pojedziesz z nami. - Sięgnęła po rączkę Christiny, ale dziewczynka schowała ją za plecy.
 - Loda!
 - Dostaniesz potem.
 - Teraz!
 - Christina, jedziemy. Och, co ja z tobą mam - powiedziała z westchnieniem Tiffany. J.D. wtrącił się nie proszony i niepotrzebnie spowodował dodatkowe komplikacje. Tiffany z trudem się pohamowała, żeby nie wybuchnąć. Czy nie ma dość kłopotów? Czy naprawdę musi znosić jego obecność? J.D. nie był przesadnie rodzinny, a od czasu śmierci Philipa ani razu nie zainteresował się losem swoich bratanków. Po co przyjechał? Na przeszpiegi? Aby udowodnić jej, że sobie nie radzi i Santini powinni zająć się dziećmi Philipa?
 - Pojadę z wami.
 - Nie ma takiej potrzeby. Nie musisz.
 - Jedź, jedź! - zawołała Christina, uczepiona jego ręki.
 - Ale chcę - stwierdził stanowczo J.D. - Popilnuję Christiny, kiedy wejdiesz ze Stephenem do gabinetu.
 - Naprawdę nie musisz - ponownie zaproponowała Tiffany. - Nie masz nic lepszego do roboty?
 - Niż opieka nad dziećmi rodzzonego brata?
 - Mają matkę. To ja się nimi zajmuję.
 - Ale nie mają ojca.
 - Zauważyłeś to? - spytała, nie kryjąc ironii.
- W tym momencie rozległ się donośny dźwięk klaksonu. To Stephen się niecierpliwił.
- Chcesz przez to powiedzieć, że masz zamiar popisywać się jako dobry stryjek

czy jako przyszywany tatuś? Daj sobie spokój - powiedziała Tiffany i ponownie sięgnęła po rączkę córki. - Idziemy.

J.D. niespodziewanie schwycił Tiffany za ramię i obrócił ją twarzą do siebie.

- To ty mi daj wreszcie spokój. Odkąd przyjechałem, prowokujesz mnie i pastwisz się nade mną. Czym na to zasłużyłem?

- Nie potrafię uwierzyć w twoją szczerłość, w twoje dobre intencje. Nie wpadłeś na to?

Natychmiast uwolnił jej rękę i zastygł w bezruchu. Na próżno Christina szarpała go za mankiet. Czekał. Klakson znów się odezwał.

- Dosyć tego zamieszania. Jedź z nami! - zdecydowała Tiffany. Stała przy samochodzie i zaczęła szukać kluczyków na dnie torby. Christina szybko wgramoliła się na tylne siedzenie auta.

- Wiesz dobrze, że wcale nie musimy ze sobą walczyć - powiedział J.D.

- Dobrze wiesz, że musimy.

- Wcale nie. Pamiętam moment, kiedy byliśmy do siebie usposobieni wręcz przyjacielsko, o ile tak można to nazwać.

Wspomnienie o wspólnie przeżytych intymnych chwilach wywołało ciemny rumieniec na policzkach Tiffany.

- Zapomnij o tym. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki - ostrzegła go. Usiadła za kierownicą i gestem kazała Stephenowi przesiąść się na tylne siedzenie. Chłopak zrobił to, ale nie omieszkał przy tym wyrazić swojej dezaprobaty. J.D. zajął opuszczone przez Stephena miejsce przy kierowcy. Mimowolnie syknął z bólu, usiłując znaleźć jak najwygodniejszą pozycję dla chorej nogi. Tiffany uruchomiła silnik. Oby tego dnia nie spotkało mnie więcej zmartwień i kłopotów, pomyślała. I oby J.D. jak najprędzej wyjechał, dodała. Zerknęła na niego kątem oka. Włożył ciemne okulary. Te lotnicze okulary przypomniały jej natychmiast ich pierwsze spotkanie. Nie wolno jej wracać do przeszłości. Powinna się skupić na bieżących sprawach. A tych nie brakuje. W drodze do szpitala w samochodzie panowała cisza.

Gdy przybyli na miejsce, okazało się, że Stephen nie musi czekać w kolejce. Zajęto się nim od razu. Lekarz zbadał oko i je opatrzył. Udzielił też wskazówek co do dalszego postępowania. Cała czwórka wróciła wkrótce do domu, a Tiffany wreszcie mogła zejść z oczu J.D. i zająć się sobą.

Postanowiła wziąć prysznic, który zawsze ją relaksował, wieczorem zdejmował z barków zmęczenie, a rano pobudzał do działania. Tak też uczyniła. Z przyjemnością stanęła pod strumieniem ciepłej wody. Powoli ustępowało znużenie, znikало zdenerwowanie. Nieoczekiwanie, wbrew woli Tiffany, powróciły wspomnienia pierwszego spotkania z J.D. Miała wówczas osiemnaście lat i była taka naiwna!

ROZDZIAŁ 5

Tiffany stała nieruchomo pod strumieniem wody. Zdradziecka pamięć ożywiła wydarzenia sprzed lat, wspomnienia stanęły jej przed oczami jak żywe.

- Tylko patrzcie na ten brylant! Ale wielki! - westchnęła Mary Beth Owens, przyjaciółka Tiffany, która, podobnie jak ona, wiosną ukończyła college. Chwyciła dłoń szczęśliwej narzeczonej i z zachwytem wpatrywała się w kamień błyszczącymi oczami.

Tiffany zaczerwieniła się jak piwonia i wyrwała rękę. Próbowiła skupić się na zapalaniu palników spirytusowych pod ogrzewaczami z jedzeniem dla weselnym gości zgromadzonych w winnicy Santinich w McMinnville.

- Ja życie bym dała za taki pierścionek. Ten twój Philip musi być nadziany - powiedziała z zazdrością w głosie Mary Beth, zajęta rozkładaniem kunsztownie uformowanych w rożki serwetek przy nakryciach przeznaczonych dla państwa młodych.

Pod ogromnym, specjalnym namiotem, na długim stole, przykrytym śnieżnobiałymi obrusami, stały liczne tace z najprzeróżniejszymi, najbardziej wykwintnymi przekąskami i puste kieliszki do szampana. Butelki chłodziły się w srebrnych kubałkach z lodem. Pianista próbował akordy przed występem, a

goście, którzy dopiero co przybyli z kościoła, stopniowo zapełniali liczne krzesła, rozstawione dla ich wygody. W jednym z rogów, na okrągłym stoliku pysznił się wielopiętrowy tort. Na prawo od niego ustawiono stół na prezenty. Blisko wejścia do głównego namiotu lodowa rzeźba, przedstawiająca szczęśliwą młodą parę, stopniowo zaczynała topnieć.

- Ile on ma forsy? Jak myślisz? - spytała Mary Beth.

Tiffany uśmiechnęła się, zamiast odpowiedzieć. Tak naprawdę nie tylko nie miała pojęcia, jak bogaty jest jej narzeczony, ale nawet nie była tego ciekawa. Przecież nie dla pieniędzy pragnęła za niego wyjść. Mary Beth, która była znaną plotkarą, bezlitośnie drażyła temat.

- Z tego, co słyszałam, Philip ma odziedziczyć cały ten majątek - powiedziała, wskazując szerokim gestem długie rzędy sadzonek winorośli, potężną ceglana siedzibę, zabudowania gospodarcze, tłocznie i piwnice oraz naturalny ziemny amfiteatr na zboczu wzgórza, gdzie odbywało się wesele. Ogromna, znakomicie prowadzona winnica Santinich słynęła w całym regionie, ale Tiffany nie interesowały księgi przychodów i rozchodów. Zdecydowała się wyjść za mąż za Philipa dla niego samego, nie dla jego majątku. Ujął ją kulturą osobistą, wiedzą o życiu, sposobem, w jaki o nią dbał i w jaki ją adorował.

- A wiesz, że stary Santini ma dwóch synów? - spytała konspiracyjnym szeptem Mary Beth. - Philip to ten dobry, a młodszy to ten zły. Żebyś tylko wiedziała, co oni z nim mieli?! Wiele razy był na bakier z prawem.

- Naprawdę? - z uprzejmości spytała Tiffany, nie zainteresowana zbytnio rewelacjami przyjaciółki.

Mary Beth energicznie kiwnęła głową.

- To przystojny facet, ale same z nim kłopoty. Moja mama uważa, że J.D. Santini to prawdziwa czarna owca w rodzinie.

Tiffany niewiele słyszała o bracie Philipa. Sama też się o niego nie dopytywała. Wiedziała, że jest sporo młodszy i że zbuntował się przeciwko zasadom i stylowi życia własnej rodziny. Kiedy w rozmowie wypływał temat

jego osoby, Philip w milczeniu kiwał głową i wzdychał ciężko. „James to James” - dodawał. „Nie umiem wyjaśnić jego postępowania. Nigdy się dobrze nie rozumieliśmy”.

To wystarczało Tiffany. Uruchomiła palnik pod ostatnim srebrnym ogrzewaczem; o mały włos, a oparzyłaby palce.

- Czy ty i Philip też będziecie mieć takie piękne wesele? - spytała Mary Beth.

- Nie. - Tiffany pokręciła głową. - On był już raz żonaty, więc ustaliliśmy, że nasz ślub ma być kameralny.

- Ale chyba przynajmniej będziesz mieć suknię ślubną i drużny... Patrz, limuzyna przyjechała!

Ogromny biały wóz wjechał na podjazd i, okrążywszy gazon przed domem, zaparkował obok kępy drzew w parku. Wsiadła z niego wiotka blondynka w wianku i z welonem. Wciąż jeszcze ścisnęła za rękę świeżo upieczonego pana młodego - niskiego, łysiejącego, krępego bogatego dentystę, który miał już na koncie cztery wcześniejsze śluby.

- Widzisz, Tiff, cztery małżeństwa nie powstrzymały doktora Inglesa przed urządzeniem wielkiej pompy.

W rzeczywistości to piąta wybranka doktora, zaopatrzona w sowity posag córka lokalnego telewizyjnego gwiazdora, marzyła od dziecka o bajkowym weselu. W kularach powtarzano ze śmiechem jej powiedzonko, że o ile dla niej to pierwszy ślub, dla narzeczonego na pewno ostatni. Tiffany niezbyt podobała się ta rozbuchana ceremonia. Uważała, że im mniej oficjalnie i z pompą, tym lepiej. Nie umiała wyobrazić sobie wystawnego ślubu w wielkim kościele, gdzie prowadzi ją do ołtarza ojciec, by oddać w ręce pana młodego. Poza tym nie chciała się zgodzić, by Philip płacił za wszystko. Mieli podzielić się kosztami po połowie, a jej możliwości finansowe były mocno ograniczone.

- Gdzie jest poncz dla dzieci? - spytała Mary Beth, zbaczając nareszcie ze śliskiego tematu.

- Wszystko na miejscu. Sama spójrz. Andre już przyniósł wazę.

Mary Beth ze swymi serwetkami przeniosła się do kolejnego stołu. Tiffany była zadowolona, że nareszcie została sama. Nie lubiła plotkować. Uśmiechnęła się, zobaczywszy w oddali swego Philipa, wysokiego przystojnego bruneta, który kierował przebiegiem ceremonii. Poznali się trzy miesiące temu na podobnym weselu, gdzie wynajęła się jako hostessa do obsługi stołów. Został do końca, po czym zaproponował, że odwiezie ją do domu. Odmówiła, nie chcąc mu nawet zostawić numeru telefonu, ale tak nalegał, że już dwa tygodnie później zaczęli się regularnie spotykać. Był od niej piętnaście lat starszy, ale nie przywiązywała do tego wagi. Co to ma za znaczenie, skoro się tak kochamy, umacniała się w swej decyzji.

Zanim spotkała Philipa, planowała, że od jesieni rozpocznie studia na Wydziale Ekonomicznym Uniwersytetu w Portland, utrzymując się z dorywczej pracy na godziny. Los chciał inaczej. Gdy Philip poprosił ją o rękę, zgodziła się. Dojrzały, inteligentny, wykształcony człowiek sukcesu wydawał jej się ideałem męża.

Z poprzednią żoną łączyły go poprawne stosunki. Mieli dwoje dzieci - dwunastoletniego chłopca i dziesięcioletnią dziewczynkę - które ku obopólnej zgodzie pozostały z matką. Tiffany, jedyne dziecko wychowane przez samotną matkę, zawsze marzyła o dużej rodzinie. Szczerze pragnęła pokochać dzieci Philipa, a w stosownym czasie urodzić własne. O ile przyszli narzeczem okazywali sobie uczucie i byli dobrej myśli, o tyle ich rodziny nie wykazywały zbytniego entuzjazmu. Rodzice Philipa, potomkowie włoskich emigrantów, byli praktykującymi katolikami. Nigdy nie pogodzili się z rozwodem pierwotnego syna, a już na pewno nie pragnęli dla niego kolejnego związku i do przyszłej synowej odnosili się wręcz wrogo. Rosę Nesbitt, matka Tiffany, także nie pochwałała małżeńskich planów córki.

- Masz zaledwie osiemnaście lat - przestrzegała ją, odkurzając pianino, przy którym spędziła lata, ucząc obce dzieci muzyki, aby wychować i utrzymać swą córkę. - Poczekaj jeszcze, Tiffany, może zmienisz zdanie.

- Philip nie chce dłużej czekać, mamó. On ma już trzydzieści trzy lata.
- O wiele za stary dla ciebie.
- Ale my się kochamy, mamó!
- On już kiedyś pokochał inną kobietę i ożenił się z nią, pamiętaj o tym.
- Wiem, ale...
- Tamto małżeństwo się rozpadło. Radzę ci, żebyś się nie spieszyła. Prawdziwa miłość wytrzyma każdą próbę.
- Po co czekać, mamó?
- A po co się spieszyć?
- Philip tego pragnie - powtarzała z uporem Tiffany.
- Przecież to nie powinna być jego decyzja, tylko twoja, kochanie. Nie rozumiesz tego? Kiedy dwoje dorosłych ludzi rozmawia o małżeństwie, to planują je wspólnie. Taki układ polega na wzajemnym braniu i dawaniu. Wiem, że nie jestem dla ciebie autorytetem w tych sprawach, bo nigdy nie wyszłam za mąż, ale mam przecież spore doświadczenie życiowe. Nie spiesz się. Spróbuj umówić się na randkę z chłopcem w twoim wieku.

Matka zapewne miała rację, ale Tiffany nigdy nie czuła się dobrze w towarzystwie rówieśników. Drażniły ją szczeniackie zachowania, hałaśliwość, głupota i egoizm. Philip stanowił całkowite zaprzeczenie takiego właśnie młodzieńca. Gdy tak patrzyła na niego z daleka, jak zdecydowanym krokiem przechodzi wzdłuż rzędu krzeseł z wystudiowanym, czarującym uśmiechem, była dumna, że to jej narzeczony. Czuła się wyróżniona, że tak wspaniały mężczyzna ją właśnie wybrał spośród innych, pokochał i poprosił o rękę.

- Cześć, kochanie. - Philip zmierzał do bufetu z winami Santinich, ale przystanął na chwilę przy jej stole.
- Cześć. - Twarz Tiffany rozpromieniła się w uśmiechu.
- Wszystko gra?
- Chyba tak.
- Dobra robota, dziecinko. Zajrzę tu jeszcze. - Philip mrugnął

porozumiewawczo i niebawem znikł Tiffany z oczu w gęstniejącym tłumie gości.

Obsługa parkowała kolejne samochody, pianista grał wiązaną sentymentalnych melodii, a Tiffany i Mary Beth nalewały do kieliszków poncz oraz najlepsze chardonnay i chablis, jakie mogła zaoferować gościom firma Bracia Santini. Wino szło jak woda. Towarzystwo w wieczorowych strojach plotkowało, piło i zajadało zimne i gorące zakąski.

Państwo młodzi zabrali się do dzielenia tortu. Wypili potem toast z kryształowych kieliszków, i, cali w uśmiechach, jako pierwsza para ruszyli na parkiet, ułożony nieopodal stawu i sztucznego wodospadu. Cała scena była tak romantyczna, że Tiffany z trudem opanowała wzruszenie. Zaraz jednak powiedziała sobie, że przecież wcale jej nie zależy na całej tej szumnej, bajkowej oprawie, przymiarkach u krawca, jeździe limuzyną i krojeniu tortu wysokiego jak wieża. Po prostu chciała wyjść za Philipa.

Stała na swym posterunku, chwilowo zapomniana i niepotrzebna, bo większość gości kłębiła się wokół baru i na parkiecie. Nagle jej wzrok przyciągnęła wysoka postać nieznanego bruneta. Wysoki, szczupły i umięśniony młody mężczyzna zachowywał się tak, jakby nikogo tu nie znał. Szedł powoli w kierunku Tiffany. Miał na sobie sprany dżinsowy komplet, a na nosie okulary słoneczne. Spod kurtki widać było biały podkoszulek. Mimo że okulary były bardzo ciemne, wyczuła, że patrzy wprost na nią i to z taką intensywnością, iż miała ochotę skryć się w mysią dziurę. Zamiast tego jednak przywołała na twarz sztuczny uśmiech i spytała:

- Czym mogę służyć?
- A czym byś chciała?
- Czy jest pan gościem doktora Inglesa?
- A powinienem być?

Tiffany zastanawiała się, czy nie wezwać ochroniarzy. Zdecydowała jednak, że lepiej nie. Wprawdzie młody mężczyzna nie nosił garnituru i krawata, ale nie

znaczyło to, że nie został zaproszony. W każdej rodzinie może się trafić buntownik.

- Mogę panu zaproponować homara i rostbef à la Wellington albo...

- Jesteś Tiffany Nesbitt?

- Tak - odparła, zastanawiając się, kim może być ten człowiek.

Nieznajomy bez uprzedzenia sięgnął ponad stołem i uniósł jej rękę ku swym oczom. Brylantowy pierścionek rozjarzył się odbitym blaskiem ostatnich promieni zachodzącego słońca. Twarz mężczyzny stężała, a ostre, jak wyciosane z kamienia rysy przypominały w tym momencie indiańską rzeźbę. Tiffany wyrwała rękę i schowała ją za plecami, jakby nagle pierścionek został zbrukany i stał się czymś nieprzyzwoitym.

- Ty jesteś...

- J.D.

Zrobiło jej się słabo. W gardle zaschło, a żołądek zaczął wyprawiać jakieś dziwne harce.

- Brat Philipa.

- Ja... rozpoznałam tę inicjały.

- To dobrze. - Uśmiechnął się ironicznie i dodał: - Wygląda na to, że będziemy spowinowaceni.

Tiffany nie potrafiła ukryć rozczarowania i niesmaku. O ile Philip był dżentelmenem w każdym calu, o tyle jego brat zachowywał się jak nieokrzesany kowboj. Mimo przykrych odczuć, postanowiła się opanować i potraktować brata przyszłego męża z całą uprzejmością.

- Miło mi cię poznać, James.

- Nikt mnie tak nie nazywa.

- Ale Philip...

- Philip to kawał snoba. Możesz mi mówić J.D. albo Jay. - Sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął paczkę papierosów. - To uprości sprawę.

- Dobrze - zgodziła się mimo rosnącej irytacji. Co ten cały James - nie, nie

James, ale J.D. - sobie myślał, przychodząc na cudze przyjęcie weselne w zwykłych dżinsach. Teraz palił papierosa, obserwując tłum spod zmrużonych powiek. Biodrem oparł się wygodnie o stół, za którym stała Tiffany. Ona udawała, że go nie widzi, i z wdziękiem obsługiwała innych gości. Gdy z papierosa został tylko niedopałek, rozgniół go butem.

Tiffany miała nadzieję, że wkrótce zjawi się Philip i wybawi ją z niezręcznej sytuacji. Nie miała ochoty na uprzejmą wymianę nic nie znaczących zdań z tym nieokrzesanym J.D. Niestety, narzeczony był wciąż zabiegany, prznosił się od jednego kółka gości do drugiego, wszystkim prawil komplementy i rozdawał uśmiechy. W firmie Bracia Santini pełnił funkcję wiceprezesa do spraw handlowych i odpowiadał za wysokość sprzedaży w całym regionie, toteż wykorzystywał każdą okazję do nawiązania nowych kontaktów.

Tiffany usiłowała unikać spojrzeń J.D, czuła jednak na sobie jego wzrok. Gdy wokół stołu znów opustoszało, nie wytrzymała.

- Czym się zajmujesz? - spytała, przerywając niezręczną ciszę.

Niedbałym gestem zsunął okulary na czoło i spojrzał jej prosto w twarz szarymi i zimnymi oczami.

- Czym się zajmuję? Odpowiedź zależy od tego, kto pyta.

- Przepraszam, ale nie zrozumiałam.

- Mój ojciec uważa, że jestem kryminalistą, moja matka uważa, że jestem geniuszem, a mój brat, że jestem jak drzazga w tyłku. Sama wybierz wersję, która ci się najbardziej podoba.

- A co ty sam o sobie myślisz?

W kąciu ust pojawił mu się uśmiech. Nie wiedziała, czy z premedytacją uwodzicielski, czy po prostu po chłopięcemu czarujący.

- Z pewnością nie jestem aniołem.

- Wierzę - odpowiedziała. Czyżby próbował z nią flirtować?

- Mądra dziewczynka.

Zapadał wieczór, trawnik ogarniał gęstniejący cień. W całym ogrodzie

zapalono świece i pochodnie. Pianista grał teraz wiązanek piosenek o miłości. Tiffany zatęskniła za bliskością Philipa, zarazem pragnąc znaleźć się jak najdalej od jego brata. O ile Philip był silny jak skała, małomówny, wyrozumiały i cierpliwy, młody człowiek stojący naprzeciw niej za stołem tryskał energią jak wulkan. Widać było, że nieprędko dobije do bezpiecznej i spokojnej życiowej przystani.

- To kiedy nadejdzie wasza szczęśliwa godzina? - spytał J.D. Znow pogmerał w kieszeni w poszukiwaniu papierosów. Wytrząsnął ostatniego z paczki, którą gwałtownie zgniótł w dłoni.

- Przepraszam, nie zrozumiałam. - Tiffany zaczęła uprzątać brudną zastawę. Zbliżała się pora zakończenia uroczystości.

- Pytałem o wasz ślub. Na kiedy jest wyznaczony?

- Jeszcze nie wybraliśmy daty.

Pstryknął zapalniczką, żeby przypalić papierosa.

- To niepodobne do Philipa. Całe życie planował wszystko co do minuty. Pewnie zaplanował już swój własny pogrzeb.

To była prawda. Philip znał stan swego konta co do centa, napełniał bak, kiedy strzałka na tablicy rozdzielczej wskazywała dokładnie połowę, codziennie zmieniał garnitury, aby się równomiernie zużywały i, na tyle, na ile zdążyła go poznać Tiffany, miał tylko jedną słabostkę - lubił posiedzieć przy zielonym stoliku. Oczywiście tylko dla rozrywki.

- Philip chciałby, żebyśmy się pobrali przed świętami - wyznała szczerze i zaraz pożałowała swych słów. J.D. popatrzył na nią z pogardą, jak na patentowaną idiotkę.

- Żeby mieć odpis podatkowy jeszcze za ten rok - zauważył cynicznie, wydmuchując wielki kłęb dymu.

Nie, wcale nie, bo się kochamy! - miała ochotę wykrzyknąć mu prosto w twarz, ale się pohamowała.

- Możliwe. To rozsądne - powiedziała.

- Tak uważasz? - uśmiechnął się sarkastycznie. - Życzę ci dużo szczęścia. Będziesz go potrzebować.

- Czemu tak mówisz?

- Nie znasz mojego brata, a ja spędziłem z nim sporo lat pod jednym dachem.

Po tych słowach J.D. odwrócił się i odszedł o kilka kroków. Zatrzymał przechodzącego kelnera z tacą i wziął od niego piwo, demonstracyjnie lekceważąc renomowane rodzinne wina. Tiffany patrzyła za nim. Oparł się o pień drzewa i palił w milczeniu, pociągając ze szklanki.

Co J.D. wie o Philipie takiego, czego ja nie wiem? - zastanawiała się Tiffany. Dzieli ich aż jedenaście lat. Nie pozwolę się sflamsić, postanowiła twardo. Zdmuchnęła płomyki gazu pod ogrzewaczami. Cały klan Santinich był przeciw niej, a teraz okazało się, że w awangardzie jest właśnie J.D.

Tego lata widywała go od przypadku do przypadku. Ich rozmowy były błahe, demonstracyjnie grzeczne i całkowicie obojętne. J.D. nie silił się nawet na ukrywanie, co myśli o narzeczeństwie brata, Tiffany zaś w jego towarzystwie stale gryzła się w język, żeby nie powiedzieć o jedno słowo za dużo. Na szczęście nie były to częste okazje. J.D. zmieniał panienki jak rękawiczki. Wszystkie były efektowne, wyrafinowane i bogate, ale z żadną nie związał się na tyle długo, by przedstawić ją oficjalnie rodzinie.

W jego obecności Tiffany zawsze czuła się nieswojo. Był bardzo męski, a to instynktownie budziło w niej kobiecą chęć podobania się. Z podsłuchanych przypadkiem urywków cudzych rozmów dowiedziała się, że ukończył średnią szkołę i myśli o podjęciu studiów prawniczych. Philip podśmiewał się, że jego brat, tak często na bakier z prawem, postanowił zostać adwokatem.

- W gruncie rzeczy połowa adwokatów ma duszę przestępcy - wywodził Philip. - Jedni wierzą w system i sprawiedliwość, a inni tylko kombinują, jak wykorzystać przepisy na korzyść klienta. Odnoszę wrażenie, że nasz James jak ulał pasuje do tej drugiej grupy.

Tiffany nie podzielała opinii Philipa. Mimo wszystkich wad i długiej listy

wybryków J.D. miał w sobie wewnętrzną prawość i siłę. Posługiwał się zapewne własnym kodeksem etycznym, ale najważniejsze, że go w ogóle miał.

Tak przeszło lato i połowa jesieni. Tiffany unikała J.D., a i on nie szukał jej towarzystwa. Ona starała się bardzo o ograniczenie do koniecznego minimum spotkań z całą rodziną Santinich. Carlo jasno i wyraźnie dał jej do zrozumienia, że jego starszy syn, dla dobra byłej żony i dzieci, powinien się jeszcze wstrzymać z powtórным ożenkiem. J.D. uważał, że brat w ogóle nie powinien tego robić, zaś Frances, przyszła teściowa Tiffany, obawiała się, że związek z dziewczyną o piętnaście lat młodszą nie da synowi szczęścia.

- Matka przyzwyczai się z czasem - zapewniał Philip Tiffany, ale czas mijał, a Frances wciąż traktowała ją z wyraźną niechęcią.

- Jeszcze możesz się wycofać - perswadowała jej własna matka dwa tygodnie przed ślubem. Był początek października, cudowne babie lato. Dni były bezchmurne i ciepłe, noce chłodne i gwiaździste.

Tiffany stawała się coraz bardziej zdenerwowana i niepewna swego. Choć wiedziała, że z całego serca pragnie poślubić Philipa, być jego żoną i matką jego dzieci, mroziła ją myśl o nieprzejednanej wrogości Santinich.

Szczególnie dało się to odczuć na uroczystym obiedzie, wydanym w ich rodzinnej siedzibie. W miłej atmosferze miano świętować zapowiedzi, a tymczasem Carlo wypił za dużo wina własnej produkcji i stał się zgryźliwy, Frances wciąż wypominała Philipowi, że rozwiódł się z żoną i zostawił dzieci, a J.D., który siedział przy stole naprzeciw Tiffany, nie przepuścił żadnej okazji, żeby prowokacyjnie popatrzeć jej w oczy. Nie to, żeby ją gromił wzrokiem albo po przyjacielsku mrugał; nie mogła odgadnąć, o co mu chodzi, ale peszyła ją intensywność jego natarczywego spojrzenia. Raz czy dwa podczas posiłku uśmiechnął się, ale widać było, że w gronie własnej rodziny najwyraźniej czuje się równie obco jak Tiffany.

Philip, Carlo i jego brat Mario mieli wieczorem lecieć do Las Vegas na konferencję. Ślub Philipa i Tiffany zaplanowano po ich powrocie. Pozostawało

jej tylko przebrnąć do końca przez niefortunny obiad i przeżyć następny tydzień, aby się obudzić jako pani Philipowa Santini. Zimny pot zrosił jej czoło. Próbowwała skupić się na rozmowie i konsumowaniu porcji jagnięciny z ziemniakami. Nie było to łatwe, ponieważ Mario i jego żona wciąż przechodzili z angielskiego na włoski, rozumiały dla wszystkich przy stole prócz Tiffany. Wyczuwała, że mówią właśnie o niej, mimo iż nikt nie używał imion. Z całych sił modliła się, by Bóg zechciał skrócić jej męki.

Ale Bóg, jak się okazało, miał zupełnie inne plany.

Gdy rodzina zebrała się w salonie przy kawie i likierach, zegar w holu zaczął głośno bić.

- Raz, dwa... pięć... osiem - liczyła Frances. - Czy wy aby nie macie samolotu o dwudziestej pierwszej trzydzieści? - spytała, zaniepokojona. Pokonanie drogi z domu do lotniska wymagało przeszło godziny jazdy.

- Rzeczywiście, zrobiło się późno - stwierdził Philip, spojrzawszy na zegarek. - W drogę, tato. James, podrzuć Tiffany do domu, dobrze? - dodał.

Tiffany zamarła. Na samą myśl o tym, że ma zostać sam na sam z J.D. ogarnęło ją przerażenie.

- Sądziłam, że ty mnie odwieziesz po drodze - powiedziała pozornie obojętnym tonem.

- Zmiana planów, słoneczko. Musimy jechać prosto na lotnisko, inaczej nie zdążymy. Dla Jamesa to żaden kłopot, a ciebie tak czy tak musi ktoś odstawić - odparł Philip. Tiffany po raz pierwszy usłyszała w jego głosie protekcyjną nutę.

- Ależ... - próbowała oponować. J.D. z drugiej strony stołu popatrzył na nią ze szczerym rozbawieniem.

- Bez nerwów, jestem łagodny jak baranek. Możesz mi zaufać - powiedział.

Tiffany miała szczerą ochotę ostro zaprotestować, ale nie odważyła się robić sceny w obecności rodziców Philipa. I tak patrzyli na nią krytycznie. Nie chciała sama dawać im pożywki do oskarżeń, że jest kapryśną, rozpieszczoną smarkułą.

- Dobrze - zgodziła się z nikłym uśmiechem. Już wcześniej przewidywała, że obiad może się późno skończyć i proponowała Philipowi, że przyjedzie do domu jego rodziców własnym autem. On jednak twierdził uparcie, że jako zaręczona para muszą się tam zjawić razem.

No i wpadła jak śliwka w kompot,

Cóż było robić, jak nie dobrą minę do złej gry? Gdy Philip z ojcem wyjechali, Tiffany zaproponowała Frances, że pomoże. Przyszła teściowa machnęła tylko ręką, mówiąc, że o takie rzeczy jak brudne naczynia w jej domu troszczy się służba. Nie minęło więc pół godziny, a Tiffany wylądowała obok J.D. na siedzeniu jego pikapa. Ścisnęła torebkę tak mocno, jakby od tego zależało całe jej życie, i próbowała uczestniczyć w obowiązkowej konwersacji. W końcu miał niebawem zostać jej szwagrem. Byłoby śmieszne i niestosowne, gdyby unikała go jak zarazy.

- Powiedz mi, co ty widzisz w tym Philipie? - spytał, gdy przejeżdżali między wzgórzami otaczającymi Portland.

- Słucham? - O co tym razem mu chodzi? - zastanawiała się Tiffany. Na niebie gromadziły się czarne, burzowe chmury, zasłaniające księżyc i gwiazdy. Wielkie krople deszczu zaczęły bębnić o szybę i plandekę.

- No, spróbuj raz się nie wykręcać. On jest dużo starszy od ciebie.

- Tak mówią - przyznała ironicznie.

- A więc wiesz. - J.D. ściał zakręt trochę za ostro. Burza rozpętała się na dobre, a deszcz walił w szyby.

- A ty chciałbyś przekonać mnie, że popełniam błąd, tak?

- Miałbym szansę? - Obrzucił ją szybkim spojrzeniem, pobudzając przyspieszony puls do galopu.

- Żadnej.

- No właśnie.

Światła nadjeżdżającego z przeciwka samochodu omiotły kabinę pikapa zimnym, białym blaskiem, przez chwilę uwydatniając profil J.D. Tiffany

odwróciła głowę. Nie chciała patrzeć na tę twarz, uosabiającą męski urok. Samochody minęły się i znów zapadła ciemność.

- Myślę, że to będzie twój pogrzeb - rzekł, pstrykając zapalniczką.

- Chciałeś chyba powiedzieć: wesele.

- Jak wolisz.

Przed nimi zamigotały światła Portland. Tiffany patrzyła, jak J.D. zapala papierosa z paczki leżącej przy szybie. Zaraz wyskoczy z auta i ucieknie jak najdalej od tego cholernego brata Philipa, który ośmiela się traktować ją z taką pogardą. Czy ją cokolwiek obchodzi, co sobie ten typek myśli? Najważniejsza była miłość, która łączyła ją z Philipem.

- Wiesz, J.D., mógłbyś się odrobinę postarać i zaakceptować nasz związek - powiedziała w końcu. On otworzył okno. Zapach dymu zmieszał się ze świeżym wilgotnym powietrzem. - Nie powinniśmy stać po przeciwnej stronie barykady.

- Uważasz, że jestem twoim przeciwnikiem?

- Właśnie.

- A czego byś chciała? Żebym był miłszy? - Wydmuchnął dym z obu nozdrzy naraz, jak smok.

- Nieźle by było na początek.

- Naprawdę? - mruknął drwiąco, ostro biorąc zakręt. - Na ile miłszy?

Tiffany w milczeniu policzyła do dziesięciu i dopiero potem podjęła rozmowę.

- Słuchaj, J.D., przestań się zgrywać, dobrze? Zachowujmy się jak normalni ludzie.

- A po co?

- Bo mamy być jedną rodziną.

- Jeżeli o mnie chodzi, to mam po dziurki w nosie rodzinnego ciepła - powiedział, rzucając jej spojrzenie, które stopiłoby granit. Skreślił w stronę mostu Selhrood. Gdy przejeżdżali przez czarne wody rzeki Willamette, J.D. wyrzucił niedopałek przez okno. Rozżarzony punkcik zgasł w ciemnościach jak spadająca gwiazda.

- Czy możesz mi powiedzieć, za co mnie aż tak nie lubisz? - spytała Tiffany, gdy krążyli już ulicami miasta. Postanowiła jednym cięciem rozwiązać ten gordyjski węzeł.

- Nie o ciebie chodzi - odparł J.D.

- Kłamiesz. Skręć tutaj, o mało nie minąłeś mojej ulicy. No więc, jeśli nie o mnie chodzi, to w czym problem?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - Opony zapiszczały na śliskim asfalcie.

- Tak. To tu, trzeci dom na prawo.

Zaparkował tuż pod latarnią i wyłączył silnik. Deszcz miarowo bił o dach samochodu.

- Philip już raz popełnił błąd, już raz się ożenił.

- A teraz uważasz, że robi drugi?

- Zdecydowanie tak. - Spojrzał jej w twarz pociemniałymi oczami.

- Cóż, może cię to zdziwi, że się obrażam, ale przecież ja i Philip naprawdę się kochamy i chcemy... Och!

Objął ją tak nagle, że nie miała żadnych szans na zrobienie uniku. Przycisnął ją do piersi, a jego usta, twarde i gorące, miażdżyły jej wargi i niemal pozbawiały tchu. Próbowwała się wyrywać i odepchnąć go, a wówczas objął ją jeszcze mocniej. Wymuszony z początku pocałunek stawał się coraz bardziej zmysłową pieśczętą. Tiffany poddała się. Serce waliło jej jak młotem i pojękiwała cicho, niczym błagające o litość zwierzątko w pułapce. J.D. był blisko, bardzo blisko, prawie nic ich nie dzieliło. Tiffany instynktownie zamknęła oczy i przytuliła się, domagając się więcej pieśczęt, i wówczas w jej mózgu odezwał się ostrzegawczy sygnał. Nie rób tego, dziewczyno! Nie rób tego, to grzech!

Odepchnęła J.D. Spodziewała się walki, a tymczasem on opuścił ramiona i odsunął się, drwiąco uśmiechając się w półmroku.

- Chciałaś wiedzieć, dlaczego uważam twoje małżeństwo z Philipem za błąd? Waśnie dlatego.

Tiffany otarła usta wierzchem dłoni.

- Idź do diabła.

Roześmiał się głośno, gdy rzuciła się do drzwi i wyskoczyła z auta. Czerwona jak burak ze wstydu i zażenowania biegła do domu, by jak najprędzej ukryć się za drzwiami. Ależ była głupia! Jak mogła pozwolić mu się całować, dotykać? Ze zdenerwowania nie mogła przez dłuższą chwilę trafić kluczem do dziurki, a gdy jej się to udało, wpadła do środka jak bomba, z hukiem zatrzaskując drzwi.

O Boże, co robić? Dławiła ją rozpacz i poczucie winy. Nie mogła sobie wybaczyć tej chwili słabości. Przekreśliła zasuwę, jakby trzask metalowego zamka był zaklęciem chroniącym ją od dalszych pokus, odczynieniem grzechu, który przed chwilą popełniła. Grzechu? Jakiego grzechu? Przecież był to tylko zwykły pocałunek, nic więcej. Zresztą, co to jest pocałunek? Głupstwo niewarte wzmianki. Philip by się tym zapewne w ogóle nie przejął. Dlaczego zatem serce wciąż jej waliło, usta nabrzmiwały, a piersi paliły? Kobiety, które tak się zachowywały, nazywano różnie, zawsze pogardliwie.

Wciąż miała twarz purpurową ze wstydu. Ukryła ją w dłoniach. Przecież to był tylko pocałunek, który J.D. w dodatku na niej wymusił. Nie była przygotowana na atak, nie oczekiwała go, nie prowokowała. A jednak... Gdy już się stało, zareagowała tak, jak on zamierzył. I chciała więcej. Psiakrew.

Tiffany wciąż stała oparta plecami o drzwi wejściowe, dosłyszała więc warkot silnika i szum opon odjeżdżającego dżipa J.D.

Bogu dzięki.

- Nie wracaj - wyszeptała w ciemności, obejmując dłonią gardło, aby wyciszyć rozszalały puls. - Nie waż się tu wracać, draniu. Nigdy!

Jednak wrócił, choć po wielu latach. W dodatku teraz, czy jej się to podobało, czy nie, zamieszkał z nią pod jednym dachem. A najgorsze było to, że to samo pożądanie, jakie poczuła wówczas, podczas pierwszego pocałunku, znów zbudziło się do życia. Tym razem jednak sytuacja diametralnie się zmieniła. Teraz bowiem Tiffany była kobietą wolną.

ROZDZIAŁ 6

Nareszcie sobota, pomyślała Tiffany, kończąc listę zajęć na weekend. W pralce wirowało drugie pranie, w piecyku czekały gorące naleśniki, a na podłodze wiadro ze środkami do czyszczenia. Tiffany planowała na ten dzień pastowanie podłóg i mycie okien; Stephen miał w tym czasie skosić trawnik i umyć samochód. Co do kłopotliwego nowego lokatora, to na szczęście okazał się rannym ptaszkiem i wyszedł z domu. Jeszcze przed wstaniem z łóżka usłyszała, jak uruchamia silnik dzipa i odjeżdża. Była zadowolona, że przynajmniej przez następne parę godzin nie będzie mieć okazji do konfrontacji z J.D. Od momentu, kiedy wynajęła mu pokój, nie mogła przestać o nim myśleć.

- Głupia baba ze mnie - mruknęła.

- Mamuniuu! - zawołała z góry Christina.

- Jestem w kuchni, kochanie! - Na schodach rozległ się natychmiast tupot małych stopek. Tiffany uśmiechnęła się.

- Ktoś przyszedł!

- Tak?

Istotnie, po chwili rozległ się dzwonek w holu. Z nadzieją, że to może nowy kandydat na lokatora, Tiffany poprawiła włosy i podeszła do drzwi wejściowych. Christina stała na ostatnim schodku, trzymając w ręczce róg swego ukochanego, wystrzępionego kocyka. Patrzyła z ciekawością przez wąskie szklane okno. Za drzwiami stał szczupły, wysoki mężczyzna. Z nerwowym uśmiechem usiłował zajrzeć przez szybkę do środka. Tiffany zamieniła się na moment w słup soli, rozpoznając wyraziste rysy Johna Cawthorne'a, tego bezczelnego, kłamliwego łajdaka, który okazał się być jej ojcem. Trzymał w dłoniach stetsona, mnąc długimi, kościstymi palcami jego zakurzone rondo.

- Oczom nie wierzę - wyszeptała cicho Tiffany.

- Co? - spytała z dziecięcą naiwnością Christina.

- Och, nic, nic. Chodź do mnie, słoneczko.

- Kto to jest? - Dziewczynka uparcie wpatrywała się w obcego.

- To jest mój... To jest pan Cawthorne - z trudem wykrztusiła Tiffany. Wzięła Christinę na rękę i dopiero wtedy otworzyła drzwi.

- Chyba powinniśmy porozmawiać - zaczął nowo przybyły prosto z mostu, nie zwracając sobie głowy zwyczajowym „dzień dobry”. Oczy mu się rozjaśniły, gdy przyjrzał się Christinie. Tiffany przez jedną krótką chwilę zastanawiała się, czy rzeczywiście zależy mu na wnuczce, czy właśnie odezwał się w nim instynkt ojcowski. A jeśli tak, to dlaczego tak późno? Dlaczego po trzydziestu latach obojętności?

- Teraz? - spytała.

- W każdym razie przed moim ślubem.

- Dobrze, może być teraz, bo później nie będzie na to czasu - powiedziała cichym głosem. Okazała słabość, więc miała się za kompletną idiotkę. - Myślę, że nie bardzo jest o czym, ale skoro już się pofatygowaleś, to proszę, wejdź do środka.

Sama sobie zawsze napytam biedy, przemknęło jej przez głowę, gdy prowadziła ojca do kuchni, zamiast po prostu zatrzęsnąć mu drzwi przed nosem. No i co z tego, że ten człowiek ją splodził? Gdzie był, kiedy dorastała i potrzebowała ojca, a jej młoda matka męża albo przynajmniej lojalnego kochanka?

W kuchni Tiffany postawiła Christinę na podłodze.

- Mam tu dla ciebie gorące naleśniki - powiedziała do córki, życząc sobie z całego serca, żeby Cawthorne natychmiast zniknął jej z oczu. Nie miała mu nic do powiedzenia. Absolutnie nic.

- Nie chcę - powiedziała Christina, kręcąc na palcu czarny loczek i z ciekawością wpatrując się w obcego pana. John odwrócił się i z ciepłym uśmiechem spojrzał w otwarte szeroko oczy swojej małej wnuczki.

- A więc ty jesteś Christina - powiedział.

Tiffany uczuła zapiekły żal i pretensję. Mimo że była wychowana przez samotną matkę, naiwnie wierzyła w tradycyjny model rodziny z rodzicami,

dziadkami, ciotkami, wujkami i kuzynami. W taką rodzinę, która spędza razem wakacje i święta, dzieląc najpiękniejsze wspomnienia. No cóż, marzenia pozostały marzeniami.

- Christina, przywitaj się z panem Cawthornem - powiedziała.

- Przecież może mówić do mnie...

- Pan Cawthorne - zimno dokończyła Tiffany, rzucając ojcu wyzywające spojrzenie. Zaciśnął zęby.

- Możesz mi mówić John, dziecko - zaproponował, i tym razem Tiffany kiwnęła głową na znak zgody.

Wyjęła z kredensu podstawkę i postawiła na niej półmisek z naleśnikami. Gdy Christina wdrapała się na swoje wysokie krzeselko, a matka nałożyła apetyczną porcję na jej talerz, dziewczynka straciła zainteresowanie gościem.

- Chcę syropu - zażądała.

- Poproszę o syrop - poprawiła ją Tiffany. Otworzyła butelkę z syropem klonowym i obficie polała naleśniki ku wielkiemu zadowoleniu dziewczynki.

- Gdzie jest Stephen? - spytał John.

- Jeszcze śpi. - Tiffany automatycznie pokroiła naleśniki Christiny na małe kawałeczki i naląła jej szklanek żurawinowego soku.

- Chciałbym go zobaczyć.

Tiffany nie wierzyła własnym uszom.

- Chodźmy porozmawiać gdzie indziej - powiedziała. Bez pytania naląła dwie filiżanki kawy i wręczyła ojcu szklany dzbanek. - Śmietanki? Cukru?

- Może być czarna - odparł.

- Dobrze. Jedz, Christina. Będziemy w saloniku.

- Dobrze.

Tiffany, przygryzając ze zdenerwowania wargi, zaprowadziła ojca do niewielkiego pomieszczenia. Dla takiego bogacza jak John Cawthorne ten pokój umeblowany używanymi sprzętami, z nadgryzionym przez mole fałszywym persem na podłodze, musiał prezentować się nędznie. Taka była jej pierwsza

myśl, ale po chwili ją zrewidowała. A może wcale tak nie było? Skoro ojciec zamierzał pojąć za żonę tak prostą kobietę jak Brynnie, nie musiał być koniecznie wielbicielem luksusu. Być może zatem jej całkiem gustowny salonik, utrzymany w brzoskwiniowo-zielonej tonacji, z podłogą z dębowych desek i kretonowymi zasłonami, wcale nie wydawał mu się tak wyszarzały, jak z początku sądziła. A nawet gdyby... Co ją w końcu obchodziły gusta Johna Cawthorne'a? Jej samej salonik się podobał. Nawet bardzo. Było tu dużo światła, wysoki sufit, a ze ścian uśmiechały się na fotografiach kobiety z rodziny, bezgranicznie kochające i kochane - mama Tiffany, Rosę oraz jej babka Octavia. Na tle książek umieszczonych we wbudowanej w jedną ze ścian bibliotece stały w ramach fotki Stephen'a z czasów przedszkolnych i szkolnych. Obok wisiały portrety malutkiej Christiny, a gzyms kominka zdobiła umieszczona w złotej ramie ślubna fotografia Tiffany i Philipa. Nigdzie natomiast nie było śladu po Johnie Cawthorne czy kimkolwiek z jego rodziny. I tak powinno pozostać.

- Usiądź, proszę - powiedziała Tiffany.

- Postoję.

- Skoro chcesz - zgodziła się. Sama zajęła stare krzesło z oparciem.

- Dobra kawa - powiedział John Cawthorne, upiwszy odrobinę z filiżanki i odwiesiwszy stetsona na okrągły zagłówek kanapy.

- Nie trudziłeś się chyba taki szmat drogi tylko po to, żeby sprawdzić, czy umiem parzyć kawę - skontrowała tę błahą uprzejmość Tiffany.

- No, nie - uśmiechnął się kwaśno.

- Tak myślałam. - Tiffany zamilkła. John wpatrzył się w filiżankę, jakby szukając właściwych słów. Nie musiał. Tiffany wiedziała, co za chwilę usłyszy.

- Wiesz, że się żenię w tę niedzielę?

- Musiałabym mieszkać na pustyni, a nie w Bittersweet, żeby o tym nie wiedzieć.

- Dostałaś zaproszenie?

- Owszem.

John nieporadnie przenosił ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Tiffany dostrzegła teraz, że jest naprawdę stary. Stary i zmęczony życiem, jak zdarte do cna obcasy kowbojskich butów. Nie wolno mi się nad nim litować, upominała się w duchu. Ten drań nie dał znaku życia przez trzydzieści trzy lata. Nie miałam ojca, i niech tak zostanie.

- Miałem nadzieję, że przyjdiesz z dziećmiakami - powiedział cicho.

- Cóż... raczej nie.

- Zrobisz, co zechcesz - odparł po dłuższej chwili. - Nie będę miał pretensji. Wiem, że nie byłem dla ciebie dobrym ojcem.

- Rzecz w tym, że w ogóle cię nie było - odrzekła Tiffany, z trudem powstrzymując łzy. Była rozzalona, a zarazem zła, że ten człowiek, na którym kompletnie nie powinno jej zależeć, budzi aż tak silne emocje. Przecież nigdy dotąd nawet palcem nie kiwnął, by zrobić coś dla niej samej lub jej dzieci.

- Teraz będzie inaczej.

- Naprawdę? - Tiffany pstryknęła palcami. - Co, ot tak?

- Naprawdę, tylko daj mi szansę.

- No, nie... - zaczęła, ale John nie pozwolił jej skończyć.

- Przestań, Tiffany. Nie jest mi łatwo, zapewniam cię. Wiesz, że nie należę do facetów, którzy chętnie przyznają się do błędu. Wręcz przeciwnie, psiakrew! - podniósł głos. - Bardzo mi głupio, że tak, a nie inaczej postąpiłem z twoją mamą, a przy okazji z tobą. Nie mam ci za złe, że mnie nie cierpisz, ale wiedz jedno - przyszedłem tu dzisiaj, bo jesteśmy i nie przestaniemy być rodziną.

- Rodzina to nie tylko więzy krwi - odparowała Tiffany. Zamrugwała gwałtownie, by powstrzymać łzy. - Rodzina to miłość, zrozumienie i wspólnota. W rodzinie jesteśmy na zawołanie, gdy ktoś bliski nas potrzebuje. Razem dzielimy sukcesy i porażki. Życie rodzinne nie polega na zbiorowych uroczystościach weselnych i pogrzebowych, tylko na tym, żeby się wspierać na co dzień - mówiąc to, patrzyła na ojca oskarżycielsko. Wydawało jej się nawet, że się

przez moment zawstydził.

- I co ja ci mam na to odpowiedzieć? - spytał, znów wbijając wzrok w filiżankę. Pokiwał głową z rezygnacją. - Zmieniłem się, dziecko. Przy ostatnim zawale o mało nie umarłem. Dopiero wtedy zrozumiałem, co jest w życiu najważniejsze. - Odchrząknął i spojrzał na córkę, której znów zaszkliły się oczy. - Nie chcę ci kłamać i wmawiać, że kochałem twoją matkę, bo to nieprawda. Zeszliśmy się na krótko i nigdy nie było mowy o tym, że będziemy razem. Ale co do ciebie i dzieciaków, to zupełnie inna sprawa.

Skrzypnęły schody. Tiffany podniosła głowę i zobaczyła na podeście Stephen, który dopiero co wstał z łóżka.

- Cześć, Stephen. Poznajcie się. To John Cawthorne.

- Wiem. - Stephen wyprostował się i zszedł ze schodów. - Dziadek. - Wypluł to słowo, jakby miał w ustach coś gorzkiego.

- Właśnie. Jestem twoim dziadkiem. - John zdobył się na ostrożny uśmiech i wyciągnął rękę na powitanie. - Jak się masz, chłopcze? Widzę, że żyje ci się z przygodami - powiedział, wskazując gestem na siniec widoczny pod okiem Stephen. Ten podszedł bliżej, na sekundę dotknął dłoni dziadka i wzruszył ramionami.

- Zwykła bójka.

- Wygrałeś? - Brwi Johna uniosły się wyczekująco.

- W walce na pięści nie ma wygranych i przegranych - wtrąciła się Tiffany.

- Oczywiście, że są.

Stephen uniósł dumnie brodę i wypiął pierś,

- Poradziłem sobie.

Napięcie rozładowała Christina, która przydreptała do saloniku na swych krótkich nóżkach. Usta i policzki miała tak wysmarowane lepkim syropem, że poprzyklejały się do nich końce włosów.

- Zapomniałam - zwróciła się Tiffany do Stephen - przygotowałam dla ciebie śniadanie. Jest w piecyku.

- Nie będę dłużej przeszkadzał. - John odstawił filiżankę na stolik. - Chcę tylko jeszcze raz powiedzieć, że spodziewam się was wszystkich jutro na uroczystości weselnej i będę szczęśliwy, jeśli przyjdziecie.

- Naprawdę? - spytał Stephen.

- Oczywiście.

- Pójdziemy? - Chłopiec z nadzieją spojrzał na matkę.

- Nie.

Tiffany ani myślała zmieniać swego postanowienia.

- Przemyśl to jeszcze - poprosił John. Tiffany zrobiło się go żal, ale zapanowała nad odruchem słabości.

- Już zdecydowałam, że nie, i nie widzę powodu, dla którego miałabym zmieniać zdanie.

Stephen zmrużył oczy. Podejrzliwie przenosił wzrok z matki na dziadka, usiłując zrozumieć, o co tu naprawdę chodzi.

- Będzie wesele? - zaszcebiotała Christina. - Z druhnami i z pannami młodymi?

John przykucnął przed nią.

- Będzie wesele, ale z jedną panną młodą - powiedział do dziecka. - Ma na imię Brynnie i będzie bardzo szczęśliwa, jeśli i ty tam będziesz. - Podniósł się, dodając: - Jeśli wszyscy przyjdziecie.

- Nie licz na to - rzuciła ostro Tiffany, ale po chwili zrobiło się jej przykro, że aż tak obcesowo potraktowała ojca. - Będziemy zajęci.

- Rozumiem - uśmiechnął się smutno, ale już więcej nie nalegał. - Do zobaczenia. - Wcisnął stetsona na głowę i po chwili już go nie było.

- Dziwny gość - zauważył Stephen. Podeszedł do okienka w holu i patrzył za odjeżdżającym. Tiffany też rzuciła okiem na lśniącą srebrzyście półciężarówkę, nowiutką, jeszcze na próbnym numerach. - Bogaty typ, co? - spytał chłopak.

- Tak mówią.

- Może powinnaś być dla niego miła, mamó, i iść na to wesele.

- Żeby mi coś zapisał w testamencie? - spytała z ironią, wznosząc oczy do góry. - O, co to, to nie, Stephen. Pieniądze to nie wszystko.

- Ale przecież to twój tata.

- To zależy, co rozumiemy przez słowo „tata” - ucięła. - Skończmy na razie tę rozmowę, bo muszę teraz ubrać Christine. Idź do kuchni i zjedz śniadanie. Potem pogadamy na poważnie.

- O czym?

- Zaczniemy od Milesa Deana, a skończymy na Isaacu Wellsie. - Tiffany wzięła Christine na rękę i weszła na schody.

- Powiedziałem ci już wszystko, co wiem.

- Ale ja to wszystko zapomniałam, więc powtórzysz jeszcze raz. Idziemy, Chrissie, czas na kąpiel.

- Nie chcę!

- Jaka szkoda! - Tiffany roześmiała się i dotknęła palcem małego noska córki. - Nie chcesz, ale musisz. Jesteś utyłana jak świnka.

- J.D. Santini - przedstawił się J.D., wyciągając rękę do chudego mężczyzny o ostrych rysach, siedzącego za biurkiem w niewielkim kantorze. Budynek wydawał się opustoszały; inni właściciele firm na pierwszym piętrze już pozamykali biura na weekend. - Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć. W miasteczku mówią, że w niedzielę szykuje się duża uroczystość u was w rodzinie.

Jarrold Smith uśmiechnął się i wrzucił ramionami.

- Mam tak rozległą rodzinę, że zawsze się coś dzieje - rzekł z ironicznym grymasem. - Mama wprawdzie wychodzi za mąż, więc oczywiście będzie duża feta. Proszę siadać. - Jarrold wskazał gościowi jedno z dwóch krzeseł stojących naprzeciw starego, metalowego biurka. Plastikowe siedzenie zaskrzypiało niebezpiecznie, protestując przeciw ciężarowi J.D.

- Od razu przejdę do rzeczy. Słyszałem, że zajmuje się pan prywatnym

śledztwem w sprawie zniknięcia Isaaca Wellsa.

Jarrood skinął głową i w milczeniu świdrował wzrokiem J.D.

- Przyszedłem do pana, ponieważ policja interesuje się moim bratankiem i chciałbym wiedzieć, dlaczego.

- Ludzie mówią, że chłopak wdał się wczoraj w bójkę z Milesem Deanem - powiedział Jarrod.

- Ma taką śliwę pod okiem, że przez tydzień mu nie zejdzie.

- Podobno policja znalazła przy nim komplet kluczy. Uważają, że należały do starego.

- Przecież chłopak z pewnością nie zrobił mu krzywdy.

- Nie ma dowodów, że ktokolwiek skrzywdził Wellsa. Isaac mógł się stąd wynieść dobrowolnie - uprzytomnił gościowi Jarrod. Wziął z biurka ołówek i bawił się nim machinalnie. - Pod jednym względem zgadzam się z panem. Chłopak sprawia kłopoty, i to od początku, odkąd Tiffany Santini wraz z dziećmi przeprowadziła się do naszego miasta. Balansuje na granicy prawa. Do tej pory miał na koncie raczej drobne sprawki, ale historia z Wellsem to zupełnie inny kaliber.

J.D. wyczuł w Jarrodzie przyjazną duszę.

- Więc co się w końcu wydarzyło? - spytał.

- Dobre pytanie - pokiwał głową Jarrod. - Zazwyczaj ludzie nie znikają jak kamfora. Wcześniej czy później musi się pojawić jakiś ślad.

- Wells żyje?

- Nie wiem, ale mam taką nadzieję.

J.D. poczuł, jak coś go ściska w żołądku. W co ten Stephen się wdał? Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął książeczkę czekową.

- Ile będą kosztowały dowody, że chłopak nie ma z tym nic wspólnego?

- I tak pracuję nad tą sprawą - obruszył się Jarrod.

- Rozumiem, ale to się przecież wiąże z kosztami. - J, D. wyjął długopis z pojemnika na biurku, gotów do wypełnienia czeku.

- Proszę uwierzyć, że co jak co, ale akurat pieniędzy mi nie brakuje - powiedział Jarrod z nieco cynicznym uśmiechem. Wstał i wyciągnął rękę. - Będę z panem w kontakcie.

J.D. nie pozostawało nic innego, jak się pożegnać. Nie był jednak zadowolony z tej wizyty.

- Czułbym się pewniej, gdybyśmy zawarli formalną umowę - zauważył.

- Ma pan moje słowo. To wystarczy - rzekł z naciskiem Jarrod. - Może pan być pewny, że dowiem się, co spotkało Isaaca, choćbym miał poruszyć niebo i ziemię.

- Synku, a teraz chcę usłyszeć całą tę historię od początku do końca - zażądała Tiffany, zmieniając pas. Jechali na zakupy. Pani Ellingsworth zaofiarowała, że zaopiekuje się Christiną, więc byli tylko we dwójkę. Stephen z obawy przed wypytywaniem wcale nie kwapił się, by towarzyszyć matce, ale ona jak zwykle postawiła na swoim.

- Co mam mówić?

- Prawdę - zasugerowała, wjeżdżając na dwupasmówkę. Po chodniku, wzdłuż jezdni, biegli amatorzy joggingu, do pobliskiego parku zmierzali właściciele psów ze swoimi ulubieńcami, widać też było młode kobiety prowadzące dziecięce wózki. - Czy klucze, które znalazła przy tobie policja, rzeczywiście należały do Isaaca Wellsa?

Stephen, ze wzrokiem wbitym w szybę, tylko wzruszył ramionami.

- Tak czy nie? Tylko nie próbuj mydlić mi oczu, że znalazłeś je w parku. Było zupełnie inaczej, o czym obydwójce dobrze wiemy.

- Dobra, powiem ci - odparł z błyskiem buntu w oczach. - To jego klucze.

- Och, Stephen - jęknęła z rozpaczą Tiffany.

- Sama mnie zmusiłaś.

- Muszę znać prawdę. Wysłucham cię do końca.

- I o co tyle hałasu? - spytał żałośnie, głosem skrzywdzonego dziecka.

- Nie bagatelizuj sprawy, bo jest poważna. Ten człowiek zginął bez wieści. Nikt nie wie, co się z nim stało, i czy w ogóle jeszcze żyje. A ty w tej sytuacji pozwalasz sobie na kłamstwa.

- Ale to naprawdę nic takiego. - Znów wzruszył ramionami, odgarniając opadające na oczy włosy, a po chwili potarł dłonią łokieć z wyrazem zakłopotania. - Mówiłem ci już, że Miles Dean założył się ze mną o te klucze.

- Owszem, ale wtedy powiedziałaś, że ich nie wzięłaś. Mówiłaś, że jak zobaczyłaś pana Wellsa na ganku, to się rozmyśliłaś.

Stephen przygryzł zębami dolną wargę. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego.

- Naprawdę widziałem wtedy pana Wellsa. Siedział na ganku, tak jak mówiłem. Tylko że ja już wcześniej ściągnąłem te klucze. On nic nie mówił, tylko patrzył, a ja uciekłem.

- Musisz powiedzieć to policjantom - stwierdziła z determinacją Tiffany.

- Wiem. - Stephen gapił się przez okno, z ramionami opuszczonymi jak u szmacianej lalki. Istna kupka nieszczęścia.

- Dlaczego wcześniej tego nie zrobiłaś?

- Bo... - Stephen nerwowo przełknął ślinę - ...bo Miles mnie postraszył, że jak pisnę chociaż słówko, to nas wszystkich pozabija.

- Dałaś mu te klucze?

- Nie! - powiedział głośno i stanowczo. - Sam nie wiem czemu, ale czułem, że to nie będzie w porządku, więc schowałem je w swoim pokoju. A potem pomyślałem sobie, że dobrze byłoby je podrzucić z powrotem na ranczo, ale... Nie miałem już okazji. Wszystko było opieczętowane przez policję, i jeszcze ta żółta taśma, jak dookoła miejsca zbrodni... - Chłopcem wstrząsnął dreszcz. - Postanowiłem wytrzeć swoje odciski palców i pozbyć się kluczy. Właśnie miałem to zrobić, kiedy natknąłem się na Milesa w Minimarcie.

Tylko spokojnie, za wszelką cenę muszę zachować spokój, powtarzała sobie w myślach Tiffany. Jej dłonie zacisnęły się na kierownicy niczym żelazne szpony, a po kręgosłupie ściekała ciurkiem strużka zimnego potu. Nie wolno mi go

przedwcześnie osądzać, nie wolno go oskarżać, tylko wysłuchać.

- Rozumiem. Co Miles chciał zrobić z tymi kluczami?

- Nie wiem. - Stephen był blady jak płótno, ale czuła, że teraz mówi prawdę.

- Może zamierzał ukraść jeden z samochodów z kolekcji pana Wellsa?

- A kto go tam wie. W każdym razie ja mu nie chciałem dać tych kluczy.

- Bogu dzięki. - Tiffany westchnęła z ulgą. Zatrzymała samochód przed sklepem z narzędziami, ponieważ planowała kupić gwoździe i piłę, ale w tej sytuacji szybko zmieniła zamiar. - Jedźmy na policję. Powtórzysz sierżantowi Pearsonowi to wszystko, co mi przed chwilą powiedziałeś.

- Nie ma mowy.

- Owszem, jest - odparła stanowczo Tiffany. - Nie czas stroić fochy, to zbyt poważna sprawa. - Poczekała na zmianę świateł i skręciła w prawo. Posterunek mieścił się w starej dzielnicy, niedaleko parku. Stephen niespokojnie wiercił się na siedzeniu.

- Mamo, błagam, nie każ mi tam iść.

- Nie masz wyboru, synu.

- Miles mnie zabije.

- Nie dramatyzuj - powiedziała, choć doskonale zdawała sobie sprawę, jak bardzo nieobliczalny i niebezpieczny potrafi być Dean junior. Zasłużenie cieszył się złą reputacją. Frustracje związane z wiekiem dorastania i złą sytuacją rodzinną wyładowywał w agresji. - Poradzę sobie z Milesem.

Stephen zeszywniał, gdy w polu widzenia pojawił się gmach sądu. Stary, obszerny budynek z czerwonej cegły miał trzy piętra i mieścił wiele różnych miejskich instytucji: sąd okręgowy, biuro burmistrza i cały magistrat, bibliotekę oraz, naturalnie, posterunek.

- Nienawidzę tego miejsca - oświadczył. Tiffany sprawnie zaparkowała samochód.

- I bardzo dobrze, na przyszłość go unikaj. Żądam od ciebie programu minimum - żebyś się nie pakował w kłopoty.

Tiffany wyciągnęła z torebki telefon komórkowy i zadzwoniła do Ellie, aby uprzedzić ją, że wrócą trochę później, niż się umawiała, ponieważ pojechali na policję.

- Ojej! - zmartwiła się Ellie, która uważała dzieci Tiffany za aniołki i nie mogła zrozumieć, dlaczego ktokolwiek może mieć pretensje do Stephena. - Tylko dopilnuj, kochana, żeby mu nie kazali mówić tego, czego sam nie zechce.

- Dobrze - obiecała Tiffany.

- U nas wszystko jest w najlepszym porządku.

- Cieszę się. - Tiffany schowała telefon. - No, idziemy, synu - powiedziała i otworzyła drzwi. Stephen zwlekał i marudził. Tiffany była już w połowie drogi do budynku, gdy nagle dostrzegła nadchodzącą z naprzeciwka młodszą ze swych przyrodnich sióstr.

- Tylko tego mi brakowało - westchnęła.

- Co jest? - zainteresował się Stephen, który szedł za Tiffany z pochyloną głową. Gdy zobaczył zbliżającą się energicznym krokiem rudowłosą Katie Kinkaid, jęknął tylko: - No, nie!

- Tiffany! - zamachała do nich uradowana spotkaniem Katie. Miała na sobie beżowe spodnie, dopasowaną do nich marynarkę khaki i białą koszulkę. Wysokie obcasy jej sandałów głośno stukały o asfalt. Pod pachą ścisnęła przepastną skórzaną torbę.

- To twoja siostra, mamó? - szeptem upewnił się Stephen.

- Jedna z dwóch.

- Ta druga to Księżniczka?

- Nie nazywaj tak Bliss.

- Sama tak na nią mówisz.

- Wiem, wiem. Teraz bądź cicho - syknęła, rozciągając usta w sztucznym uśmiechu. - Cześć, Katie.

- Cześć! - rzuciła wesoło Katie.

- Ojej, co ci się stało? - spytała, patrząc z bliska na pokancerowaną twarz

Stephena.

- Nic - odburknął chłopiec niezbyt grzecznie.
- Nie wygląda to wcale na „nic” - pokręciła głową Katie.
- Bójka w Minimarcie - wyjaśniła lapidarnie Tiffany.

Oczy Katie zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- Biłeś się? Powinam o tym napisać w gazecie. W dodatku niedzielnym prowadzę kącik porad, a także kronikę wypadków. Policjanci udostępniają mi swoje raporty. Już rano dowiedziałam się o tym, co wydarzyło się w Minimarcie, tyle że bez nazwisk. - Katie delikatnie dotknęła policzka Stephena. Chłopak syknął z bólu. - Oczywiście wystarczyłoby się przejść na kawę do Millie. Ona wie wszystko - dodała.

- Opiszysz to w gazecie? - Stephen był wyraźnie przestraszony.

- Nie muszę. Jak ci mówiłam, raport był bez nazwisk. Tym razem miałeś szczęście, mały... No, może nie całkiem, sądząc po rozmiarach tego siniaka. Założę się, że boli jak diabli.

- Trochę - burknął Stephen. Trudno się dziwić, że nie był w nastroju do towarzyskich pogawędek.

- Na drugi raz lepiej uważaj, dobrze? - Katie poprawiła pasek torby i zwróciła się do Tiffany. - Słyszałam, że rano był u ciebie John.

- Owszem, wpadł koło dziewiątej - odparła Tiffany, siląc się na obojętność.

- Uprzedzałam go, że niczego nie wskóra.

- Tak mu powiedziałaś?

- Każdy żyje jak chce i potrafi, Tiffany. Ja oczywiście wybieram się na ich wesele, chociaż nie całkiem mi się ten pomysł podoba. To moi rodzice. Uznali, że pora zalegalizować swój związek i nie widzę w tym nic złego. Jeżeli ma im to w czymś pomóc, stworzyć poczucie bezpieczeństwa... Zresztą, co ma być, to będzie.

- Rozumiem cię. - Tiffany pozazdrościła Katie jej postawy. Sama nie potrafiła traktować tej sprawy z dystansem. Poranna wizyta ojca nie przyczyniła się do

zmiany stanowiska Tiffany. Przeciwnie, uzmysłowiła jej, że nadal żywi do ojca żal i niechęć.

- To fajnie. Chciałabym, żeby mama była szczęśliwa.

- Sądzisz, że małżeństwo ją uszczęśliwi?

- Czas pokaże. W każdym razie ja nie widzę powodu, żeby psuć im nastrój w tak uroczystym i ważnym dniu. Wprawdzie John to gałgan, trudno zaprzeczyć...

- Urwała, rzucając niespokojne spojrzenie na chłopca. Tiffany jednak natychmiast rozwiała jej wątpliwości.

- Stephen wie o wszystkim.

- Zatem wie, że jego dziadek ma na sumieniu niejeden grzech, ale teraz chciałby za nie zadośćuczynić. Moim zdaniem należy dać mu szansę.

- Mam inne zdanie na ten temat.

- Twoje prawo. Wydaje mi się jednak, że najwyższa pora zapomnieć o tym, co wydarzyło się w przeszłości.

- Mnie na to nie stać - z goryczą powiedziała Tiffany, czując jednak drobne ukłucie żalu i wstydu.

- Nie przejmuj się. Postąpisz tak, jak będziesz uważała. Wiesz, co dla ciebie jest najlepsze, w końcu jesteś dorosła. Powiem ci tylko, że na weselu może być wesoło. Wielki ogrodowy bankiet w Cawthorne Acres. Bajka! Jeśli nie planujesz nic specjalnego, to czemu nie miałabyś przyjść na tańce? Będzie mój syn Josh, którego Stephen pewnie zna ze szkoły. Josh byłby zachwycony, gdyby mógł poszaleć na balu z rówieśnikami.

Tiffany nie umiała znaleźć stosownej wymówki, a z drugiej strony nie chciała się wdawać w spory z Katie.

- Zastanowię się - obiecała wymijająco.

- Zrób to. - Katie spojrzała na zegarek i zmarszczyła brwi. - Cholera, już jestem spóźniona. Cześć! - Ruszyła szybkim krokiem do starego kabrioletu. Ze zgrzytem i warczeniem, w kłębach spalin opuściła parking, machając im na pożegnanie.

- Uff! - odsapnął Stephen, obserwując, jak samochód Katie znika za rogiem.

- Ta dziewczyna wie, czego chce - skomentowała rozmowę Tiffany, mrużąc oczy od słońca. - Przez tyle lat nie miałam pojęcia, że jesteśmy spokrewnione. Dowiedziałam się o tym dopiero wtedy, gdy się tu przenieśliśmy.

- Powinnaś się cieszyć, mamó. Zawsze, kiedy tylko Chrissie łąziła za mną i mi się naprzykrzała, powtarzałaś mi, że chciałybyś mieć rodzeństwo - przypomniał jej Stephen. - Podobno jedynakom jest źle na świecie.

- Tak mówiłam? - Tiffany dotknęła wyraźną ironia w głosie syna. Poza wszystkim była to szczerą prawdą. Przez całe dzieciństwo i młodość czuła się straszliwie samotna, przebywając wyłącznie w otoczeniu matki i babki. W domu mieszkały we trzy - trzy kobiety skazane na siebie nawzajem. Wówczas każdego wieczora, modląc się, błagała Boga, by ofiarował jej siostrę lub brata. Albo ojca.

Tamtego poczucia samotności do dziś nie potrafiła wyrugować z pamięci. Poza tym nie sprawdziła się naiwna nadzieja, że małżeństwo unieważni wszystko, co było złe. Wiążąc się z człowiekiem znacznie starszym, z tradycyjnej włoskiej rodziny, który miał już wcześniej dwójkę dzieci, marzyła o urodzeniu własnej trójki albo czwórki i włączeniu się w życie ogromnej, wierzącej i szczęśliwej rodziny. Tymczasem Philip miał zupełnie inne plany, w których nie było miejsca na dzieci. Tiffany odkaszlnęła nerwowo i skierowała się ku drzwiom na posterunek.

- Chodź, synku. Im szybciej będziemy to mieli za sobą, tym lepiej.

Stephen był najwyraźniej innego zdania. Ociągał się, jak mógł, powłóczył nogami i rozglądał na boki. Poza samochodami na parkingu nie było jednak wiele do oglądania.

- To bez sensu - marudził.

- Nie sądzę. - Tiffany energicznie pchnęła drzwi. - Wchodź do środka.

W biurach policyjnych nie było klimatyzacji. Otwarte okna, przeważnie zamalowane na ciemno lub okratowane, dobitnie uświadamiały wchodzącym,

gdzie się znajdują. Choć od niedawna wprowadzono zakaz palenia, nie odmalowane ściany i sufity nosiły brudne, żółtobrazowe ślady po nikotynie, która w postaci kłębow dymu wypełniała kiedyś pokoje i korytarze. Stopy Stephena głośno szurały po śliskim linoleum. Mimo jego opieszałości przemieszczali się naprzód, mijając skomplikowany labirynt przejść, by w rezultacie trafić do celu, czyli do zawalonego dokumentami biurka sierżanta Pearsona. Na ścianie jego boks wisiały setki niechlujnie przymocowanych świstków. Na półce zalegały papiery, notatki, zdjęcia i książki ułożone w wysokich stertach. Dokoła komputera, jak w grze strategicznej, skupił się cały oddział pustych plastikowych kubków po kawie.

Krępy sierżant Pearson, ostrzyżony po wojskowemu na krótko, tkwił na posterunku. Ściskając słuchawkę między pulchnym ramieniem i byczym karkiem, usiłował coś zapisywać w notatniku.

- Taak?... A o której?... Mówi pan, że ósma wieczór? To wtedy ten pies zaczął warczeć i szczekać? - Policjant gestem pokazał Tiffany, że zaraz skończy rozmowę i że mogą siadać. Posłusznie zajęli krzesła, wciśnięte między biurko a przepierzenie, odgradzające kąt Pearsona od następnej ciasnej dziupli. - Proszę się nie denerwować, zajmiemy się tym - obiecał sierżant swemu rozmówcy, po czym odłożył słuchawkę. - Cześć, Stephen, dzień dobry, pani Santini. Czym mogę służyć? - spytał, opierając się wygodnie.

- Stephen ma panu coś do powiedzenia, sierżancie.

- Czy tak, młody człowieku? - Uśmiech Pearsona trudno było nazwać życzliwym i przyjaznym. - Najwyższy czas. Sprawdziliśmy, że kluczyki, które miałeś wczoraj przy sobie, pasują do kilku samochodów Isaaca Wellsa. Gdybyś sam nie przyszedł, my byśmy cię poprosili na rozmowę. Jack, jesteś tam?! To cię zainteresuje! - zawołał sierżant w stronę przepierzenia. Po chwili w drzwiach pojawił się wysoki i barczysty mężczyzna. - To jest detektyw Ramsey. Pracuje nad sprawą Wellsa.

- Mówcie mi Jack - przedstawił się nowo przybyły, podając rękę Tiffany i

Stephenowi.

- To pani Santini i jej syn Stephen.

Policjant miał otwartą twarz i szczery uśmiech. Przysiadłszy na rogu biurka Pearsona, zwrócił się bezpośrednio do przestraszonego chłopca.

- W porządku, Stephen, wyrzuć to z siebie.

- Nie tak szybko - odezwał się głos niewątpliwie należący do J.D. Tiffany zamarła. Skąd on się tu wziął? Odwróciła głowę i patrzyła, jak szwagier, skutecznie maskując kulejący krok, zbliża się do biurka Pearsona. - Jestem stryjem tego chłopca i chciałbym się dowiedzieć, co się tu dzieje.

- Czy ktoś pana prosił o interwencję? - spytał detektyw.

- Nie. Sam się poprosiłem - odparł J.D. z oziębłym uśmiechem. - Jestem J.D. Santini. Chyba powinienem dodać, że z zawodu adwokat.

Jack Ramsey spojrzał nań podejrzliwie.

- Adwokat od spraw karnych? Chwilowo chłopak nie potrzebuje obrońcy.

- Świetnie. - J.D. stanął za plecami Stephena. - Jak już powiedziałem, jestem jego krewnym i będę także jego adwokatem, jeśli zajdzie taka potrzeba. To wszystko. - Zatarł ręce i przygwoździł obu funkcjonariuszy przenikliwym spojrzeniem. - Do roboty, panowie. Czy mogę się jednak najpierw dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

ROZDZIAŁ 7

Do diabła, przecież specjalizujesz się w sprawach cywilnych, a nie karnych - syknęła przez zaciśnięte zęby Tiffany, gdy cała trójka, łącznie z J.D. opuściła wreszcie gmach sądu. Gorący letni wiatr hulał ulicami, unosząc kłęby suchego pyłu i potrząsając bujnymi koronami klonów.

- A skąd oni mogą o tym wiedzieć?

- Policjanci nie są wrogami porządnych obywateli, J.D. - Tiffany postanowiła szwagrowi przytrzeć nosa. Przechodzili na skos przez parking. - A poza tym, kto cię prosił, żebyś... - przystanąła, odwróciła się gwałtownie i oskarżycielsko

wbiła wskazujący palec w jego pierś - ...żebyś się wtrącał?!

- Uznałem, że potrzebujecie pomocy. Przyszedłem po to, aby dopilnować, żeby Stephen, składając zeznanie, sobie nie zaszkodził. Mam spore doświadczenie w kontaktach z policją. To wszystko.

- Przecież już ci mówiłam, że doskonale sobie sami radzimy.

- Czyżby? - J.D. wskazał gestem Stephena, który już wsiadł do samochodu matki. - Przeczuwam, że to jeszcze nie koniec jego kłopotów.

- Ja jestem przy nim, J.D.

- A co powiesz o Christinie? Słyszałem, jak się budzi z płaczem w środku nocy.

- To nie jest odpowiedni czas ani miejsce na takie dyskusje - ucięła Tiffany. Teraz zależało jej tylko na tym, żeby J.D. zostawił ją w spokoju.

- A kiedy będzie?

- Co?

- Kiedy będzie odpowiedni czas i miejsce?

Tiffany popatrzyła na Stephena. Nie spuszczał z nich zaciekawionego wzroku.

- Później.

- To znaczy?

- Nie wiem.

- Dziś wieczorem - zaproponował.

- Nie, ponieważ dzieci...

- Mogą zostać same na jakiś czas.

J.D. pomachał do Stephena i skręcił do swego dzipa. Chłopiec odpowiedział mu nieśmiałym gestem. J.D. odjechał szybko, zostawiając zmieszaną Tiffany na środku parkingu. Była wściekła. Bez słowa zajęła miejsce kierowcy i uruchomiła silnik.

- O czym rozmawialiście? - spytał Stephen. Tiffany grała na zwłokę, szukając stacji radiowej z muzyką.

- O wszystkim i o niczym. - Popatrzyła w lusterko i wrzuciła wsteczny bieg.

- Nie przypominam sobie, żeby nas kiedykolwiek odwiedził.
- Bo nie odwiedził.
- To po co teraz przyjechał? - Stephen przełączył radio na stację, której Tiffany nie umiała rozpoznać, i wbił wzrok w szybę.
- Nie wiem. Może go sumienie ruszyło i martwi się o nas.
- Naprawdę jest adwokatem?
- Tak. A czemu pytasz?
- Z ciekawości - odparł krótko Stephen, ale Tiffany natychmiast wyczuła, że za jego słowami kryje się coś więcej.
- Stephen, czy ty potrzebujesz adwokata?
- Nie - rzucił pośpiesznie. Zbyt pośpiesznie.
- Jesteś pewien? - Tiffany starała się nie okazywać zaniepokojenia. Nie wolno mi, nie wolno go naciskać, powtarzała sobie w duchu.
- Byłem ciekawy, dlatego spytałem. To chyba nie zbrodnia, co? - Stephen zaczerwienił się i znów zmienił radiową stację. Przymknął oczy, gdy po zapowiedzi spikera rozległa się najnowsza kompozycja jego ulubionego zespołu.

Nie wolno mi go męczyć, przekonywała się w milczeniu Tiffany. Spokojnie i wolno jechała przez miasteczko, próbując odzyskać wewnętrzną równowagę. Wszystko będzie dobrze. Na pewno. Stephen popełnił błąd, ale przecież jest porządnym i uczciwym chłopcem. Trzynastolatkiem osieroconym przez ojca i zestresowanym przez ostatnie wydarzenia. Po raz pierwszy od czasu przeprowadzki Tiffany zaczęła się zastanawiać, czy aby na pewno było to rozsądne posunięcie. W Portland, wśród kolegów znanych od dzieciństwa, z pewnością nie popadłby w takie tarapaty. Teraz był śmiertelnie przerażony, czuła to przez skórę. Ona sama również.

J.D. nie potrafił się skupić. Siedział przy stoliku w swoim pokoju i bezmyślnie przerzucał dokumentację, którą dostarczył mu agent nieruchomości. Miał do

wyboru około sześciu gospodarstw, które pasowały do ostatniego projektu jego ojca. Odkręcił termos i nalał sobie do kubka wystygłej kawy. Krzywiąc się na jej cierpki smak, dolał kupionej w tym celu whisky.

Rzadko miał kłopoty z koncentracją. W szkole średniej, mimo iż mało czasu poświęcał nauce, bez trudu zaliczał kolejne sprawdziany i przechodził z klasy do klasy. College przeszedł śpiewająco, a potem mógł sobie pozwolić na pracę w pełnym wymiarze i jednocześnie wieczorowe studia prawnicze. Gdy po uzyskaniu dyplomu zdobył posadę w dużej kancelarii w Seattle, potrafił godzinami czytać w bibliotece o precedensowych przypadkach i osiemnastogodzinny wysiłek umysłowy nie stanowił dla niego żadnego problemu. Wystarczały mu cztery godziny snu na dobę. Wspecjalizował się w sprawach cywilnych - te były najbardziej dochodowe. Tropił nadużycia w szpitalach, korporacjach i towarzystwach ubezpieczeniowych - wszędzie tam, gdzie się najczęściej zdarzały.

Nie zbaczał z obranej drogi, nie gubił raz wytyczonego celu. Zawsze był perfekcyjnie przygotowany do rozprawy. Zawsze gotów, jak dobry skaut. Nic go nie rozpraszało. Kobiety, z którymi sypiał, traktował użytkowo, bez przywiązania i zbędnych sentymentów. Z żadną nie umawiał się dłużej niż przez kwartał. Żadna nie wzbudziła w nim cieplejszych uczuć, z jednym tylko wyjątkiem. Czuł nieodpartą słabość do żony rodzzonego brata. Tiffany Nesbitt Santini była jedyną przegraną sprawą w jego życiu. Jedynym wyjątkiem, który potwierdzał regułę.

Klnąc pod nosem, J.D. pociągnął spory łyk kawy z whisky i nareszcie poczuł, że jego żołądek ogarnia błogie ciepło. Tak, tak, Tiffany spodobała mu się od pierwszego wejrzenia i zupełnie nie umiał sobie z tym poradzić. Dlaczego aż tak go wzięło? Nie miał pojęcia. A może szło nie tylko o to, że Tiffany wyjątkowo go pociągała? Może w grę wchodziła chęć rywalizacji z bratem? Cała miłość rodziców spływała na Philipa, pierwородnego syna, którego wprost uwielbiali. J.D. zależało na akceptacji rodziców i źle znosił pozostawanie na drugim planie.

Chciał zwrócić ich uwagę na siebie, tylko że robił to w nieumiejętny sposób i co i rusz popadał w tarapaty. W dodatku odkrył, że ten stawiany na piedestale starszy brat jest w gruncie rzeczy krętaczem i lekkoduchem.

Gdy Philip porzucił pierwszą żonę i dzieci, J.D. dostał szału. Gdyby tylko mógł, sprząłby starszego brata na kwaśne jabłko za ich wszystkie krzywdy. Odkrył, że Philip wdał się w romans z inną kobietą, a przy tym zaczął się coraz bardziej hazardować. Zatracił całkowicie poczucie odpowiedzialności. Tak czy inaczej, tuż po rozwodzie Philip porzucił swoją kochankę i zajął się Tiffany, w opinii J.D. dziewczyną o wiele za młodą i za naiwną jak na małżeństwo z kimś takim jak Philip. Rodzina od początku uznała ją za osobę wyrachowaną, zainteresowaną jedynie majątkiem narzeczonego. Czas pokazał, że wytrzymała przy Philipie, urodziła mu dwójkę dzieci i z tego, co wiedział J.D., nigdy w życiu go nie zawiodła.

Z dołu rozległy się dźwięki gitary. To Stephen niezbyt umiejętnie usiłował wygrać jakąś melodię. J.D. ze złością wcisnął papiery do teczki. Przy okazji natknął się na kopertę z prawem własności domu. To był prawdziwy problem, z gatunku tych nie do rozwiązania. Właścicielem trzech czwartych posesji był jego ojciec. To on wysłał J.D., by sprawdzić, czy pensjonat prowadzony przez Tiffany działa jak należy i czy może przynosić dochód. Carlo Santini wcale nie chciał na siłę wyrzucać na bruk synowej i swych wnuków z miejsca, które ona mylnie uważała za swoją własność. Zamierzał jedynie się dowiedzieć, czy dom jest wart dalszych inwestycji, czy może raczej należałoby go sprzedać. Carlo pragnąłby ulokować Tiffany i jej dzieci gdzieś bliżej rodzinnej siedziby w Portland, szczególnie że starsze dzieci Philipa nie utrzymywały bliskich kontaktów z dziadkami, a J.D. najwyraźniej nie kwapił się do żeniaczki. Senior rodu kochał swoje wnuki, ale nie potrafił przekonać się do Tiffany, czemu niejednokrotnie dawał wyraz w rozmowie z J.D.

J.D. rozmasował obolałe udo i spojrzął na zegarek. Minęła dziesiąta. Nie chciał i nie potrafił dłużej czekać. Wypił ostatni łyk kawy i otarł usta. Stephen przestał

już dręczyć instrument i w całym domu zapanowała cisza. J.D. podszedł do okna i spojrział przez wymyte do błysku szyby.

Nad bujnym listowiem drzew otaczających podwórze dostrzegł kilka gwiazd, błyszczących jaśniej niż światła miasteczka. Nisko na niebie wisiał księżyc w pełni. J.D. wychylił się i wówczas przy trawniku dostrzegł Tiffany. Wiatr igrał z jej lekką białą bawełnianą sukienką, od czasu do czasu kusząco owijając ją wokół nagich nóg. Nie wiedziała, że jest obserwowana, więc zachowywała się zupełnie swobodnie. Pochylała się po kolei nad każdym z rzędów bujnych petunii, geranium i bratków, rozrzuconych nieregularnie po trawniku i skrapiała wodą wysuszoną ziemię. Towarzyszył jej zwinny czarny Węgielek, zmysłowo ocierający się o nagie łydki swej pani. Boże, ile w niej było piękna!

J.D. nie mógł już dłużej czekać. Wziął butelkę miejscowego caberneta, kupioną przed południem, i ruszył ku schodom. Trudno, tym razem musiał poprzeć konkurencję. Schody trochę skrzypiały, na półpiętrze było cicho i niemal ciemno - palił się tylko jeden kinkiet. J.D. przyspieszył kroku, by jak najprędzej znaleźć się na parterze. W kuchni cicho grało radio, a jedynym oświetleniem była świeca w szklanym kloszu, stojąca na stole. Otworzył kredens i kilka szafek, nim znalazł kieliszki. Wyjął dwa z nich, na korkociąg natrafił w podręcznej szufladzie z otwieraczami i nożami.

Bezszelestnie wyszedł na werandę. Tiffany była teraz w pobliżu wozowni. Napędzała właśnie wodą plastikową konewkę, by podlać kępki maciejki posadzone w balkonowych skrzynkach. J.D. zszedł ze schodków dopiero wtedy, gdy podniosła głowę i dostrzegła go.

- Och, ale mnie przestraszyłeś, Jay - powiedziała, rozpoznając go w półmroku. Otarła ręce z wody i zbliżyła się do niego. Zmusił się, żeby nie patrzeć głodnym wzrokiem na jej piersi i ramiączko stanika, wysunięte przypadkiem spod dekolту. Najgorsze, że chodząc, w tak kuszący sposób poruszała biodrami, że nie dało się tego nie zauważyć.

- Przyniosłem fajkę pokoju - rzekł, wyciągając butelkę z winem.

- Po co? - spytała, stając tylko o krok od niego.

- Na zgodę. Przecież się trochę poprzytykaliśmy.

Tiffany pokręciła głową i roześmiała się cicho. Zabrzmiało to jak najpiękniejsza melodia.

- Jeżeli będziesz za każdym razem kupował wino, te szybko zbankrutujesz - zażartowała.

- Tak sądzisz?

- Nie sądzę, ja to wiem.

- Więc może - zaczął, stawiając kieliszki na balustradzie ganka i zabierając się do odkorkowania butelki - przynajmniej zawrzemy rozejm?

- Myślisz, że to możliwe?

Obrzucił ją tak wymownym spojrzeniem, że się zarumieniła.

- Wszystko jest możliwe, Tiffany, i dobrze o tym wiesz.

- Zrobiło się późno - zauważyła, lekko speszona.

- Owszem. Wybierasz się gdzieś?

- Na górę, do łóżka.

Zamiast odpowiedzi napełnił kieliszki i podał jej jeden.

- Wypijmy. Te kilka minut cię nie zbawi.

Spojrzała niezdecydowanie, jakby chciała odmówić, ale przyjęła wino. Usiedli na ogrodowej ławce pod wierzbą.

- Wzniesiemy toast? - spytał J.D.

- Za co?

- Za lepsze czasy.

Uśmiechnęła się tak żałośnie i smutno, że zapragnął natychmiast porwać ją w ramiona i utulić. Zamiast tego jednak wpatrzył się w ciemny, rubinowy płyn w przezroczystym szkle. Tiffany wzniosła kieliszek.

- Piję za lepsze dni - powiedziała, trąciwszy brzeg jego kieliszka. - Oby było ich jak najwięcej.

- Amen.

Wypili po łyku wina. Nocny mrok stwarzał nastrój kojącej bliskości. Kuchenne okno, oświetlone od wewnątrz ciepłym blaskiem świecy, było jedynym jasnym punktem w ciemnym ogrodzie. W oddali zaszczekał pies sąsiadów. W trawie grały świerszcze, zagłuszając dalekie odgłosy ulicznego ruchu.

- No, dobrze - powiedziała Tiffany, nie mogąc znieść przedłużającej się ciszy, jaka między nimi zapadła. - Powiedz mi teraz, jak to się stało, że trafiłeś za nami na policję.

- Wróciłem do domu i pani Ellingsworth powiedziała mi, gdzie jesteście.

- A więc tak to było. - Tiffany upiła kolejny łyk. J.D. nie mógł oderwać zachwyconego wzroku od jej długiej, szczupłej szyi. - Dyskrecja nie jest najmocniejszą stroną Ellie.

- Przeszkadza ci to?

- Nie bardzo. Poza tym jest uczciwa jak kryształ, miła, ciepła, zabawna, no i kocha moje dzieci jak własne wnuki - odpowiedziała, po czym dodała z półuśmiechem: - Zamiłowanie do plotek to jeszcze nie zbrodnia, można z tym żyć.

- Musisz jej wybaczyć. Jest samotna i nie ma z kim pogadać.

Tiffany skinęła głową i obróciła kieliszek w palcach.

- Jak ci idą poszukiwania? Znalazłeś lokalizację na winnicę?

- Jestem bliski podjęcia decyzji.

- Która farma ci się podoba?

- Jest kilka kandydatur. Między innymi ziemia Wellsa.

- Przekłete miejsce - westchnęła Tiffany.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Pomogę wam.

- Mówiłam ci, że nie oczekuję niczyjej pomocy - powiedziała i wypiła wino do dna. J.D. zrobił to samo.

- Okropna z ciebie kłamczucha, Tiffany.

- Coś ty powiedział?

- To, co słyszałaś. Potrzebujesz pomocy, i to bardzo. Dom wymaga remontu.

Ty pracujesz i na nic nie masz czasu. Stephen nie jest aniołem i zamartwiasz się o niego bez przerwy, czemu się wcale nie dziwię. Teraz przeżywa szczególnie trudny okres buntu przeciwko zasadom rządzącym światem dorosłych. Może ma to związek ze śmiercią Philipa, a może z czym innym. Tego się tak łatwo nie dowiemy, ale prawda jest taka, że policja ma na niego oko. Czy zechcesz przyznać, czy nie, na pewno się martwisz, że chłopak jest zamieszany w zniknięcie Isaaca Wellsa.

- To jeszcze dziecko! - zaprotestowała gwałtownie.

- Dziecko, które przypadkiem za dużo wie. Zadaje się z miejscową łobuzerią, wywołuje burdy na mieście i Bóg wie co jeszcze. Fakt faktem, że wykradł te cholerne klucze Wellsa.

- To był szczeniacki zakład.

- Nie powinien był się zakładać - J.D. spojrzał wprost w jej bielejącą w mroku twarz. - A mała?

- Dlaczego mówisz o Christinie? Moim zdaniem, wszystko jest w porządku.

- Tak uważasz? To dlaczego każdej nocy budzi się z krzykiem?

Tiffany wzdrygnęła się i postawiła kieliszek na ziemi. Nie rozumiała, o co chodzi J.D. Obrażał ją i nie wiadomo czego chciał.

- O co ty mnie oskarżasz, Jay? Mała miała ledwo trzy latka, kiedy jej ojciec zginął w wypadku. Przecież to normalne, że przeżywa koszmary. Musi to wszystko odreagować. Zresztą byłam z nią u psychologa.

Tiffany obronnym gestem skrzyżowała ramiona na piersi. Na jakiej podstawie J.D. się wymądrza? Co on może wiedzieć o wychowaniu dzieci? Przecież nie ma własnych. Czy nie rozumie, jak bardzo Tiffany czuje się winna śmierci Philipa? Przecież to ona prowadziła tego feralnego dnia. Do tej pory budziła się w środku nocy, złana zimnym potem, przerażona. Widziała samą siebie za kierownicą auta, które nagle wpada w poślizg i nad którym nie potrafi zapanować. Tych tragicznych w skutkach momentów nie zapomni do końca życia.

- Nie miej mi za złe, że mi na was zależy.
- Ale dlaczego teraz? Przedtem nas nie odwiedzałeś.
- Miałem swoje powody.
- Jakie?
- Naprawdę chcesz wiedzieć? - J.D. tak intensywnie wpatrywał się w Tiffany, aż zrobiło jej się gorąco.
- Oczywiście.

Postawił kieliszek na trawie i obydwoma mocnymi, dużymi dłońmi ujął ją za ramiona. Usiłowała się wyrwać, ale jej nie puścił.

- A zatem, jeśli rzeczywiście chcesz wiedzieć... - zaczął.
- Chcę - powiedziała niepewnie.
- Przyczyną tego, że was unikałem, byłaś ty, Tiffany.
- Ja? - wyszeptała, spoglądając mu w świecące uwodzicielskim blaskiem oczy. Ciąg wspomnień ruszył jak lawina, nasycone erotyzmem obrazy ich nagich, splecionych w uścisku ciał pojawiały się klatka po klatce, jak film. Bo przecież mieli za sobą miłosną noc, tę jedną jedyną niesamowitą noc po pogrzebie Philipa. Oddała mu się wówczas z pasją i rozpaczą, spragniona pocieszenia i zapomnienia. - Nie chcę nic więcej wiedzieć - szepnęła.
- Za późno, kochanie - powiedział i przyciągnął ją do siebie.

Tiffany nie zaprotestowała. W silnych ramionach J.D. od razu odnalazła bliskość i poczucie bezpieczeństwa, a jego wargi smakowały tak, jakby kochali się przez całą noc zaledwie wczoraj. Tiffany jęknęła. Nie był to wcale głos protestu, lecz słaba prośba o litość. J.D. zinterpretował to po swojemu, jeszcze mocniej przygarniając ją do piersi. Powinna się wyrwać, ale nie umiała znaleźć w sobie dość siły. Zamiast tego przymknęła oczy i przez długą, wspaniałą chwilę delectowała się rozkoszą zakazanych pocałunków, przyjmując je i oddając z pasją. J.D. zanurzył palce w jej włosy. Plastikowa zapinka puściła, uwalniając czarną, gęstą falę. Przestań, Tiffany, przestań, ostrzegał wewnętrzny głos, ale jej rozpalone ciało nie chciało go słuchać. Nastawiała twarz na grad

pocałunków, którymi J.D. obsypywał teraz jej powieki, policzki i szyję. Przyłgnęła do niego naprężonymi piersiami, z twardymi od podniecenia sutkami. Nie było mowy o restrykcjach i zakazach. Jej ciało było wolne.

- Tiffany - szepnął namiętnie J.D.

Gorący oddech palił jej skórę. Delikatnie dotykał teraz językiem nasady jej szyi. Tiffany odchyliła głowę do tyłu, aby ułatwić mu dostęp. Przemienne pragnienie miłości, wzajemnego dawania i brania, przyćmiło jej rozsądek. Pragnęła poczuć dłonie J.D. na całym ciele, pragnęła, by ją głaskał, całował, pieścił. Jakby spełniając jej życzenie, przesunął dłonie i ujął jej piersi, wymacując palcami stwardniałe pod cienkim materiałem sutki. Palce zaczęły zataczać delikatne kręgi, potęgując podniecenie Tiffany do całkowitego zapamiętania. Znalazłszy rząd perłowych guziczków z przodu sukienki, J.D. odpinał je po kolei. Wieczorne powietrze przyjemnie ochłodziło rozpaloną skórę Tiffany, która marzyła teraz tylko o tym, by nic nie położyło tamy coraz bardziej intymnym pieścizdom.

- Jay, och! Tak, jeszcze, jeszcze...

Ucałował jej piersi przez koronkę stanika. Przycisnęła jego głowę, aż język odnalazł nabrzmiąły sutek. Tiffany, podniecona do granic wytrzymałości, wiała się na ławce. J.D. ukląkł na trawie. Przesunął dłonie na uda Tiffany. Nagle letnią nocną ciszę rozdarł pełen strachu krzyk.

- To Christina! - Tiffany wyprostowała się natychmiast. J.D. wypuścił ją z objęć. Zapinając w pośpiechu sukienkę i przeklinając głośno własną głupotę, Tiffany pospieszyła do domu i pobiegła na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz.

- Mamo! Mamuniuuu! - wołało przebudzone dziecko.

- Już idę, kochanie! - Tiffany dopadła drzwi pokoju. J.D. biegł tuż za nią.

- Tato! Tato!

- Spokojnie, jestem przy tobie!

Christina siedziała na środku łóżeczka, kiwając się miarowo w przód i w tył

jak dzieci cierpiące na chorobę sierocą. Jej słodka twarzyczka była zalana łzami. Tiffany utuliła córkę, otarła jej łzy i obsypała pocałunkami, nie wypuszczając jej z ramion.

- Już dobrze, dobrze, śpij. Mama jest i zawsze będzie przy tobie.

- Boję się - chlipnęła Christina.

- Wiem, słoneczko, wiem. Nie ma się czego bać, naprawdę.

Tiffany, obejmując Christinę, usiadła w bujanym fotelu i przykryła małą jej ulubionym kocykiem. Ten stary fotel służył jej od czasów, gdy Stephen był jeszcze niemowlęciem. J.D. stał w drzwiach. Wyglądało, że chce coś powiedzieć, ale powstrzymał się. Niebawem wszedł do pokoju zaspany Stephen, z włosami sterczącymi jak u stracha na wróble.

- Znowu miała złe sny? - spytał.

Tiffany kiwnęła głową.

- Zły sen - szepnęła Christina.

- Musisz coś z tym zrobić, mamo,

- Robię, co mogę. Cicho.

- Jasne. - Stephen wymownie spojrzał na stryja i poczłapał z powrotem do swego pokoju.

- Czy mogę ci jakoś pomóc? - spytał J.D. Na jego twarzy malowała się troska.

Tiffany przecząco potrząsnęła głową, ale nie odwróciła oczu. Christina w jej objęciach zaczęła się wiercić, szukając wygodniejszej pozycji.

- Wszystko w porządku - powiedziała, nie zważając na powątpiewający wyraz jego twarzy. - Zapewniam cię. - Sięgnęła po mocno podniszczoną od nadmiernego przytulania zabawkę. - Masz tu Bubusia. - Wcisnęła Christinie do rąk pluszowego królika. Pocałowała głowę dziecka i zaczęła się lekko huśtać, nucąc kołysankę. Na szczęście J.D. zrozumiał, że powinien się wynieść.

- Gdybyś czegoś potrzebowała...

- Ale niczego nie potrzebuję - wpadła mu w słowo.

- ...to będę na górze - dokończył.

Nasłuchiwała jego kroków, kiedy wdrapywał się po schodach na drugie piętro. Christina uspokoiła się już zupełnie i zasnęła. Tiffany śpiewała jeszcze przez chwilę, póki nie poczuła, że dziewczynka leje jej się przez ręce. Ułożyła bezwładne ciało w łóżeczku i przeszła do swego pokoju, zostawiając uchylone drzwi.

Po drodze zauważyła, że drzwi prowadzące na drugie piętro, do pokoju zajmowanego przez J.D. są otwarte. Czy w ten sposób dawał jej do zrozumienia, że jej oczekuje? Zapewne tak. Tiffany gładziła dłonią framugę, rozważając, czy może ulec pragnieniu znalezienia się w ramionach J.D. Zdecydowała, że nie powinna, choć rozbudzone zmysły domagały się spełnienia. Wyrzucała sobie, że uległa nastrojowi chwili, że pozwoliła się całować i pieścić. Nie wolno więcej do tego dopuścić. Z determinacją, ale i z żalem zamknęła drzwi i poszła do swojej sypialni.

Postanowiła nigdy, pod żadnym pozorem, nie dopuszczać go do siebie bliżej niż na odległość wyciągniętej ręki. Było to zbyt niebezpieczne. Powoli rozpięła guziki. W lustrze spojrzała na swoje odbicie. Sukienka była pognieciona, włosy potargane, a wargi obrzmiałe.

- Och, Tiffany, Tiffany - powiedziała do swego odbicia w lustrze - bądź mądrzejsza, miej wzgląd na dzieci.

Rzuciła sukienkę na krzesło i włożyła podkoszulek pełniący rolę nocnej koszuli. Wślizgnęła się do łóżka i zgasła lampę. Dlaczego nie umiała stanowczo odprawić J.D., powiedzieć, żeby stąd odszedł i zostawił jej małą rodzinę w spokoju? To jasne - bo go pragnęła. Pragnęła J.D. wbrew zdrowemu rozsądkowi, mimo wszystkich komplikacji, jakie z tego wynikały.

Wszystko zaczęło się od wypadku, tego strasznego, tragicznego w skutkach wypadku, który pozostawił swoje piętno na całym jej życiu. Przez cały dzień jeździli na nartach. Wieczorem postanowili wracać do domu. To ona siadła za kierownicą, Philip drzemał na siedzeniu pasażera, a dzieci siedziały z tyłu - Christina w swoim specjalnym foteliku, a obok na wpół śpiący Stephen, który

na dobranoc słuchał muzyki z walkmana. Od tego dnia upłynęło już dziewięć miesięcy, ale Tiffany pamiętała tamten wieczór w najdrobniejszych szczegółach, jakby to było wczoraj.

Gdy zjeżdżali ze stromego wzgórza, zaczął prószyć śnieg. Tiffany włączyła wycieraczki, nie przeczuwając, że tylko minuty dzielą ją od życiowej tragedii.

Padał coraz gęściejszy śnieg. Grube mokre płatki zalepiały szyby i wycieraczki nie nadążały z czyszczeniem. Na ich gumowych piórkach osiadał zlodowaciały szron. Światła samochodów nadjeżdżających z przeciwka oślepiały Tiffany i przyprawiły ją o ból głowy. Nigdy nie lubiła prowadzić auta podczas śnieżycy. Śnieg topniał na asfalcie, po czym znów zamarzał, pokrywając drogę cienką jak szklanka warstewką lodu. Służby drogowe pracowały dzień i noc. Pocieszała się, że przynajmniej odcinek od Government Camp na Mount Hood będzie posypany piaskiem i oczyszczony ze śniegu. Na razie jednak wysłużone opony ślizgały się na zakrętach i Tiffany nie mogła się doczekać, kiedy wjedzie na nie oblodzoną drogę w dolinie.

Prowadziła w rękawiczkach i w narciarskim kombinezonie. Mimo iż włączyła ogrzewanie na pełny regulator, wciąż było chłodno. Nacisnęła guzik radioodbiornika, mając nadzieję, że trafi na prognozę pogody. Niestety, odbiór był fatalny, same szумы i trzaski. Zmieniła stację i z radia popłynęła stara sentymentalna piosenka Otisa Reddinga, również przerywana trzaskami oraz to pojawiającymi się, to znikającymi zapowiedziami spikerów. Zza zakrętu nadjeżdżał samochód. Nie pierwszy i nie ostatni, pocieszała się Tiffany, usiłując nie patrzeć wprost w jaskrawe, oślepiające światła. Mimo to doznała dziwnego, obezwładniającego uczucia. Światła przygwoździły ją jak szaraka na drodze. Bezskutecznie próbowała się odprężyć. Melodię z radia zmałcił ryk silnika potężnej ciężarówki.

To tylko ciężarówka, mówiła sobie. Zwykła lora. Setki ich jeździ po tych drogach. Nacisnęła na hamulce. Po krótkim momencie poślizgu zareagowały. Dobrze. Dla bezpieczeństwa zjechała tak mocno na prawo, jak tylko się dało.

Przerażało ją tylko, że barierka zabezpieczająca drogę była bardzo niska, a pod nią rozciągał się ciemny głęboki wąwóz.

Rozległ się głośny ryk klaksonu ciężarówki. Tiffany aż podskoczyła na siedzeniu, deptając mocno pedał hamulca. Tu-tuut! - zaryczał znów klakson. Ścisnęła mocniej kierownicę i pulsacyjnie naciskała na hamulec. Bez reakcji.

Tylko spokojnie, powtarzała sobie. Trudno jednak było o spokój w tych okolicznościach. Ciężarówka po lewej zbliżała się jak ryczący smok, a z prawej ziała czarna przepaść.

Tu-tuut!

- Philip! - próbowała obudzić męża. - Philip!

- Co jest? Uauu - spytał nieprzytomnie i potężnie ziewnął.

- Ta ciężarówka! O Boże! - wrzasnęła przerażona Tiffany. Smok parł prosto na ich auto.

- Jezus Maria! - Philip w ułamku sekundy odzyskał świadomość i złapał z boku za kierownicę.

- Nie! - przycisnęła hamulec, który się zablokował. Auto zaczęło tańczyć po jezdni.

- Co jest, do diabła? - zaklął Philip, ciągnąc kierownicę w swoją stronę.

- Przestań! Nieee!

Samochód przemknął dosłownie o centymetr obok ogromnej ciężarówki.

- Tiffany! Puść kierownicę! Hamulce, czemu nie hamujesz?! Ratunku!

- Próbuję!

- Mamo! - Z tylnego siedzenia dobiegł wylęknięty głos Stephena.

Tiffany zdołała wprawdzie minąć kabinę kierowcy, ale długi kontener, ciągnięty przez TIR-a, siłą bezwładności potracił tylni błotnik ich samochodu. Chciała zatrzymać auto, ale niefortunnie trafiła na fragment oblodzonej powierzchni szosy. Samochód stuknął z całą siłą w barierkę, przerwał ją i zaczął się staczać po zboczu.

- Boże! - jęknął Philip. Tiffany wrzeszczała z przerażenia, Christina zanosila

się szlocham.

- Nie, nie, nie nie! - mamrotał mechanicznie Stephen, podczas gdy samochód staczał się coraz szybciej. Hamulce nie działały, koła kręciły się jak szalone.

- Zatrzymaj się! Hamuj, na Boga!

Bang! Trafili w jakąś twardą przeszkodę. Przednia szyba prysła w jednej sekundzie, a pasażerów zasypały drobiny szkła. Samochód okręcił się jak bąk, a potem znów zaczął spadać.

- Mamuniuu!

- Jestem, kochanie!

- Rób coś, na Boga!

Spadali coraz szybciej.

- Zatrzymaj wóz, do diabła!

- Nie mogę! - Tiffany zauważyła strumień, płynący na dnie kanionu. Srebrna woda połyskiwała złowieszczo. - O mój Boże...

Auto wpadło jak bomba do szerokiego koryta. Lodowata woda wdarła się do kabiny przez wybitą przednią szybę.

- Wyłaźcie! - krzyknęła, mocując się z pasem bezpieczeństwa.

- Mamo! Tato! - Stephen rozpaczliwie wzywał na pomoc rodziców, miotając się na tylnym siedzeniu. Christina płakała. Philip kłął. Spieniona woda zalała wnętrze samochodu.

- Uciekajcie! Wychodzimy! - zakomenderował Philip. Jego krzyk mieszał się z histerycznym płaczem dzieci. - Tiffany, na miłość boską, uciekaj na brzeg. - Philip szarpał się z własnymi drzwiami. Tiffany wciąż jeszcze nie zdołała odpiąć pasa. - Ja się zajmę dziećmi.

- Nie mogę wyjść! - W głosie Stephena brzmiała panika. Dokoła było ciemno i potwornie zimno. Woda bulgotała i pieniała się, podchodziła coraz wyżej.

Tiffany wciąż mocowała się z pasem. Philipowi pierwszemu udało się wydostać z auta. Teraz usiłował otworzyć drzwi dzieci.

- Christina, trzymaj się mnie! Stephen, spróbuj otworzyć drzwi!

Tiffany miała kompletnie zgrabiłe palce, klamra pasa nareszcie puściła. Otworzyła drzwi i wpadła po pas w wartki nurt. Stopy ślizgały jej się na mokrych otoczkach, ale zawróciła ku samochodowi, walcząc z prądem. Modliła się gorąco, by całej rodzinie udało się ująć z życiem. Mimo że z trudem się poruszała, zdołała odnaleźć klamkę tylnych drzwi. Nie puszczały.

- Nie mogę wyjść! - Stephen był na granicy hysterii.

- Odblokuj zamki! - krzyknął Philip. Tiffany nie widziała go, lecz słyszała, jak rozpryskuje lodowatą wodę. Christina płakała cicho.

- Wyłaź przodem - nakazała synowi, przekrzykując burzliwy łoskot wody. Samochód był już zanurzony prawie po dach. - Szybciej! - wyczuła raczej, niż zobaczyła, że Stephen wpełza przez oparcie na przednie siedzenie i opuszcza auto drzwiami, które udało jej się wcześniej otworzyć. Złapała go za ramię. Przyłgął do niej całym ciałem, roztrzęsiony i szczękający zębami.

- Christina! - zawołała.

- Mam ją. - Z oddali dobiegł stłumiony głos Philipa.

- Dobrze! Trzymaj się mnie, idziemy do brzegu! - krzyknęła wprost do ucha Stephena, choć nie miała pojęcia, gdzie ten brzeg się znajduje i jak głęboki jest strumień. Może nawet rzeka, jak pamiętała z mapy.

- Tędy - wykrztusił Stephen, przechodząc na drugą stronę auta, gdzie o mało nie porwał go prąd.

- Philip! Philip! - nawoływała Tiffany. Nie było odpowiedzi. O Boże, czyżby utonął? Razem z maleństwem? - Philip, odezwij się! - Gdzie on się podział? Tiffany przystanęła na chwilę, nasłuchując uważnie. Niestety, słyszała tylko nieprzerwany, dudniący szum wody. - Philip!

- Tato!

- Tato ratuje Christinę, nie martw się - pocieszyła syna, choć sama umierała ze strachu. Co się stało z jej mężem? Co się stało z malutką córeczką? Gdzie byli? Boże, Boże, ocal ich, błagam, powtarzała w myślach.

- Co robić, mamó? - Stephen mówił z trudem, zęby mu szczękały. Wokół

żadnych znaków życia. Niedobrze.

- Spróbujemy wydostać się na brzeg - odparła.

- Ale gdzie mamy iść?

Gdyby to wiedziała. Rozpaczliwie rozglądała się dookoła, próbując coś wypatrzeć w otaczających ciemnościach. Otaczał ich atramentowy, zimny i przerażający mrok. Nie wiedziała, czy stoją pośrodku rzeki, czy blisko brzegu. Trwanie w jednym miejscu równało się śmierci. Musieli zacząć się ruszać, by nie zamarznąć.

Tylko dokąd iść?

- Mamo, strasznie mi zimno.

- Wytrzymaj, synku, to nie potrwa długo. - Tiffany nie potrafiła określić, od kiedy stali po pas w wodzie. - Philip! - zawołała. Z oddali usłyszała jakieś ludzkie głosy. - Słuchaj, Stephen! - Spojrzała w górę i zobaczyła pełgające światło latarki.

- Hej tam? - zawołał jakiś męski głos. - Jest tam kto?

- Ratunku! Pomocy! Wyciągnijcie nas!

- Spokojnie, już do was idziemy!

Obcy głos wlał otuchę w jej serce. Kurczowo trzymając się klamki samochodu, Tiffany objęła Stephena i modliła się, by Philipowi i Christinie nic złego się nie stało. Z przebiegu godzinnej akcji ratunkowej nie zapamiętała niczego. Oboje z synem zemdleli. Gdy tylko ocknęła się w szpitalu w Portland, zapytała z lękiem o dzieci. Z ulgą dowiedziała się, że oboje żyją. Philip, któremu udało się uratować Christinę, zmarł w drodze do szpitala. Mimo wysiłków, nie udało się go reanimować.

Po wyjściu ze szpitala, wciąż w stanie szoku, Tiffany musiała sama zorganizować pogrzeb. W długim i męczącym nabożeństwie wzięła udział rodzina Philipa. I tak Tiffany została wdową z dwójką dzieci. Spięty, poważny J.D. siedział obok niej w ławce, oddzielając ją tym samym od rodziców. Choć nic nie mówił, nie składał kondolencji i nie pocieszał jej, stanowił żywą tarczę

chroniącą przed atakiem ze strony Santinich. Oczywiście nie na wiele to się zdało. Ojciec Philipa, Carlo, przez całą mszę świdrował Tiffany wściekłym, oskarżycielskim wzrokiem. Z kolei teściowa w ogóle na nią nie spojrzała, udając, że synowa dla niej nie istnieje.

Obok Frances siedziała w ławce Karen, pierwsza żona Philipa. Niska, pulchna blondynka o wielkich niebieskich oczach porcelanowej lalki łkała głośno i demonstracyjnie, uczepiona ramienia byłej teściowej. Ona także, podobnie jak Carlo, co chwila obrzucała niechętnym spojrzeniem kobietę, która zastąpiła ją u boku męża. Starsze dzieci Philipa, już nastolatki, wydawały się tak obojętne i znudzone, jakby uroczystość pogrzebowa w ogóle ich nie dotyczyła.

Podczas mszy Tiffany obejmowała ramionami swoje dzieci. Christina siedziała na jej kolanach, a Stephen, blady i bez życia, tuż obok na ławce. Tiffany zdawała sobie sprawę, że cały klan Santinich obwiniają o śmierć Philipa. To ona nalegała na weekendowy wypad na narty. To ona siedziała za kierownicą i nie potrafiła ustrzec rodziny przed wypadkiem.

Po mszy cała rodzina i przyjaciele zmarłego zgromadzili się na stypę w winnicy McMinnville. Tiffany czuła się potwornie samotna i opuszczona, jak nigdy w życiu. Ludzie traktowali ją z chłodną, bezduszną uprzejmością. Zdawało się jej, że zgromadzenie ciągnie się w nieskończoność, jak wyrefinowana tortura. Tiffany marzyła tylko o tym, by zaszyć się w mysiej norze i w spokoju lizać rany. Sama musiała uporać się z żałobą po Philipie i zaplanować przyszłość swoją i dzieci.

„Tak mi przykro z powodu twojej straty”, „To tragedia, prawdziwa tragedia”, „Doprawdy nie wiem, jak Carlo sobie bez niego poradzi. A Frances... postarzała się biedaczka o dziesięć lat”, „Tobie i dzieciom życzymy wszystkiego najlepszego”. Po tych kilku uprzejmych zdaniach, wygłoszonych przez żałobników z szacunku dla rodziny Santinich, wszyscy się od niej oddalili, w małych, zaprzyjaźnionych grupkach plotkując i komentując okoliczności wypadku. Ten i ów obrzucał ją wymownym spojrzeniem - była w nim litość blisko granicząca z

nienawiścią.

Tiffany przez blisko dwie godziny udawało się zachować kamienną twarz. Wypiła jednak za dużo wina, więc walczyła ze łzami, gdy nagle za jej plecami odezwał się znajomy głos.

- Wyjdźmy stąd. Wydaje mi się, że masz dość na dzisiaj.

Gdy odwróciła głowę, zobaczyła, że J.D. trzyma już w pogotowiu jej płaszcz i ubrania dzieci. Zdobyła się na słaby uśmiech i pokręciła przecząco głową.

- Dziękuję, mam samochód.

- Wiem - powiedział, delikatnie wyjmując jej z dłoni pusty kieliszek. - Będzie lepiej, jeśli to ja poprowadzę. - Po raz pierwszy wydał jej się prawdziwie szczerzy i serdeczny. - To był dla ciebie ciężki dzień.

- Amen - dokończyła Tiffany i nie spierała się z nim dalej. Zgarnęła Stephena i Christinę, po czym wręczyła J.D. kluczyki do samochodu. Podczas drogi do domu przymknęła oczy, wdzięczna, że ktoś się wreszcie o nią zatroszczył. Nawet jeśli był to tylko niezbyt sympatyczny szwagier.

Dom jej i Philipa mieścił się w północno-zachodniej części Portland. Gdy wreszcie dojechali na miejsce, Tiffany od razu położyła dzieci do łóżek, a potem, zupełnie wyczerpana wydarzeniami dnia, zeszła do kuchni, by podziękować J.D.

- Braterski obowiązek - odpowiedział na jej konwencjonalną formułkę.

- Grubo ponad normę, jeśli chcesz znać moje zdanie. - Tiffany nalała sobie kieliszek wina, choć już porządnie kręciło jej się w głowie. Nie mogła i nie chciała uprzytomnić sobie, że została wdową. Samotną kobietą, którą czekała niepewna przyszłość. Jej życie rodzinne, tak dotąd uporządkowane i zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach, legło w gruzach. Jutro jawiło jej się jak jedna niewiadoma. - Napijesz się ze mną? - zaproponowała J.D.

- Chyba dość już wypilem.

- Ja też, i co z tego? - Tiffany pociągnęła duży łyk pierwszorzędnej klasy pinot noir z ubiegłorocznych zbiorów Santinich. Czując śmiertelne znużenie, zrzuciła

pantofle na wysokich obcasach i zaczęła masować sobie zeszywniały kręgosłup.

- Położę cię do łóżka.

- Nie musisz. Sama trafię.

- Wiem, ale nie kłóć się. - J.D. spojrział na butelkę. - Czy w szpitalu nie zapisali ci jakichś środków uspokajających?

- Zapisali, ale nie brałam.

- To teraz też nie bierz. Nie bierz, póki nie wytrzeźwiejesz.

- Jestem trzeźwa - stwierdziła z pijackim uporem i opróżniła kieliszek do dna.

- Chodź. Zaprowadzę cię do sypialni.

- Nie potrzebuję żadnej pomocy - skłamała bełkotliwie. Chciała zachować niezależność do samego końca. Niech już ten Santini pójdzie, wtedy będzie sobie mogła pozwolić na płacz.

- Rozumiem.

Tiffany wstała i chwiejnym krokiem ruszyła w kierunku schodów na górę. Potknęła się i o mało nie upadła. J.D. podtrzymał ją i westchnął ciężko.

- Chodź, dziewczyno, pozwól sobie pomóc. Ja wiem, jak ci ciężko.

Te ciepłe słowa, tak nieoczekiwane z jego strony i tak szczere, zbiły ją z tropu i stępiły czujność. Jego dobry, życzliwy uśmiech sprawił, że po raz pierwszy od chwili złożenia Philipa do grobu w jej oczach zakręciły się łzy.

- Ja... Ja sobie poradzę - wyjąkała bezradnie.

- Wszyscy tak myślą. Jesteś bardzo przekonująca.

- Ale ja naprawdę...

- Jasne.

Tiffany znów się zachwiała. J.D. schwycił ją w porę i uniósł na rękach, jakby ważyła tyle co piórko.

- Chodź, malutka, pójdziemy spać.

Wniósł ją na piętro, a potem przeniósł długim korytarzem do sypialni, którą dzieliła z Philipem. Tam położył ją ostrożnie na łóżku i odgarnął włosy z

twarzy.

- Nie przejmuj się. W takiej chwili każdy ma prawo się załamać.

Po słowach J.D. broda Tiffany zaczęła spazmatycznie drgać, a z oczu puściły się strumienie łez.

- Byłaś jego żoną.

- Tak mi go brakuje.

- To naturalne.

- O mój Boże. - Tiffany otarła oczy i westchnęła głęboko. - Tak się boję, co będzie dalej.

Patrzył na nią dłuższą chwilę bez słowa, po czym, pod wpływem nagłego impulsu, zdjął marynarkę i położył się obok niej na łóżku.

- Wszystko będzie dobrze - wyszeptał jej do ucha, obejmując mocno.

Tiffany rozszlochała się w ramionach J.D, który wciąż szeptał tak bardzo potrzebne słowa pocieszenia, współczucia i otuchy. Zrozpaczona, roztrzęsiona pozwoliła się utulić i dzięki temu zapadła w ozdrowieńczy sen, konieczny w stanie krańcowego, fizycznego i psychicznego wyczerpania, w jakim znajdowała się od wielu dni. Wypłakała się na jego piersi, tak że gors koszuli miał całkiem przemoczony i uwalany czarnymi smugami tuszu do rzęs.

Gdy zasnęła, J.D. nakrył ich oboje kołdrą. Tiffany ocknęła się w środku nocy. Głowa jej pękała. Odwróciła się i wówczas napotkała głębokie, wyczekujące spojrzenie jego ciemnoszarych oczu. Nie mówiła nic. Nie było takiej potrzeby. Pocałował ją delikatnie. Raz. Drugi. Trzeci, i wówczas coś się w niej ostatecznie przełamało. Oddała mu pocałunek, bardzo długi i namiętny. Jego wargi z czułością pieściły jej usta, ręce z miłością pieściły ciało.

Nie spytał o zgodę, a ona nie protestowała.

Pieścili się, dotykali i głaskali, szukając wytchnienia, relaksu i pocieszenia. W akcie fizycznej miłości dopełniła się ich wspólna żaloba.

A potem wszystko minęło jak sen. Przyjazną i pełną miłości noc rano zastąpiło dojmujące poczucie winy.

Po pamiętnej nocy J.D. zniknął i nigdy się już do niej nie odezwał. Nie dzwonił, nie wpadał, nie pisał. Tiffany przeniosła się wraz z dziećmi do Bittersweet i do czasu, kiedy się niespodziewanie zjawiał i wynajął pokój na górze, nie miała od niego żadnych wiadomości. Uznała, że krótki epizod, który razem przeżyli, powinien odejść w niepamięć. Że była to życiowa pomyłka, głupia przygoda tej jednej pijanej nocy.

Teraz zrozumiała, że jest zupełnie inaczej. I umierała ze strachu, co jeszcze się wydarzy.

ROZDZIAŁ 8

Powtarzam ci, że świetnie sobie radzi - mówił J.D. Od piątku miał w swoim pokoju telefon i wreszcie zdecydował się zadzwonić do ojca.

- Co to za matka?! Żadna z niej matka! - krzyknął w odpowiedzi Carlo. Na chwilę jego głos złagodniał i J.D. usłyszał, jak mówi do żony: - Nie, dziękuję za sok, Frankie. Nie będę go pił. Wystarczy grzanka i kawa. Po mszy jestem umówiony na obiad.

- Mylisz się, tato. - J.D. także teraz, jak wiele razy przedtem, nie bał się przeciwstawić ojcu.

- Myle się co do Tiffany? Co ty powiesz?! - sarknął zgryźliwie Carlo. - Opowiadaj, czego się dowiedziałeś.

- Ona kocha swoje dzieci.

- Tyle że nie potrafi się nimi zająć. Stephen ma kłopoty z policją, tak czy nie?

- Nic poważnego - zbagatelizował sprawę J.D. Nie widział powodu, by wprowadzać ojca w całą awanturę wokół zniknięcia Isaaca Wellsa. Przynajmniej na razie, póki nie ma konkretnych dowodów, że Stephen jest w nie zamieszany. J.D. postanowił zająć się rodzinnymi sprawami na swój sposób. - Tiffany nie żyje się łatwo, ale radzi sobie nad wyraz dobrze.

- Pewnie. - Carlo nie krył sarkazmu. - Co się tam dzieje, J.D., powiesz mi, do diabła, czy nie? A może ta czarownica i na ciebie rzuciła urok, jak wcześniej na

twojego świętej pamięci brata, co?

Żebyś tylko wiedział, jaki urok, tato, pomyślał J.D. A głośno powiedział:

- Relacjonuję ci tylko uczciwie to, co zaobserwowałem.

- Dobrze, ale pamiętaj, że gdyby nie ta wredna wiedźma, twój brat żyłby do dzisiaj.

- Nikt z nas nie może tego wiedzieć, tato. - J.D. nie był na tyle głupi, żeby przyłączać się do oskarżeń ojca. Od początku nie winił Tiffany. Rozumiał, że ojciec znajduje ujście dla rozpaczony, oskarżając ją o śmierć pierworodnego syna.

- Coś mnie tu dziwi, synu - powiedział Carlo. - Jesteś tam ledwo tydzień i już stoisz murem za tą kobietą - westchnął z niesmakiem. - Posyłając cię do niej, popełniłem błąd.

- Może tak, może nie - rzekł dyplomatycznie J.D., nie chcąc złapać się na haczyk. - Wiesz przecież, że w działaniu posługuję się głównie instynktem.

- Ha... co prawda, to prawda. A co ten twój sławetny instynkt mówi o nowej lokalizacji winnicy?

- Pracuję nad tym, tato. Niebawem prześlę ci faksem wszystkie informacje o najbardziej obiecujących terenach - odparł J.D., zadowolony, że ojciec wreszcie zmienił temat.

- Mama chce wiedzieć, czy nie przerwałeś ćwiczeń rehabilitacyjnych i czy z twoją nogą jest lepiej?

- Coraz lepiej, tato.

- Dobrze. Przekażę jej to. Kiedy zadzwonisz?

- Niebawem. Cześć, tato - powiedział J.D., odłożył słuchawkę i myślami powrócił do Tiffany. Jak bardzo różniła się od tej nieśmiałej, skromnej Tiffany, którą po raz pierwszy ujrzał jako narzeczoną brata. Była też kimś innym niż zrozpaczona, załamana kobieta, która nagle straciła męża i cudem wyszła cało z wypadku. Życie ją zahartowało. Wydoroślała i zmądrzała. Zyskała pewność siebie i poczucie własnej wartości. Potrafiła stawić czoło trudnościom i przeciwnościom. No i była jeszcze piękniejsza niż kiedyś, jeszcze bardziej

pociągająca.

- Psiakrew! - zaklął głośno J.D.

Tiffany... Zakazany owoc... Narzeczona Philipa spodobała mu się od pierwszego wejrzenia. Wtedy w samochodzie pocałował ją z przekory, na złość bratu, który był mu stawiany przez rodziców za wzór, który zawsze pozostawał na pierwszym planie. J.D. miał swoją opinię o Philipie i żał mu było Tiffany. Rodzina okazywała jej niechęć, która zmieniła się w jawną nienawiść po tragicznym wypadku, w którym zginął Philip. Jedynie J.D. okazał jej współczucie i chęć pomocy. No cóż, trzeba przyznać, że posunął się zdecydowanie za daleko w roli pocieszyciela. Początkowo chciał jedynie utulić zboląłą, zrozpaczoną i samotną Tiffany. Sytuacja wyniknęła się spod kontroli. Było mu potem głupio, czynił sobie wyrzuty, że nad sobą nie zapanował, że nie powstrzymał pożądania. Mimo to nie potrafił zapomnieć tego, co wtedy dane mu było przeżyć. Tiffany okazała się cudowna, spontaniczna, zmysłowa. Często powracał pamięcią do tamtej nocy. A teraz zamieszkał z Tiffany pod jednym dachem, jej sypialnia znajdowała się zaledwie piętro niżej. Zdawał sobie sprawę z tego, że igra z ogniem, że wyzywa los. A jednak... ciągnął do Tiffany jak ćma do światła. Na przekór skrupułom moralnym i własnym poglądom na temat honoru, a także przekonaniu o potrzebie zachowania lojalności wobec członków najbliższej rodziny.

Oczywiście, mógłby zrezygnować z wykonania zadania, jakie powierzył mu ojciec, wybić sobie z głowy Tiffany i natychmiast wyjechać. Nie był jednak tchórzem. Muszę wytrwać, póki nie uporządkuję spraw ojca, pomyślał. Dopiero wtedy wrócę do Portland.

Czyli do czego? Do pustego domu, despotycznego ojca, nadopiekuńczej matki, pracy, za którą nie przepadał.

- Psiakrew! - zaklął ponownie.

Postanowił zabrać się do jakiejś roboty, wysiłek fizyczny był dobrym antidotum na frustrację. Wiele razy się o tym przekonał. Zacznie od płotu.

Drewniane sztachety były mocno nadgryzione zębem czasu i częściowo nadawały się tylko do wymiany. Po płocie przyjdzie kolej na werandę. Witrażowe szybki ledwo się trzymały. Dach też wymagał naprawy, nie mówiąc o framugach i okiennicach. Realizacja tych planów mogła trwać tygodniami. J.D. był zadowolony, że chociaż w taki sposób pomoże bratowej i jej dzieciom. I wara ci od niej, Santini, zgromił się w myślach.

Na pierwszym piętrze zajrzał przez uchylone drzwi do pokoju Christiny. Maleństwo wciąż jeszcze spało. Pościel była skotłowana, a jednooki królik leżał na podłodze. Christina spała w pozycji embrionalnej, trzymając kciuk w pogotowiu, blisko buzi. J.D. uśmiechnął się na ten widok i przeszedł do pokoju Stephena. Zapukał do drzwi, mimo wiszącej na klamce wywieszki z napisem: NIE PRZESZKADZAĆ.

Z początku nie było odpowiedzi. Zastukał głośniej.

- Co jest? - odezwał się zaspany głos.

J.D. uznał to za zaproszenie. Nacisnął klamkę i wszedł do środka. W pokoju Stephena panował nieopisany bałagan. J.D. nie należał do pedantów, ale nawet jego zdumiał stan, w jakim znajdował się pokój chłopca.

- Czego chcesz? - spytał burkliwie Stephen i otworzył swoje zdrowe oko. Oprzytomniał szybko i patrzył na stryja z wyczekiwaniem.

- Żebyś mi pomógł - J.D. postąpił krok naprzód, niechcący rozgniatając obcasem walającego się na podłodze herbatnika.

- W czym? - Stephen potarł oko ręką, ziewnął i usiadł na łóżku.

- Chciałbym to i owo ponaprawiać w waszym domu. Zaplanowałem wymianę części płotu, kitowanie okien na werandzie, przybijanie oderwanych listew, przycięcie deski na złamany schodek przy drugim ganku, i takie tam różne...

- Kumam. - Stephen znów opadł na poduszkę. - Dobra, ale później.

- Za pół godziny?

- Eee... lepiej za trzy godziny.

- To ostateczny termin. Bądź gotów.

J.D. zszedł do kuchni, gdzie zastał Tiffany. Ubrana w żółty jedwabny szlafroczek szykowała na śniadanie gorące naleśniki. Na dźwięk kroków odwróciła głowę i spojrzała przez ramię na J.D. W mgnieniu oka rumieniec oblał jej szyję i policzki. W jasnym blasku poranka jej oczy lśniły jak bursztyny.

- Dzień dobry, Jay. - Powiedziała to tak zwyczajnie, jakby od lat, co dzień o ósmej rano schodził do kuchni na śniadanie. Wytrząsnęła z miski na dłoń trochę jagód i posypała nimi zdjęte z patelni placki.

- Cześć. Wstąpiłem do Stephena i próbowałem wyciągnąć go z łóżka.

Uśmiechnęła się, jakby wczoraj nic się nie wydarzyło i jakby żadne z nich nawet nie pomyślało o pocałunkach i pieszczotach.

- Z jakim skutkiem?

- Szczerze mówiąc, marnym.

- Wcale się nie dziwię. W niedzielę Stephen zawsze długo śpi, odsypia cały tydzień. Poza tym, nie jest rannym ptaszkiem.

- A który chłopak w jego wieku jest?

- Możesz sobie nalać kawy. Jest w dzbanku.

- Dzięki. - J.D. wyjął z kredensu kubek, próbując nie patrzeć na biodra Tiffany, uwypuklające się kusząco pod cienkim szlafrokiem. - Sporo w nocy przemyślałem.

- Nie strasz mnie.

- Myślałem o Stephenie.

- No i co? - Tiffany znieruchomiała.

- Ty wiesz i ja wiem, że chłopak nie maczał palców w zniknięciu Wellsa.

- No jasne, że nie.

- Masz rację, oczywiście. A mimo to odnoszę wrażenie, że on wie więcej, niż mówi.

- O co go podejrzewasz? To dobry chłopiec.

- To dlaczego nie powiedział tego wszystkiego, co teraz, parę tygodni temu?

- Co chcesz mi zasugerować, Jay?

- Że on kogoś kryje.

- Kryje? - Tiffany odwróciła głowę i spojrzała na niego pociemniałymi z niepokoju oczami. - Kogo?

- Myślałem, że może ty będziesz umiała odpowiedzieć na to pytanie. Westchnęła, odgarniając z czoła niesforne kosmyki.

- Stephen jest skryty - powiedziała, machinalnie przewracając naleśnik na patelni. - Z trudem namówiłam go na zwierzenia, spróbuję go jeszcze raz wypytać.

- Byłoby to bardzo wskazane.

Z kubkiem kawy w ręku J.D. poszedł do okna i je uchylił. Zapach skóry i perfum Tiffany stał się dla niego zbyt intensywny. Na myśl o ciele Tiffany, rysującym się podniecająco pod szlafrokiem, J.D. zrobiło się gorąco.

- A co do wczorajszego wieczora...

- Co masz na myśli? - Tiffany zamarła nad patelnią z widelcem gotowym do przewrócenia placka.

- No... to, jak się całowaliśmy.

- Ach, to. Uważam, że nie ma o czym mówić.

- Dlaczego?

- Bo... Bo... Och, sama nie wiem - powiedziała, a w duchu dodała: Bo mnie peszysz i podniecasz. Bo przez ciebie tracę głowę. Po chwili zaproponowała: - Uznajmy, że się niechcący zagalopowaliśmy, że nastąpił pechowy zbieg okoliczności.

- Mam na ten temat inne zdanie.

- Nie chcę o tym więcej słyszeć. - Z wprawą godną mistrza podrzuciła w powietrzu naleśnik i po chwili zsunęła go na talerz.

- Nie damy rady przed tym uciec.

- Oczywiście, że damy. - Dołożyła masła na patelnię. - Jay, mam masę zmartwień i tyle samo spraw do rozwiązania. Naprawdę. Nie w głowie mi teraz mężczyźni, nie mam zamiaru z nikim się wiązać, nawet z tobą. Muszę skupić się

na wychowywaniu dzieci i na pracy. Nie potrzebuję żadnych komplikacji.

W odpowiedzi J.D. uśmiechnął się z powątpiewaniem, co jeszcze bardziej ją rozdrażniło. Gniewnym ruchem cisnęła garść jagód na gorący placek.

- Ja nie chcę niczego komplikować.

- Akurat - westchnęła ciężko. - Nie chcesz, ale musisz. Masz to w genach albo... sama nie wiem. - Na jej wargach mimowolnie zagościł uśmiech. Boże, ależ on jest przystojny, pomyślała, nawet o tak wczesnej godzinie. Mimo że nie ogolony, z przydługimi i rozczochranymi włosami, miał w sobie coś tak nieodparcie męskiego, że siłą powstrzymywała się, by go nie objąć.

- Pomyślałem sobie tylko, że warto by o tym porozmawiać.

- To, co się stało, było pomyłką, niczym więcej. Po prostu się zagalopowaliśmy. Jesteś moim szwagrem, i niech tak zostanie. Mimo że Philip nie żyje, wasza rodzina ciągle mnie nie toleruje. Moje dzieci, każde na swój sposób, walczy ze stresem po śmierci ojca i w tej sytuacji ja nie mam prawa pozwalać sobie na żadne... swawole - zakończyła z westchnieniem J.D. ze zdziwieniem uniósł brwi, słysząc to określenie. - W porządku, nie bardzo umiem to wyrazić, ale ty doskonale wiesz, o co mi chodzi - dodała Tiffany. - Nie jestem gotowa na... No wiesz, nie chcę się pakować w nic, co utrudni życie mojej rodzinie.

- Sama się oszukujesz, Tiff - powiedział z ironicznym grymasem i oparł się o blat kredensu.

- Wcale nie - zaprotestowała i pochyliła się nad patelnią.

J.D. podszedł do niej i objął ją od tyłu. Chciała go odepchnąć, ale nie znalazła w sobie dość siły ani ochoty. Przytulił się mocniej, napierając biodrami na jej pośladki. Wyczuwała przez cienki materiał jego nabrzmiałą męskość. Oblała ją fala gorąca.

- Jay, nie rób tego, proszę cię, przestań, bo... - Urwała zarazem speszona i podniecona. Pragnęła go tak samo silnie jak on jej. Nie mogła się dłużej oszukiwać. Polizał jej kark i musnął językiem czubek ucha. Jęknęła z rozkoszy.

- Ostrzegam cię...

- Ostrzegaj... - szepnął. Czują na szyi jego gorący oddech, a na biodrach ruchliwe dłonie. - Możesz sobie ostrzegać, ile zechcesz.

- To nie jest dobry pomysł.

- Najgorszy z możliwych - zgodził się.

- Naprawdę, Jay.

- Podniecasz mnie tak, że wariuję od tego. Rano jesteś śliczna i cholernie apetyczna. Wieczorem jeszcze bardziej.

- A ty za to jesteś niepoprawny.

- Zawsze można mieć nadzieję. - Obrócił ją twarzą do siebie, nie wypuszczając z objęć. Otworzyła się na niego cała, jak słonecznik, który obraca się za słońcem. Pasek szlafroka został rozwiązany, więc ręce J.D. bez przeszkód mogły błędzić po nagim ciele Tiffany, po talii, biodrach i prężnych piersiach, nie skrepowanych stanikiem.

- Jay - wyszeptała zmysłowo i przymknęła powieki. - Och, Jay. - Tiffany była bliska utraty przytomności. J.D. pieścił delikatnie jej piersi. Igrał z naprężonym sutkiem, aż Tiffany musiała oprzeć się o stół, bo chwiała się na nogach. J.D. pogłaskał aksamitną skórę ud. Jego dłoń podjęła podniecającą wędrówkę.

- Nie, proszę, nie. - Tiffany próbowała powstrzymać J.D. W każdej chwili dzieci mogły zbiec z góry, a pani Ellingsworth wejść do kuchni od strony podwórka. Tiffany zawstydziała się swego zachowania. - Na miłość boską, Jay, przestań - szepnęła. Uwolniła się z jego objęć i natychmiast zaczęła zeskrobywać z patelni przypalone ciasto. - Nie wiem, co za diabeł we mnie wstąpił - powiedziała tytułem wytłumaczenia, nalewając na wyczyszczoną powierzchnię ostatnią porcję ciasta.

- Nie wiesz? - zapytał i zaśmiał się. Tiffany zaczerwieniła się po korzonki włosów.

- Niech pan posłucha, panie Santini, zamiast mnie tu nagabywać.

- Ja cię nagabuję? Pozwól mi, a pokażę ci, co to znaczy nagabywać. A zresztą,

co to za dziwne określenie na...

- Przestań wreszcie! - Zdenerwowana Tiffany pomyślała, że J.D. się nie zmienił. Bez trudu potrafił wprawić ją w zakłopotanie.

- Zajmij się czymś pożytecznym. Nakryj do stołu albo wyjmij sok z lodówki.

- Mam lepszy pomysł. - Pocałował Tiffany w policzek, nie bacząc na jej groźną minę. - Zawołaj mnie, jak śniadanie będzie gotowe.

J.D. wyszedł przez werandę na podwórko. Skierował się do szopy, skąd po chwili wyniósł drabinę i narzędzia ciesielskie. Przystawił drabinę do ściany i szybko wdrapał się na wysokość pierwszego piętra, skąd niebawem dobiegło stukanie młotkiem. Tiffany domyśliła się, że naprawia oderwaną drewnianą żaluzję przy oknie jej pokoju. Żaluzja wisiała żałośnie na jednym zawiasie od miesiący - od czasu gdy wprowadziła się do tego domu.

Z góry dobiegło jęczenie starych rur i szum spuszczonej wody. Widocznie Stephen już wstał i poszedł pod prysznic. Wkrótce on i Christina zjawili się w kuchni, zwabieni smakowitymi zapachami. Mała była jeszcze w piżamie i, jak zwykle, przyciągnęła za sobą oberwany kocyk. Stephen włożył mocno sfatygowane dżinsy i wypłowiały podkoszulek. Miał mokre włosy i niezadowoloną minę. Ponura mina zniknęła zwykle przy drugiej porcji jajecznicy albo płatków z mlekiem.

- Mamuniuu! - Christina z rozpostartymi rączkami puściła się biegiem do matki.

- Dzień dobry, moje słoneczko.

- Jestem głodna!

- To bardzo dobrze, bo śniadanie gotowe. - Tiffany pomogła małej usadowić się w wysokim krzeselku. - Zjesz coś? - zwróciła się do Stephena.

- A co jest? - spytał, siadając niedbale na krześle, z którego dobrze było widać drabinę, na której stał J.D.

- Naleśniki z jagodami, bekon. Mogą być też sadzone, jeśli zechcecie.

- Jajo nie! - zaprotestowała głośno Christina. Tiffany sięgnęła do piecyka,

gdzie w cieple czekał wielki talerz z plackami. Nałożyła porcję dla Christiny i połała syropem klonowym. Obok położyła plasterek chrupkiego boczku.

- Uważaj, bo gorące - przestrzegła córeczkę, wręczając jej mały widelczyk. - A co tobie nałożyć? - spytała Stephena. - Zjesz jajka?

- Nie, wystarczy to, co jest.

Tiffany postawiła pełny talerz przed synem i wychyliła się przez okno, by zawołać J.D. Christina roześmiała się na widok nóg stryjka stojącego na drabinie, zaś Stephen od razu się naburmuszył.

- Idziemy na ślub dziadka? - spytał matkę, gdy skończyła smażyć jajka dla siebie i J.D. Patrzył na nią spode łba przez opadające mu niechlujnie na czoło i oczy długie kosmyki.

- Nie - powiedziała krótko. - Natomiast radziłabym ci wybrać się w tym tygodniu do fryzjera.

- Ja chcę na ślub - zaszczebiotała Christina. - Chcę widzieć panny młode.

- Będzie tylko jedna - burknął Stephen.

- To co?

- Jesteś taka głupia, że nawet nie wiesz, czyj to ślub.

- A czyj? - dopytywała się dziewczynka.

- Naszego dziadka - odparł Stephen.

Tiffany miała szczerą ochotę powiedzieć, że John Cawthorne nie jest i nigdy nie będzie dla jej syna dziadkiem, ale powstrzymała potok nienawistnych słów. Po co kłamać? Skąd mogła wiedzieć, co przyniesie przyszłość? Mimo iż nie chciała święcić wraz z ojcem jego małżeństwa z wieloletnią kochanką, miała nadzieję, że złość i rozgoryczenie z czasem ją opuszczą i że zdoła nawiązać z nimi poprawne stosunki.

- A może jednak wybrałabyś się na tę uroczystość? - spytał J.D., który stanął w progu kuchni.

- Nie. Nie jestem przygotowana na spotkanie z nimi - odpowiedziała, bez apetytu zgarniając widelcem kawałek białka. Ta rozmowa wyraźnie jej nie

służyła. - I nie wiem, czy kiedykolwiek będę.

- A ja uważam, że powinniśmy pójść - wtrącił Stephen.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie? Dziadek nas zaprosił.

- Wiem, ale...

- Czego się boisz?

- Niczego się nie boję, synu, to nie ma nic wspólnego ze strachem. Przyczyny takiej, a nie innej mojej postawy wobec Johna i całej tej sprawy sięgają w przeszłość. Jesteśmy dla siebie obcymi ludźmi i nie widzę powodu, dla którego miałabym uczestniczyć w jego weselu. On zniknął z mojego życia niemal zaraz po moim urodzeniu. Rosłam bez ojca, utrzymywana przez matkę w przeświadczeniu, że on nie żyje.

- Teraz masz już ojca. Sam do ciebie przyszedł. Czy nie powinnaś się z tego cieszyć? Czy to się dla ciebie nie liczy? - Stephen obrzucił Tiffany uważnym spojrzeniem.

- Liczy się, naturalnie, ale pozostały zadawnione żale i pretensje. Nie tak łatwo o nich zapomnieć.

Stephen sięgnął po syrop i polał nałożone na talerz naleśniki.

- Zawsze mi mówiłaś, że powinno się innym przebaczać, nie chować długo urazy - powiedział.

Tiffany zrobiło się głupio, chociaż miała wyrobioną opinię o Johnie Cawthornie i nie akceptowała jego stylu życia łącznie z ostatnim pomysłem poślubienia długoletniej kochanki. Faktem jest, że to John pierwszy wyciągnął rękę na zgodę, przyznał, że źle postąpił, i ją przeprosił. Oczywiście takie przeprosiny nie zrównoważą dorastania bez ojca, liczą się jednak dobre intencje. Christina i Stephen stracili swego ojca nieodwołalnie, na zawsze.

- Kiedyś przyjdzie czas, że mu wybaczę.

- I będziesz mówić na niego „tato”? - naciskał Stephen.

- Nie tylko więzy krwi się liczą. Prawdziwym rodzicem dziecka jest ten, kto je

wychował, kto trwał przy nim i mu pomagał.

- Jasne, oczywiście, ale zawsze mi mówiłaś, że ludziom trzeba w życiu dawać szansę.

- Czego ty właściwie chcesz ode mnie?

- Uważam, że powinniśmy iść na Suit dziadka. Mimo wszystko.

- Za późno. Podziękowałam za zaproszenie i uprzedziłam, że nas nie będzie - wyjaśniła Tiffany.

- Chcę iść! - oznajmiła głośno Christina. Całą buzię miała wysmarowaną słodkim syropem, tak samo jak rączki.

- Nic z tego.

- Ale to nasz dziadek! - wykrzyknął Stephen.

- Wiem, ale...

- Dajcie mamie trochę czasu - wtrącił się J.D. - Pojawienie się ojca po tylu latach było dla niej szokiem. Musi się oswoić z nową sytuacją. John z pewnością to rozumie.

- Przecież nie będziemy żyć jak odludki. Pomału poznamy bliżej całą rodzinę - powiedziała Tiffany, myśląc o obu przyrodniczych siostrach i ich krewnych. Katie ma syna Josha, niewiele młodszego od Stephena, a ponadto trzech braci. Bliss wkrótce zostanie żoną Masona Lafferty'ego, który z pierwszego małżeństwa ma córkę Dee Dee. Zapewne po ślubie zdecydują się na dziecko. W tym momencie ją olśniło, zrozumiała, dlaczego Stephen tak stanowczo domaga się, by wzięli udział w uroczystości. Chłopiec chce przynależeć do rodziny, być otoczony bliskimi, być może, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, podświadomie szuka kogoś, kto choć po części zastąpi mu ojca.

- Nie możemy iść dzisiaj, ale...

- Chcesz powiedzieć, że ty nie pójdziesz - przerwał jej gwałtownie Stephen.

- Obiecuję ci, że będziemy się spotykać z twoim... dziadkiem, jego nową żoną i całą rodziną. Już niedługo.

- Dobrze! - powiedziała uradowana Christina, wyrzucając do góry rączki i

gubiąc przy okazji kawałek nadgryzionego bekonu. Upadł na podłogę i natychmiast został obwąchany przez Węgielka, który czatował pod stołem.

J.D. postanowił nie zabierać więcej głosu w sprawie uroczystości weselnej Johna, ale jedno spojrzenie na Tiffany wystarczyło, by zrozumiał, że czuje się przyparta do muru. Aby jej pomóc jakoś wybrnąć z niezręcznej sytuacji zapytał, czy Stephen już skończył śniadanie i czy mogą się razem zabrać do pracy.

- Jak to? - zdziwił się chłopak, gdy usłyszał, że mają zacząć od płotu.

- Zwyczajnie, wyprostujemy go, zrobimy podpórki, wymienimy zniszczone sztachety, a potem będziemy mogli naprawić framugi w oknach i inne rzeczy.

- Ale ja się na tym kompletnie nie znam - zaprotestował Stephen.

- Najwyższy czas, żebyś się nauczył - orzekł J.D., dając do zrozumienia, że zamyka dyskusję na ten temat.

Chłopiec z niewyraźną miną opłukał swój talerz, włożył go do zmywarki i posłusznie podążył za stryjem na podwórko, skąd wkrótce dobiegły stukania i pukania, a także krótkie polecenia wydawane przez J.D. Tiffany też zabrała się do roboty: sprzątnęła po śniadaniu i wykapała Christine, a następnie zmieniła pościel, nastawiła pranie i zasiadła do zaniedbanych ostatnimi dniami rachunków. Mała za nic nie dała się namówić na drzemkę. Nie wiedzieć kiedy, nadeszło popołudnie.

J.D. zarządził tylko jedną przerwę w pracy, toteż o wpół do czwartej Stephen, nie przyzwyczajony do takiego wysiłku fizycznego, był solidnie zmęczony. Mimo to, po krótkim odpoczynku, sięgnął po telefon, umówił się z kimś i oznajmił:

- Idziemy nad rzekę.

- Kto idzie?

- My z Samem.

- Mówi się: Sam i ja - poprawiła machinalnie Tiffany i dodała: - Wróc o szóstej na kolację.

Stephen zdążył już chwycić ukochaną deskorolkę i jedną nogą był za progiem.

- Nie będę głodny.

- Kolacja o szóstej. Nie spóźnij się!

- Dobrze, dobrze! - odkrzyknął, z wprawą wskoczył na deskę i po sekundzie skręcił za róg.

- To w gruncie rzeczy niezły chłopak - powiedział J.D., obejmując ramieniem Tiffany. Stali na skraju małego rozarium, z którego rozchodził się słodki i mocny zapach róż. Panującą wokół ciszę zakłócało jedynie brzęczenie pszczoł.

- Nigdy nie uważałam, że jest zły - odrzekła Tiffany, wyzwalając się z objęć J.D.

- Żartowałem. Wiem, że nie pozwolisz powiedzieć złego słowa o swojej rodzinie. Stawiałaś ją zawsze na pierwszym miejscu. Stoisz murem za swoimi dziećmi, a gdy żył Philip, jego również chroniłaś.

- Czemu miałabym postępować inaczej?

J.D. nie odpowiedział. Zamyślony, wpatrzył się w widoczną z ogrodu ulicę. Tiffany podejrzewała jednak, że nie widzi ani amatora joggingu, biegnącego po chodniku z czarnym labradorem u nogi, ani grupy rozbawionych dzieci, prowadzonych przez spieszącą gdzieś matkę. Najwidoczniej przetrawiał jakieś myśli. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Wiesz chyba, że Philip nie był święty?

- A ty siebie za takiego uważasz? - spytała Tiffany, zrywając więdnącą koronę kwiatu. Gdy gęste płatki spadały na ziemię, wydostała się z nich z gniewnym bzyzieniem zapóźniona pszczoła.

- Ja i święty. Coś podobnego! - J.D. zaśmiał się niewesoło.

Tiffany zerwała kolejny zwiędły kwiat.

- Ja wiem, że Philip grał, Jay - powiedziała. Rzuciła mu szybkie, ukradkowe spojrzenie. - Wiem też, że zdradzał swoją pierwszą żonę. - W oczach J.D. błysnęło zdziwienie. - Zwierzył mi się, że miał romans, kiedy Robert i Thea byli jeszcze mali - dodała. - Wprawdzie dowiedziałam się o tym po ślubie, ale w końcu wyznał prawdę, i to się liczy.

- Pewnie uznał, że lepiej, abyś usłyszała to od niego.

- I miał rację. Z tego, co wiem, mnie nigdy nie zdradził a nawet gdyby, to co dobrego przyszłoby mi z tej wiedzy dzisiaj? - spytała. Znała wszystkie słabostki i wady Philipa. - A co się liczy, to fakt, że zginął ratując życie Christiny.

- A więc jednak święty.

- Nie święty, tylko dobry. Miał swoje wady, jak każdy z nas.

W tym momencie rozległ się przeraźliwy krzyk Christiny, która uniosła do góry dłoń uwalaną jakąś brunatną cieczą. Jeszcze przed chwilą ścisnęła w niej świerszcza.

- Ugryzł mnie, to krew! - zawołała.

- On cię tylko opluł - ze śmiechem wyjaśnił J.D.

- Opluł? - powtórzyło przerażone dziecko.

- To się nazywa sok tytoniowy - dodała Tiffany, tuląc w ramionach córeczkę.

- Ale się lepi - poskarżyła się ze łzami Christina.

- Chodź, zaraz wymyjemy rączki, a potem zrobimy czegoś dobrego do jedzenia.

Christina nie protestowała. Spałaszowała z apetytem kanapki z galaretką i pastą orzechową, wypila dużą szklankę mleka i zasiadła spokojnie, żeby w telewizji obejrzeć kreskówki. Tiffany rozpoczęła przygotowania do kolacji. Ugotowała makaron na zapiekankę, a w mikserze zrobiła sos. J.D. popracował jeszcze trochę przy stolarce, po czym wpadł do kuchni, aby ugasić pragnienie piwem, i wrócił do mocowania oberwanych framug i obluźnionych poręczy werandy. Christina, wyczerpana długim dniem, zasnęła przed telewizorem. Tiffany postanowiła jej nie budzić, tylko zanieść na górę i położyć do łóżka.

Po zebraniu z podłogi porzucanych zabawek znów zeszła do kuchni, włożyła makaron do żaroodpornego naczynia i spojrzała na zegarek. Stephen był już spóźniony. Chłopiec zazwyczaj trochę się spóźniał, jakby chciał wypróbować, na ile może sobie pozwolić, ale dotąd nie przekraczał piętnastu minut. Tymczasem od umówionej pory minęło ponad pół godziny.

- Nie trzeba martwić się na zapas - powiedziała sama do siebie.

Posypała makaron krewetkami, posiekaną szalotką i karczochami, po czym nastawiła piekarnik. Stephen powinien lada moment wrócić, powtarzała sobie w duchu, ale raz po raz wyglądała przez okno. Przy rogu domu pracował J.D., odkręcając kluczem kran do podłączania ogrodowego węża. Kurek całkiem się obluzował i trzeba go było wymienić na nowy.

- Nie musisz się tym wszystkim zajmować - zawołała Tiffany, wychodząc z kuchni i patrząc na podjazd. - To robota dla hydraulika. Od lokatorów nie wymagam niczego oprócz płacenia czynszu.

- Poczekaj tylko, wystawię ci rachunek za to wszystko.

- Nie wiem, czy będę w stanie zapłacić.

- Piękna pani - J.D. uśmiechnął się wyzywająco - biorę tylko w naturze.

- Doprawdy?

- Jak najbardziej. Interesuje mnie wymiana wzajemnych usług. Ja pani wyszoruję plecy, potem pani mnie...

- Nawet mi nie tłumacz, co masz na myśli.

- Chyba bym cię zgorszył.

- Czyżby? To brzmi intrygująco.

- Żebyś tylko wiedziała, co się za tym kryje - mrugnął wesoło, po czym wrócił do przerwanej roboty. Mocno przekręcił i kran puścił. Po chwili po raz pierwszy od miesiąca woda popłynęła równym strumieniem, zamiast sikać i pryskać we wszystkie strony.

- Masz talent - pochwaliła Tiffany.

- Tak uważasz? Poczekaj, to załatwię z dubeigwinta halbecojgę, o ile coś takiego w ogóle istnieje - zażartował w odpowiedzi i roześmiał się.

W tym momencie usłyszeli, że przed domem zatrzymał się samochód. Oboje jednocześnie odwrócili głowy. W pierwszej chwili Tiffany miała nadzieję, że może któryś ze zmotoryzowanych kolegów podrzucił Stephena, ale nie spostrzegła syna. Zaniepokoiła się, że coś mu się stało.

Pikap, który stanął na podjeździe, najlepsze dni miał dawno za sobą. Z szoferki wyskoczył wysoki szczupły mężczyzna. Ruchy miał powolne, ale sprężyste, jakby trochę kocie. Przeszedł przez trawnik i zbliżył się do nich.

- Pan tu rządzi? - zwrócił się do J.D.

- Chciałbym, ale nie.

Nieznajomy blondyn wskazał ruchem głowy ogłoszenie przy ulicy.

- Muszę wynająć mieszkanie. Na parę miesięcy.

Dzień dobry. Nazywam się Tiffany Santini, a to mój szwagier, J.D. - Tiffany wyciągnęła rękę na powitanie. - To mój dom - wyjaśniła.

- Luke Gates.

Potrząsnął podaną mu dłoń, po czym przywitał się z J.D., który od momentu, gdy pikap zatrzymał się na podjeździe, wyraźnie stracił dobry humor. Z pewnością miał zastrzeżenia do przybysza, który wyglądał, jakby dopiero co zeskoczył z kowbojskiego siodła. Tiffany wystarczyło jedno uważne spojrzenie, aby wyrobić sobie wstępną opinię o mężczyźnie. Ubranie miał znoszone, lecz czyste. Trzymał się prosto, z godnością, a z jego oczu wзираło znużenie życiem. Koło oczu miał kurze łapki, teraz dobrze widoczne na tle opalenizny, a odciski na dłoniach świadczyły o tym, że żadnej pracy się nie boi.

- Mam dwa lokale do wyboru. Albo na parterze głównego budynku, albo na pięterku w starej wozowni. Na początek proszę o czynsz miesięczny z góry i wadium za ewentualne zniszczenia, opłatę za sprzątanie, a także referencje.

- Spodziewałem się tego - powiedział Gates z ledwo zauważalnym teksańskim akcentem. - Mam, co trzeba. Chodźmy obejrzyć lokal w wozowni.

- Tędy, proszę.

J.D. obszedł za nimi cały dom, a potem wrócił do pracy. Teraz zajął się wrywaniem trawy z popękanego asfaltu daleko na tyłach garażów. Już wcześniej powiedział Tiffany, że to miejsce znakomicie nadaje się na treningowe boisko koszykówki dla Stephena.

- Chłopak ma tyle energii, że powinien ją wyładować, najlepiej w sporcie.

Może strzelać kosze, może mieć ścianę do tenisa albo bokserski worek treningowy. Ale musisz tu coś dla niego zainstalować, inaczej wciąż będzie uciekał do tych swoich podejrzanych kolegów, którzy całymi dniami włóczą się po mieście. Chyba że nie zależy ci na tym, żeby częściej zostawał w domu.

- Dobrze wiesz, że wolę go mieć na oku.

- I słusznie.

Zgodzili się, że najlepiej będzie, jeśli Stephen zacznie trenować koszykówkę.

Luke Gates przelotnie obejrzał mieszkanie i od razu oświadczył, że je wynajmie. Intuicja podpowiadała Tiffany, że przybysz był na to zdecydowany, zanim jeszcze zobaczył nierówne dębowe podłogi, kominek z czerwonej cegły i sypialnię z pojedynczym łóżkiem. Nowy lokator podpisał dokumenty wynajmu w kuchni. Okazał swoje referencje i zapłacił za wszystko szeleszczącymi nowością studolarówkami. Tiffany nie pierwszy raz przyjmowała za wynajem gotówkę, ponieważ ci, którzy jeszcze nie zdążyli założyć w miasteczku konta, posługiwali się pieniędzmi, a nie kartą czy czekiem, niemniej jednak zawsze było to dla niej trochę podejrzane. Dawno już nie widziała u nikogo takiego grubego pliku banknotów, ale Luke zachowywał się tak, jakby to było coś oczywistego. Oznajmił, że zamierza wprowadzić się tego samego wieczora.

- Skąd pan przyjechał, jeśli można wiedzieć? - spytał J.D., gdy razem wyszli na podwórze.

- Z daleka.

- Wszystko ma gdzieś swój początek.

- Pewnie, że tak.

- Ale pan nietutejszy? - nie dawał za wygraną J.D.

- Nie. Z Teksasu. Z małej dziury koło El Paso - odparł Luke. Wskoczył do pikapa, zapuścił silnik i wkrótce odjechał.

- Nie ufam mu - powiedział J.D., gdy samochód zniknął za rogiem w mgiełce szarych spalin. Oboje z Tiffany stali na werandzie. Na trawie kładły się pierwsze wieczorne cienie.

- Ty nikomu nie ufasz - zauważyła zdawkowo, choć doskonale wiedziała, co J.D. ma na myśli. Luke działał na ludzi prowokująco; nie przez to, co mówił, ale przez swoje milczenie i rezerwę. Nikt nie lubi takich typów, co dużo wiedzą i widzą, a sami niczego po sobie nie pokazują.

- Nieprawda. - J.D. uśmiechnął się, po czym tak jak tyle razy przedtem, objął ją w talii bez cienia skrępowania. - Jednak na moje zaufanie trzeba sobie zapracować.

- Naprawdę trzeba?

J.D. przybliżył twarz do twarzy Tiffany.

- Tak. Nie przekonuję się tak od razu - odparł i bez żadnego ostrzeżenia pocałował ją, zarazem czule i namiętnie. Tiffany z pasją oddała pocałunek. Jak zwykle, gdy znajdowała się w ramionach J.D., znikła otaczająca ją rzeczywistość. Liczyła się tylko oszałamiająca bliskość J.D., która sprawiała, że Tiffany traciła nad sobą kontrolę. Gdy J.D. oderwał wargi od jej ust, zaprotestowała, niezadowolona, po czym westchnęła.

- I co ja mam z tobą zrobić?

Na nocnym niebie właśnie pojawił się księżyc.

- Nie głupie pytanie. Właśnie miałem ci zadać takie samo.

Tiffany spojrzała spłoszona na zegarek i przekonawszy się, która godzina, szybko powróciła do rzeczywistości. Stephen już dawno powinien wrócić do domu.

- Tak się martwię, gdzie ten chłopak się podziewa! Stale sprawdza, ile wytrzymam, ale teraz grubo przesadził.

- Zaraz się pojawi i będzie udawał, że nic się nie stało - powiedział uspokajająco J.D.

- Mam nadzieję.

- Nerwy nic tu nie pomogą - szepnął i delikatnie pocałował ją w czoło, mocno trzymając w uścisku, jakby chciał dodać jej otuchy.

Wszystko to była prawda, Tiffany wiedziała o tym, ale nie mogła pozbyć się

uczucia dręczącej obawy. Przecież ostatnio Stephen przysparzał jej tyle kłopotów... Ta cała sprawa z Isaakiem Wellsem i ta niepotrzebna bójka z Milesem Deanem...

- Wszystko będzie dobrze - upewnił Tiffany J.D., jakby czytając w jej myślach.
- Obyś miał rację.

W pobliskim kościele rozdzwoniły się dzwony. Głęboki, donośny dźwięk odbił się echem od pobliskich wzgórz. Tiffany wyprostowała się i westchnęła.

- Co cię gnębi?
- Słyszałeś?
- Msza wieczorna?
- Nie. - Potarła ramiona dłońmi, jakby nagle ją coś zmroziło. - To dzwony oznajmiające o ślubie mojego ojca.

ROZDZIAŁ 9

Obdzwoniłam całe miasto - powiedziała Tiffany, trzymając w ręku słuchawkę telefonu, wiszącego na ścianie w kuchni. Oparła się o ścianę, bo ledwo trzymała się na nogach. - Ulotnił się jak kamfora.

- Znajdziemy go - pewnym głosem stwierdził J.D. - Poproś panią Ellingsworth, żeby posiedziała przy Christinie. Pojedziemy go szukać.

- Ale gdzie?
- Powinnaś wiedzieć lepiej ode mnie.

Nic mu się nie stało, wszystko dobrze się skończy, znajdzie się. Tiffany powtarzała te słowa w myślach jak mantrę. Drżącymi palcami wykręciła numer Ellie i próbowała się opanować, by rozmawiać z nią spokojnym głosem. Gdy starsza pani odebrała telefon, Tiffany wyjaśniła jej, co się wydarzyło.

- Za minutę u ciebie jestem, kochanie - powiedziała bez wahania Ellie. - Tylko nie wpadaj w panikę, moje dziecko.

Oby to tylko było możliwe. Ostatnie dni obfitowały w przykre niespodzianki i kłopoty.

Ellie pojawiła się natychmiast, tak jak obiecała.

- Wiecie, kochani, jak to z tymi chłopakami jest - oznajmiła na wstępie. - Zapominają o bożym świecie. Mój Charlie, to dopiero był ancymonek! Osiwiałam przez tego dzieciaka, przysięgam. - Ellie paplała niby to beztrosko, aby dodać im otuchy, ale z jej oczu wyzierała obawa.

- Stephen nigdy przedtem tak się nie zachował - powiedziała Tiffany, kiedy już jechali dżipem J.D. wąskimi uliczkami Bittersweet. - Do tej pory jeszcze się nie zdarzyło, żeby zniknął bez wieści.

Zapadł zmrok. Na ulicach zapłonęły pierwsze latarnie.

- Tylko spokojnie. - J.D. poklepał Tiffany po kolanie. - Będziemy sprawdzać po kolei. Podaj mi adresy jego kolegów.

- Dobrze, niech pomyślę. Powiedział, że umówił się z Samem, ale już dzwoniłam do Prescottów do domu i nikt nie odebrał.

- Gdzie oni mieszkają?

- Tuż za miastem, koło wieży wodnej.

J.D. objechał park i wielki supermarket, po czym skręcił na północ. Prescottowie mieszkali w starym domu z drewnianych bali, który od pokoleń był ich rodzinną siedzibą. Gdy dotarli na miejsce, Tiffany wyskoczyła z samochodu i podbiegła do drzwi, nad którymi paliła się lampa. Okna były ciemne. Najpierw mocno zastukała, potem nacisnęła dzwonek, lecz choć słychać było sygnał rozlegający się wewnątrz, nikt nie otwierał.

- Coś mi się tu nie podoba - powiedziała, gdy rozpoznała rower Sama, przypięty do słupa przy ganku, a pod schodami jego deskorolkę. - Gdyby Sam rzeczywiście spotkał się ze Stephenem, wziąłby ze sobą rower albo deskę.

- Tak myślisz?

- Nie muszę myśleć, ja to wiem.

Choć wieczór był ciepły, Tiffany uczuła przebiegający po kręgosłupie zimny dreszcz i potarła nagie ramiona, pokryte gęsią skórą. Gdzie się podziwiał Stephen, myślała gorączkowo. Czy nic mu się nie stało? Czy nie jest ranny? A

może ktoś go porwał? Zauważyła miseczkę dla kota z nietkniętą karmą i dwie zrolowane gazety rzucone na ganek. Znaczyło to, że nikogo nie było w domu od co najmniej paru dni.

- Wydaje mi się, że Prescottowie wyjechali - powiedziała coraz bardziej przestraszona.

- Na to wygląda - przyznał J.D. z kamienną twarzą.

- Stephen mi nakłamał - ze smutkiem stwierdziła Tiffany. Od czasu śmierci Philipa zamknął się w sobie, stał się bardziej czupurny, na każdy temat miał swoje zdanie. Ponadto, od zniknięcia Isaaca Wellsa zaczął, niestety, kłamać. - Pojedźmy teraz do Deanów. Mieszkają w przyczepie kempingowej dwie mile za miastem, przy szosie wylotowej.

J.D. nie tracił czasu. Bez błędzenia, jak po sznurku, trafił do Deanów i wjechał na porośniętą chwastami dróżkę. Dwa samochodowe wraki stały koło ogrodzonego wysoko drucianą siatką warzywnika. Oprócz domu na kółkach była tu jeszcze stodoła i stajnia, zamieszкана przez wychudłą szkapę. Koń stał na małym ogrodzonym podwórku i opędzał się ogonem od much, próbując znaleźć choć źdźbło trawy na jałowym klepisku.

Tiffany wyskoczyła z samochodu, nim J.D. go zatrzymał. Biegiem pokonała wypłowiałe od deszczu i słońca drewniane schodki i dopadła drzwi, przy okazji niemal rozbijając sobie głowę o zawieszoną przy nich dla ozdoby plastikową doniczkę z geranium. Załomotała. Po chwili otworzyła jej Vera Dean, matka Milesa i Laddy'ego. Była to wysoka i chuda kobieta ze śladami dawnej urody. Jej żaloszny obecnie wygląd podkreślała na wpół starta z warg szminka, szopa wysuszonych po trwałej, platynowych krótkich włosów i spalona na ciemno skóra, naciągnięta na kościach policzkowych jak u indiańskiego wodza. Wyglądała na tak samo zmęczoną życiem jak jej nieszczęsna szkapę po całym dniu pracy na roli. Uśmiech, z początku przyjazny, znikł, gdy tylko rozpoznała w gościu Tiffany,

- Cześć, Vera. Przepraszam, że wpadłam tak nagle, ale poszukuję Stephena -

zaczęła Tiffany. - Nie wrócił do domu, więc pomyślałam, że może jest u was.

- Po tamtej bójce z Milesem? - Vera pokręciła głową i sięgnęła po skórzaną papierośnicę do kieszeni wytartych dżinsów. - Żartujesz sobie chyba.

- Jesteś pewna?

- Na sto procent.

Tiffany powątpiewała w prawdomówność Very.

- Czy mogłabym porozmawiać z Milesem? - spytała.

- Milesa nie ma. - Vera wyciągnęła papierosa, po czym od stóp do głów obcięła wzrokiem J.D., który stanął na schodku poniżej Tiffany.

- A nie wiesz, gdzie poszedł? - Tiffany była coraz bardziej zdenerwowana. Obu chłopców nie ma w domu, a to może oznaczać, że Miles ze Stephenem poszli gdzieś razem.

- Miles? - Vera zaśmiała się gardłowo. - A skądże. Ten chłopak jest kropka w kropkę jak jego stary. Nie trafisz za nim. Jak wróci, powiem, że o niego pytałaś.

- Pokręciła w palcach cienkiego papierosa z długim ustnikiem. - Masz jeszcze coś do mnie?

- Nie. Proszę tylko, żeby Miles do mnie zadzwonił, jak tylko się pokaże.

- Nie ma sprawy - powiedziała Vera i nie żegnając się, zatrzasnęła im drzwi przed nosem. Tiffany wróciła do samochodu, przekonana, że jej prośba nie zostanie spełniona.

- Miła osoba - zauważył z przekąsem J.D.

- Nie lubi nas. Ani mnie, ani Stephena.

- A ma konkretne powody?

- Chyba nie. Ona właściwie mało kogo lubi. Jej mąż Ray jest robotnikiem rolnym. Wynajmuje się do pracy w okolicznych gospodarstwach, oczywiście tylko wtedy, kiedy akurat nie siedzi w więzieniu. Zaczął karierę kryminalisty, mając dziewiętnaście lat. Teraz akurat go wypuścili, ale wszyscy wiedzą, że znów trafi za kratki.

- Dość krótko tu mieszkasz, a sporo wiesz o tutejszej społeczności.

- Bittersweet to małe miasto. Wiedzą sąsiedzi, na czym kto siedzi. A jak jeszcze nie wiedzą, to się dowiedzą. Ja sama, czy chcę, czy nie chcę, od rana do wieczora wysłuchuję plotek: w pracy, na kawie u Millie, od moich lokatorów.

Zbliżali się do miasta. Na ciemnym niebie mrugały srebrzyście gwiazdy. Tiffany usilnie zastanawiała się nad tym, gdzie poszedł Stephen. Czy jednak spotkał się z Milesem, a jeśli tak, to czy był bezpieczny? O dobry Boże, pomodliła się w milczeniu, opiekuj się nim, proszę.

- Mam pomysł - przerwał milczenie J.D.

- Co do Stephena?

- Mhm. - Jechali już miejskimi ulicami, ale J.D. nie skręcił w kierunku domu. - Pamiętasz rozmowę przy śniadaniu? Stephen obstawał przy tym, żebyście poszli na ślub i wesele Johna Cawthorne'a. Wręcz na ciebie naciskał.

- Tak tylko gadał - odrzekła Tiffany.

- Czyżby? - spytał J.D., gdy mijali pocztę.

- No wiesz, to taka jego nowa zabawa - zapędzić matkę w kozi tóg.

- Zabawa albo i nie. Moim zdaniem chciał tam iść.

- Ale dlaczego?

- A bo ja wiem? - J.D. wzruszył ramionami. - Z ciekawości. Albo po to, żeby poznać rodzinę swojej matki.

- Nie... To niemożliwe. Stephen nie zrobiłby mi tego. Na pewno nie poszedł ani na ślub, ani na wesele - zauważyła Tiffany, zastanawiając się w duchu, czy syn, z wrodzonej przekory, byłby zdolny do takiego kroku. Czy mógłby posunąć się aż tak daleko?

- Nie bądź taka pewna. Parę dni temu byłaś święcie przekonana, że nic nie wie w sprawie Wellsa. I co się okazało?

- Musiał pójść gdzie indziej - obstawała przy swoim Tiffany. Spojrzała na drogę przez upstrzoną przez rozbite owady szybę. J.D. i tak nie brał pod uwagę jej argumentów, tylko jechał tam, gdzie sobie postanowił. Zbliżali się już do rancza Johna, Cawthorne Acres.

- Nie zamierzasz chyba zawozić mnie na ich wesele, co?
- Przecież zostałam zaproszona.
- No tak, ale...
- Nie ma żadnych „ale”. Rozejrzymy się po prostu za Stephenem.
- Lepiej nie.
- Masz jakiś lepszy pomysł?

Mimo rozpaczliwej gonitwy myśli nic, ale to nic nie przychodziło jej do głowy.

- Zgoda, sprawdzimy, czy go tu nie ma - powiedziała. - Tylko dyskretnie, żeby nie narobić plotek. - Tiffany spojrzała na swoje dżinsy i spraną bluzkę. Z całą pewnością nie był to odpowiedni strój na wesele. Zaproszeni goście na pewno stawili się ubrani elegancko i uroczyście. Jak ona się pokaże? A, zresztą, mam to w nosie, pomyślała. Zaistniały specjalne okoliczności. Najważniejsze to odszukać Stephena.

- Nie przejmuj się. - J.D. skierował samochód na drogę oznakowaną neonową strzałką i zobaczyli już z daleka świecący na czerwono napis: Cawthorne Acres. Czarna wstążka asfaltu wiła się między skąpaną w świetle księżyca, niedawno skoszoną łąką. Po jednej stronie drogi leżało jeszcze kilka wielkich beli siana, czekając na odwiezienie do stodoły. Trwały w półcieniu jak nieruchome abstrakcyjne rzeźby. Po drugiej długonogie żrebaki hasały wokół statecznie kraczących klaczy.

Na końcu drogi rozciągało się wielkie ranczo. Cały teren oświetlono kolorowymi lampionami. Odwagi, jestem tu tylko dla syna, dla niczego i nikogo więcej, pomyślała Tiffany, opanowując odruch ucieczki na widok dziesiątków samochodów parkujących na obszernym podwórzu. Jeszcze więcej aut stało na wyznaczonym do tego celu pobliskim polu, a także wzdłuż drogi.

- No, raz kozie śmierć - zakomenderował. Tiffany zrozumiała, że pora wziąć się w garść. Wyskoczyła z dżipa. Wokół rozchodził się zapach świeżo zżętej trawy i kapryfolium. Z daleka dobiegały tony „Jubileuszowego walca”, melodii

granej przez specjalnie sprowadzony na wesele zespół. Gdy zbliżyli się do domu, poczuli woń cygar i usłyszeli zgiełk głośnych rozmów i śmiechy.

Na drzewach wisiały setki lampek, jakby to był grudzień, a nie początek sierpnia. Licznie zgromadzeni goście przechadzali się, jedli, skupiali się w mniejsze i większe grupki. Obok panów w smokingach i pań w jedwabiach widać było gości weselnych bardziej awangardowe ubranych, przy czym ich stroje reprezentowały najróżniejsze trendy w modzie. Tiffany wypatrywała w tłumie Stephena. Na razie bez skutku. Skręciła na chodnik prowadzący na tyły domu. Koło werandy niemal wpadła na kobietę spiesząco nadchodzącą z przeciwnej strony.

- Ach, więc nareszcie przyszedłeś! - Bliss, ubrana w mieniącą się, obcisłą srebrnobłękitną suknię, uśmiechnęła się szeroko. Jasne włosy miała ułożone w kunsztowny francuski warkocz. Towarzyszył jej wysoki, postawny mężczyzna o piwnych oczach. Zaborczym gestem obejmował ją w tali.

- Poznajcie się. To mój narzeczony. Mason Lafferty. Tiffany Santini, moja przyrodnia siostra.

Tiffany, choć zakłopotana niespodziewanym spotkaniem, zachowała przytomność umysłu i przywitała się, wygłaszając grzecznościową formułkę. W tym momencie nadszedł J.D. Przedstawiła go i wyjaśniła, dlaczego, wbrew poprzednim ustaleniom, pojawili się na weselu, i to w dodatku nieodpowiednio ubrani.

- Bardzo się denerwuję, Stephen nie ma zwyczaju znikać bez wieści, a tymczasem nie stawiał się w domu o oznaczonej porze. Szukamy go wszędzie, jak dotąd bez efektu. Nikt nic nie wie, nikt go nie widział. Rano mówił, że bardzo chciałby wziąć udział w weselu, więc pomyśleliśmy... Właściwie to J.D. wpadł na pomysł, żeby sprawdzić, czy Stephena tu przypadkiem nie ma.

- Bardzo chciałabym wam pomóc, ale zupełnie nie mogę go sobie przypomnieć. Stawiało się tyle osób... - Bliss bezradnie spojrzała na Masona, szukając u niego pomocy.

- Nie pytaj mnie, bo dotąd na oczy chłopaka nie widziałem i nawet nie wiem, jak wygląda. Przybyły całe rodziny, wraz z dziećmi.

- To prawda. - Bliss była wyraźnie zatroskana. - Niestety, łatwo się tu zagubić, teren jest rozległy.

- Nie masz chyba nic przeciwko temu, że się trochę rozejrzemy? - spytała Tiffany, coraz bardziej niespokojna o syna.

- Oczywiście, że nie! Tata będzie uszczęśliwiony, jak cię zobaczy. Bardzo chciał, żebyś była na uroczystości - z entuzjazmem zapewniła Bliss.

- Chyba nie bardzo, jak się dowie, że przyjechałam wyłącznie po to, żeby znaleźć Stephena - stwierdziła nie bez złośliwości Tiffany. Nie potrafiła się powstrzymać.

- Tak czy inaczej, powinnaś z nim porozmawiać - z przekonaniem powiedziała Bliss. - Wiesz, jak mu zależy na tobie i dzieciach. Z pewnością wydaje ci się to podejrzane i wątpisz w jego dobre intencje, zwłaszcza że od lat nie utrzymywał z tobą kontaktu i nie interesował się twoim losem. Jednak bardzo się zmienił. Był bliski śmierci i ujrzał swoje życie w innym świetle. Postanowił naprawić błędy i zadośćuczynić krzywdom. Na pewno pomoże ci w poszukiwaniach. Nigdy by nam nie wybaczył, gdybyśmy przed nim zataili, że Stephen zaginął.

- Każdemu będę wdzięczna za pomoc - odpowiedziała wymijająco Tiffany.

Nie chciała głośno wypowiadać się na temat przemiany, jaka dokonana się w Johnie Cawthornie. Dla niej cała sprawa była zbyt świeża, a pamięć o samotnym dzieciństwie nazbyt żywa. Nie miała zamiaru zasklepić się w swojej niechęci, hodować urazy, ale potrzebowała czasu, aby przebaczyć ojcu. Gdy J.D. zaproponował, by sprawdzić, czy Stephen, który tak bardzo chciał uczestniczyć w uroczystości, sam się nie wybrał do Cawthorne Acres, planowała, że poszukają go, nie czyniąc zamieszania. Okazało się, że to nie takie proste.

- Pozwól, że jeszcze się rozejrzemy - zwróciła się do przyrodniej siostry.

- Naturalnie, rób, co uważasz za konieczne - odparła Bliss i wraz z narzeczonym ruszyła w stronę sporej grupy gości weselnych.

- Chyba Stephena tu ma - stwierdziła coraz bardziej zdenerwowana Tiffany.
- Jeszcze nic nie wiadomo - pocieszył ją J.D. - Nie możemy tak łatwo rezygnować.

Znowu wtopili się w tłum. Tiffany bacznie przyglądała się twarzom gości, rozmawiających w małych grupkach. Rozpoznała parę osób znanych jej z miasta, w tym kilku chłopców, ale Stephena wśród nich nie było. Na parkiecie królowała Brynnie w kremowej, mocno wydekoltowanej jedwabnej sukni, śmiało odsłaniającej bujny biust. Uśmiechała się radośnie do swego nowo poślubionego męża. Rude włosy miała upięte na czubku głowy, policzki jej płonęły, a oczy błyszczały.

Na moment Tiffany zapomniała o swoich troskach i, zafascynowana, obserwowała, jak John Cawthorne okręca swą lubą na deskach parkietu, płasząc i skacząc, jakby był dwadzieścia lat młodszy, nie przeżył poważnego zawału i nie był bliski śmierci. Wystrojony w smoking, prezentował się bardzo nobliwie. Świeżo poślubieni małżonkowie wpatrywali się w siebie zakochanymi oczami, jakby mieli po szesnaście lat i przeżywali pierwszą miłość. Tymczasem romansowali ze sobą od lat, a owocem tego związku była Katie. Co prawda, do niedawna jeszcze żyła w przekonaniu, że jej ojcem jest Hal Kinkaid. Ani matka, ani biologiczny ojciec nie uznali za stosowne wyprowadzać jej z błędu. Prawdy dowiedziała się zaledwie parę miesięcy temu.

John przez całe dotychczasowe życie postępował egoistycznie, spełniał własne zachcianki, oszukiwał bliskich, nie dbał o swoje dzieci. Brynnie miała za sobą bujną przeszłość, czterech mężów, z którymi nie zawsze postępowała uczciwie. Osiągnęli szczęście kosztem innych, kłamali, zdradzali, narażali innych na cierpienie. Jednak pozostali wierni sobie i swojej miłości, która wreszcie, po tylu latach została usankcjonowana. Wyglądali na szczęśliwych, jakby stworzonych dla siebie. Tiffany, patrząc na nich, uznała, że widać byli sobie przeznaczeni.

- Wciąż nie widzę Stephena - powiedziała do J.D.

- Ja też nie. Myślę, że najwyższy czas popytać ludzi.

- Dobrze. - Tiffany weszła w tłum. Uśmiechała się do osób, które знаła z widzenia, wymieniała uprzejmości z tymi, których znała osobiście, pytała, czy nie widzieli na weselu Stephena, a przy tym na moment nie przestawała rozglądać się za znajomą sylwetką.

- Panna młoda życzy sobie taniec z dobieraniem - zapowiedział szef zespołu muzycznego i niebawem powietrze wypełniła sentymentalna melodia walca „Nad pięknym modrym Dunajem”.

Tiffany dotarła właśnie w pobliże podium, spełniającego rolę parkietu. Spostrzegła kilku znanych z widzenia chłopców, którzy obserwowali taneczne poczynania młodej pary. Nie znała ich, a mimo to zdecydowała się zagadnąć chudego wyrostka. Na pytanie, czy widział Stephena, odparł, że nie spotkał go od końca roku szkolnego. Tiffany ogarnęło zniechęcenie. Co robić?

- Dobierany! - zarządził lider orkiestry.

Brynnie i John wciągnęli na parkiet dwójkę nie spodziewających się tego nowych partnerów. Brynnie wybrała swego najstarszego syna Jarroda, który prowadził matkę po parkiecie tak lekko i łatwo, jakby przetańczyli razem całe życie. John złapał za rękę Bliss i pociągnął ją na sam środek podium. Tiffany stanęła jak wryta, patrząc, jak ojciec i przyrodnia siostra, roześmiani, swobodni, popisują się przed tłumem tańcem z figurami. Ogarnęła ją najzwyczajsza w świecie zazdrość. Nigdy by nie przypuszczała, że będzie zazdrosna o ojca.

Bliss poruszała się jak urodzona tancerka. Miała idealne wyczucie rytmu, znała kroki, więc tańczyła lekko, jakby płynęła - uśmiechnięta i zarumieniona. Widać było, że są zgraną parą. Musieli wiele razy ze sobą tańczyć, uznała Tiffany. No cóż, nie wszystkie swoje dzieci John Cawthorne potraktował tak jak ją, zapominając o jej istnieniu, pomyślała z goryczą Tiffany. Czy jednak warto teraz zaprzętać sobie tym głowę? Dopuszczać do siebie złe emocje? Przeszłość się dokonała i nic jej nie zmieni. Liczy się teraźniejszość - dzieci, którym musi zapewnić bezpieczeństwo i byt. Właśnie, gdzie podziewa się Stephen? Po niego

tu przyszła. Odwróciła nerwowo głowę, znów z napięciem lustrując tłum.

- Dobierany! - rozległo się ponownie.

Ponieważ poszukiwania na dworze nie przyniosły rezultatów, Tiffany postanowiła sprawdzić, czy przypadkiem Stephen nie ukrył się w domu. Właśnie odwróciła się, by ruszyć w stronę obszernej siedziby Johna, gdy czyjaś dłoń chwyciła ją za ramię.

- Zatańcz ze mną.

To głos ojca. Och, tylko nie to. Serce podeszło Tiffany do gardła, kiedy znalazła się twarzą w twarz ze swym tancerzem. Zamierzała bez ogródek powiedzieć Johnowi Cawthorne'owi, żeby się od niej odczepił, żeby sobie poszedł w siną dal, jak ponad trzydzieści lat temu, ale powstrzymała ją świadomość, że nie są sami. Momentalnie znaleźli się w centrum zainteresowania. Czują na sobie liczne, ciekawskie spojrzenia. Czy w takiej sytuacji i przy takiej okazji powinna urządzać scenę? Chyba jednak nie, ponieważ sobie nie wystawiłaby najlepszego świadectwa, a szanownego tatusia, świętującego ślub z długoletnią kochanką prawdopodobnie niewiele by to obeszło. Poszedłby tańczyć z kimś innym...

- Ja...Ja...

- Chodź, cieszę się, że jesteś. Zacznijmy się poznawać - powiedział z nieśmiałym uśmiechem, jakby obawiał się, że Tiffany odmówi.

- Ale... - Tiffany zaczerwieniła się z emocji i przygryzła wargi, by nie wypowiedzieć żadnego z gorzkich słów, jakie miała na końcu języka. Czy naprawdę przyniosłoby jej satysfakcję wywołanie skandalu na weselu? - No dobrze - zgodziła się. - Czemu nie?

Brynnie tańczyła właśnie z jednym ze swych synów bliźniaków, Nathanem albo Trevorem - nikt nie potrafił ich odróżnić. Jarrod poprosił Patty Lafferty, siostrę Masona, a Bliss płynęła po parkiecie w ramionach narzeczonego. Tiffany sztywno weszła na podium, czując się całkowicie nie na miejscu. Nie uczęszczała na kursy tańca, ale za to wyrosła wśród muzyki, słuchając jej co

dzień przez wszystkie te lata, kiedy matka zarabiała na życie lekcjami gry na pianinie.

- Tak się cieszę, że przyszedłeś - powiedział John, gdy okręcili się w tańcu obok Bliss i Masona. - Naprawdę, zrobiłaś mi wielką niespodziankę.

- Ja... To nie była zaplanowana wizyta.

- Wszystko jedno, ważne, że jesteś - zapewnił John. Tiffany wyczuła, że mówi szczerze, że nie jest to grzecznościowa formułka.

- Szukam Stephena.

- Nie przyjechaliście razem?

- Nie, Stephen nie przyszedł do domu o umówionej porze. Szukam go już od paru godzin. J.D. podsunął mi, że może być tutaj.

- Miał rację, widziałem chłopca - powiedział John.

- Tu?

- Tak - odparł John. - Zauważyłem go i podszedłem do niego. Rozmawialiśmy przez chwilę. Pytałem o ciebie, ale odpowiedział wymijająco.

- On, hm... On działał bez mojej wiedzy i zgody. Krótko mówiąc, oszukał mnie. Powiedział, że idzie z kolegą nad rzekę.

- Rozumiem. Cóż, domyślam się, jak się czujesz, i wiesz, że bardzo mi przykro. Mam również świadomość, że same deklaracje nie wystarczą, nie wymażą moich dawnych win - westchnął ciężko. - Jak powiadają, czas leczy rany, a ja będę się starał wynagrodzić ci doznane krzywdy.

- Mówi się też, że co się stało, to się nie odstanie - powiedziała Tiffany i zaraz pożałowała swych słów, gdy zobaczyła, jak Johnowi wydłużyła się mina.

- Jeszcze raz powtarzam ci, Tiffany, że bardzo się cieszę, że przyjechałaś. Nieważne, z jakiego powodu. Nie martw się o Stephena, na pewno się znajdzie.

- Dobierany! - wykrzyknął wodzirej i natychmiast zmieniła się melodia. John skłonił się, dziękując tym samym za taniec, a Tiffany odwróciła się i zeskoczyła z podium niemal prosto w ramiona J.D.

- Znalazłem go - powiedział, wskazując głową na stajnie.

Kilku chłopców siedziało rzędkiem na drewnianym ogrodzeniu, niczym jaskółki na drucie telefonicznym.

- Stephen jest tam z nimi - dodał J.D. Tiffany wyrwała się, by biec do syna, ale J.D. ją powstrzymał, mówiąc: - Daj spokój, rozmawiałem z nim i porządnie natarłem mu uszu. Powiedziałem mu, że szukamy go od paru godzin, że ty odchodzisz od zmysłów. Spodziewa się, że zrobisz awanturę, więc się wstrzymaj. Daj mu trochę czasu, niech przemyśli sprawę. Tak będzie lepiej dla wszystkich zainteresowanych.

Tiffany nie protestowała. Z taką ulgą powitała wiadomość o odnalezieniu syna, że całkiem opadła z sił.

- Tak się cieszę, że nic złego mu się nie stało - powiedziała.

- Ja też - rzekł J.D. - ale nie zmienia to faktu, że nas okłamał i niepotrzebnie naraził na zdenerwowanie.

- Wiem. Porozmawiam z nim. To się nie może powtórzyć.

- Za chwilę, teraz porywam cię do tańca. Musimy jakoś uczcić szczęśliwe zakończenie tej historii.

J.D. pociągnął Tiffany w stronę parkietu.

- O, nie, dziękuję - potrząsnęła uparcie głową. - Myślę, że się wystarczająco skompromitowałam, jak na jeden wieczór.

- Dla mnie nie dość - powiedział, prowadząc Tiffany na podium dla tańczących. - Jeszcze trochę wody w rzece upłynie, zanim się ostatecznie pogrążysz.

- Zaraz, nie tak szybko. Przecież to dobierany i to ja mam prawo wybrać sobie partnera.

- Już wybrałaś! - odpowiedział zdecydowanie, biorąc ją w ramiona.

Bliskość J.D. jak zwykle oszałamiała. Tiffany zachwiała się lekko, czując, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Wsparła się o J.D., a on mocniej ją objął.

- I co, lepiej? - szepnął czułe.

- O wiele lepiej - odpowiedziała i poddała się czarowi chwili, nie chcąc na

razie zastanawiać się nad konsekwencjami tego przytulania i kołysania razem w rytm muzyki. Obok krążyły inne pary. John tańczył teraz z najmłodszą córką, Katie, która w swej brzoskwiniowej jedwabnej sukni wyglądała kusząco. Brynnie prawdopodobnie tańczyła z drugim ze swych synów bliźniaków, choć doprawdy trudno było to orzec. Choć Mason i Bliss wybrali sobie nowych partnerów, starali się nie spuszczać siebie z oka.

Tiffany, wreszcie spokojna o syna, pozwoliła sobie zapomnieć o otaczającej rzeczywistości. Zatraciła się w tańcu. Oparła głowę na piersi J.D. i ufnie się do niego przytuliła. Zapach jego wody po goleniu budził rozkoszne skojarzenia, a regularny rytm serca uspokajał skołatane nerwy.

Czemu w jego ramionach czuła się tak dobrze i bezpiecznie, jakby tu właśnie było jej miejsce? Dlaczego przelotny dotyk wprawiał całe jej ciało w drżenie? Dlaczego drobna pieśczoła czy jeden pocałunek potrafiły wzbudzić namiętność, jakiej Tiffany przedtem nie doznawała?

Od czasu gdy sprowadziła się do Bittersweet, paru panów proponowało jej randki. Kilka razy dzwonił owdowiały ranczer ze stumilowego gospodarstwa przy Cougar Creek, ojciec trzech dorastających córek, a także rozwiedziony agent ubezpieczeniowy z Medford. Nie chciała się umówić z żadnym z nich. Wciąż była w żałobie, próbując dojść do ładu z własnym poczuciem winy po śmierci Philipa. Nie miała ochoty ani czasu na życie towarzyskie. Praca, dom, dzieci - oto, co wypełniało jej życie. Nie było w nim miejsca na osobiste przyjemności, wyjąwszy satysfakcję z wypełnienia licznych obowiązków i powinności.

J.D. to osobny rozdział. Działał na nią tak silnie, że zupełnie traciła panowanie nad sobą, puszczały hamulce. Tak było w przeszłości, tak jest i obecnie. Mieli za sobą jedną, grzeszną noc, którą zakazała sobie wspominać. Nie widzieli się od tamtej pory, a mimo to wystarczyło, że ją raz pocałował, by straciła głowę.

- Panie, panowie, dobierany! - zapowiedział wodzirej. J.D, niechętnie wypuścił z objęć Tiffany.

- Możesz sobie jeszcze potańczyć - powiedziała, wyzwalając się z magii bliskości J.D. - Ja idę po Stephena.

Tiffany nie chciała ulec ani urokowi nocy, ani niebezpiecznemu męskiemu wdziękowi J.D., który powinien pozostać jej szwagrem i tylko szwagrem. Ale nie było to takie proste, bo on miał inne plany. Zamiast zostać na parkiecie, dogonił ją po paru krokach i poprowadził między stłoczonymi samochodami w stronę stajni. Na płocie siedziało czterech chłopców. Wśród nich był Stephen. Wpatrywał się w nadchodzącą Tiffany.

- Jedziemy do domu - powiedziała zdecydowanie - musimy poważnie porozmawiać.

- Dlaczego?

- Chcesz, żebym zaczynała tutaj? Przy nich? - Wskazała pozostałych chłopców.

Gdzieś z bliska dobiegło głośnie rzenie konia. Chłopak, który siedział najbliżej Stephena, odsunął się od niego, jakby obawiał się, że i jemu przypadkiem się dostanie. Stephen z pewnością nie zamierzał kompromitować się przed kolegami. Ściągnął brwi w grubą kreskę, patrząc na matkę z pretensją.

- Przyszedłem tu, bo tak mi się podobało - powiedział beczelnie. - Z tobą bym przecież nie przyjechał.

- Okłamałeś mnie.

- To ty zawsze powtarzałaś, że rodzina to najważniejsza rzecz na świecie. - Stephen nie stracił pewności siebie; przez sekundę Tiffany zobaczyła w chłopcu mężczyznę, jakim stanie się za kilka lat.

- Nie zmieniaj tematu.

- John Cawthorne to mój rodzony dziadek.

- Jest dla ciebie obcym człowiekiem.

- I takim zostanie, jeśli go lepiej nie poznam.

Tiffany nie mogła się nadziwić, skąd u syna, akurat w tej sprawie, tyle determinacji. Chłopiec, który aż do ubiegłego roku był idealnym dzieckiem i

dostarczał jej samych radości, sprawiał coraz więcej kłopotów. Nie mogła się z nim porozumieć, a o stosowaniu siły nie było mowy.

- Czas do domu, Stephen. Nie wiem, co chciałeś osiągnąć, łamiąc naszą umowę, ale teraz to już naprawdę koniec zabawy. Idziemy.

Chłopiec zawahał się i Tiffany, zirytowana i zniecierpliwiona, o mały włos postąpiłaby krok naprzód, złapała niesfornego nastolatka za rękę i jak dzieciaka ściągnęła z płotu. Udało jej się jednak nie zrobić tego - być może fatalnego - kroku. A to dzięki J.D., który trzymał jej ramię w żelaznym uścisku.

W końcu Stephen z ociąganiem zeskoczył z płotu i powłókł się w stronę pastwiska, na którym stał dżip stryja.

- Tiffany! - To była Katie. Wołała do nich z daleka, podciągając jedną ręką długą suknię, a drugą wymachując gwałtownie. - Nie odjeżdżacie jeszcze, prawda?

- Myślę, że już najwyższy czas.

- Ale przecież nawet nie zdążyliśmy porozmawiać! O! Cześć! - Katie podbiegła do nich i zwróciła się do Stephena. - Jestem mamą Josha. Co ja mówię, przecież mnie znasz! - uśmiechnęła się i obrzuciła wzrokiem J.D. - Nawet nie musisz mnie przedstawiać, od razu zgadłam, że to brat Philipa.

- J.D. Santini. - J.D. wyciągnął rękę, którą Katie uścisnęła spontanicznie obydwoma dłońmi.

- Tak się cieszę, że się poznaliśmy! Nie odjeżdżajcie, błagam. Zabawa dopiero się rozkręca. Jestem taka podniecona... to fantastycznie, że przyjechaliście. Wiem, ile to znaczy dla Johna i mamy. Uparli się, że ściągną całą rodzinę, aby wreszcie wszyscy się poznali.

Tiffany rzuciła okiem na syna. Czy tego właśnie pragnął? Wielkiej rodziny, z mnóstwem cioć, wujków, ciotecznych braci, kuzynów i dziadków? A jeśli tak, to czy mogła mieć mu to za złe? Czy sama nie marzyła dokładnie o tym samym, kiedy miała trzynaście lat?

- Może z czasem im się to uda - przyznała ostrożnie, nie dodając, że ona ze

swej strony nikomu tego nie ułatwi.

- Na pewno! - Katie energicznie kiwnęła głową. - To nie będzie łatwe, ale... Jakie tam „ale”! Przecież wszyscy jesteśmy dorosłymi ludźmi, no, prawie wszyscy, więc możemy się dogadać. - Mrugnęła do Stephena. - Szukam Josha. Pewnie go nie widziałeś?

- Widziałem. On... - Stephen zawahał się, jakby zdradzał wielką tajemnicę. - Był na strychu z sianem, razem z młodszymi dzieciakami.

- No, to już po odświętnych spodniach i marynarce! Kupiłam nowe ubranie specjalnie na ślub dziadków i miałam nadzieję, że posłuży mu jeszcze na ślubie Bliss, ale to prawdopodobnie marzenie ściętej głowy. Uff, ciężkie jest życie samotnej matki.

Tiffany polubiła swą przyrodnią siostrę za jej bezpośredniość i dobre serce. Czula, że łączy je więź, i to wcale nie dlatego, że są nieślubnymi córkami Johna, ale że same wychowują dzieci i zarabiają na chleb.

- Żałuję, ale naprawdę musimy iść - powiedziała. Pani Ellingsworth już bardzo długo opiekowała się Christiną, a poza tym Tiffany czekała rozmowa ze Stephenem, porządkująca zasady domowego współżycia.

- Wobec tego obiecaj, że zadzwonisz. Umówimy się na lunch - zaproponowała Katie.

- Jasne. - Tiffany wciąż nie była pewna, czy chce się włączyć do tej rodziny, ale przecież jeden wspólny obiad nie był jeszcze żadnym poważnym zobowiązaniem. Gdy Katie odeszła, by poszukać Josha, spytała Stephena:

- Masz tu gdzieś swoją deskę?

- Mam. Zaraz przyniosę. - Podbiegł do lśniącego dodge'a i wyciągnął z tylnego siedzenia deskorolkę. - Podwieźli mnie na wesele - wyjaśnił.

- A więc byłeś i na ślubie?

- Uhm.

- Kto cię podwiózł? - Tiffany nie potrafiła odgadnąć, czyj to samochód. Miała nadzieję, że Stephen nie był na tyle głupi, żeby zadawać się z obcymi.

- Trevor McBaine.

Trevor był jednym z bliźniaczych braci Katie. Należał do rodziny. Coraz lepiej, pomyślała z sarkazmem, sytuacja się rozwija.

- Ma superbrykę.

- Widzę - odparła z przekąsem.

Poszli na parking i wsiedli do samochodu. J.D. z wprawy wycofał auto i wyjechał na drogę. Tiffany usiłowała złapać stację radiową. Nie odzywała się. Zastanawiała się, jak powinna rozmawiać z synem, aby wziął pod rozwagę jej przestrogi i pouczenia. Gdy J.D. zahamował na podjeździe, Stephen odpiął pasy, wyskoczył z auta i pobiegł do kuchennego wejścia. Tiffany odpięła pasy i sięgnęła do klamki, ale powstrzymała ją dłoń, którą położył jej na ramieniu J.D.

- Daj mu szansę, zanim pokroisz dzieciaka tępym nożem na kawałki.

- Uważam, że najwyższa pora jasno postawić sprawę. Nie może mnie oszukiwać i narażać na takie zmartwienia - odparła Tiffany, nie kryjąc irytacji.

- Oczywiście - powiedział ze spokojem J.D., czym jeszcze bardziej zirytował Tiffany. - Nie wątpię, że wszystko mu wygarniesz. Proszę cię tylko, żebyś pozwoliła opaść emocjom.

- Czyżby przemawiało przez ciebie osobiste doświadczenie? - spytała z ironią.

- Żebyś wiedziała.

- Serio? A od kiedy to znasz się na wychowywaniu dzieci?

- Nie mówię z pozycji rodzica, tylko dziecka. I to dziecka, które po uszy tkwi w kłopotach. Sam taki byłem.

- A czy możesz mi wybaczyć, że przemawiam z pozycji matki? Trudniej być rodzicem niż przyjacielem. - Gwałtownym ruchem strąciła jego dłoń z ramienia.

- O ile dobrze pamiętam, to ty mnie oskarżałaś, że nie umiem sobie poradzić z synem.

- Owszem, masz problemy - zgodził się.

- Skoro to mój problem, to pozwól, że sama go rozwiążę. Po swojemu - dorzuciła z naciskiem. - Nie masz obowiązku zastępowania Philipa i nikt cię o

to nie prosi. To nie twoja wina, że zginął - dodała.

J.D. popatrzył jej w oczy w milczeniu, po czym powiedział:

- To zabawne. Dokładnie to samo chciałem tobie powiedzieć.

Tiffany umknęła spojrzeniem w bok.

- Twoi rodzice właśnie mnie oskarżają.

J.D. nie zamierzał się z nią spierać.

- Wybacz im, nie potrafią się pogodzić z przedwczesną śmiercią syna.

Powinien ich przeżyć.

- Czy ojciec przysłał cię tu na przespiegi? - spytała. To podejrzenie dręczyło ją od samego początku, od momentu gdy stanął w progu.

- Martwił się o dzieci.

- A więc intuicja mnie nie zawiodła. - Tiffany ogarnęła falą gniewu. - Wiesz, Jay, wprost nie mogę uwierzyć, że, kto jak kto, ale właśnie ty stałeś się szpiegiem Santinich.

- Nie jestem szpiegiem.

- To po co się tu zjawiłeś? Dlaczego wynająłeś pokój w moim domu? Dlaczego twój kochany tatuś nie przysłał kogoś innego, z większym doświadczeniem, do oceny terenów pod winnicę?

- A nie przyszło ci do głowy, że jestem tutaj, bo chcę być blisko ciebie?

- Mówisz, że o mnie ci chodzi?! Nie do wiary! - Potrząsnęła głową i sięgnęła do klamki. - Nie rób ze mnie idiotki, Jay. Od śmierci Philipa minęło grubo ponad pół roku. Długie miesiące! Gdyby ci naprawdę zależało... Ach!

J.D. przyciągnął Tiffany gwałtownie i pocałował tak mocno, że nie mogła złapać tchu. Przez chwilę próbowała wyrwać się z uścisku, ale J.D. jej na to nie pozwolił. Całował ją czule i zarazem namiętnie i wkrótce Tiffany osłabła z pożądania. Dlaczego za każdym razem działa się to samo? Dlaczego w ramionach J.D. zapomniała wszystkim? Dlaczego tak bardzo go pragnęła?

- Tiffany - powiedział J.D. łamiącym się głosem, odrywając usta od jej warg. Uniósł głowę i wówczas zobaczyła w jego oczach wyraz smutku. To ją

zaskoczyło. - Tiffany, tak bardzo mi na tobie zależy - szepnął ledwie słyszalnie, jakby wypowiadał te słowa wbrew sobie. - Zawsze mi zależało. Za bardzo - dodał.

Przez moment jej serce zabiło z nadzieją. Och, jakże chciałaby móc mu uwierzyć, rozkoszować się jego wyznaniem, snuć wspólne plany na przyszłość... Nie wolno jej tego uczynić, pójść za głosem serca. To brat jej nieżyjącego męża.

- Niepotrzebnie, Jay - powiedziała. - Mnie na tobie nie zależy. Ja...my...to znaczy ja i dzieci radzimy sobie wystarczająco dobrze i wcale cię nie potrzebujemy - dodała drewnianym, wypranym z emocji głosem.

J.D. popatrzył jej głęboko w oczy, jakby chciał zajrzeć przez nie aż do dna duszy. Boże, jak bardzo pragnęła go teraz pocałować, utulić, powiedzieć, że za nim szaleje, że go kocha... Czyżby to była prawda? Uzmysłowiła to sobie w nagłym przebłysku świadomości. Ta myśl ją zmroziła. Dlaczego, spośród wszystkich mężczyzn na świecie, musiała się zakochać akurat w nim? W swoim szwagrze?!

Nigdy się o tym nie dowie, pomyślała, i zanim zdołał odgadnąć, co się z nią dzieje, wyskoczyła z samochodu. Uciekała do domu, jakby ją ktoś gonił. Gdyby tylko tak samo szybko i skutecznie potrafiła uciec od prawdy, która się jej objawiała. Nie, za nic nie będzie kochać J.D. Santiniego. Nie, i już!

Usłyszała za plecami warkot zapalanego silnika. Z piskiem opon J.D. wycofał dżipa z podjazdu. Tiffany nawet nie odwróciła głowy, tylko przeskakując po dwa stopnie naraz, dopadła frontowych drzwi i wbiegła do środka. Jak dobrze, że odjechał. Ale wróci, niestety. Podpisał umowę najmu na pół roku z góry.

Pół roku!

Tiffany zatrzasnęła drzwi i ciężko oparła się o ścianę. Miała w głowie gonitwę myśli. Jedno wiedziała na pewno - że sześciu miesięcy takiego życia nie wytrzyma. Ze zgrozą myślała o następnych dniach, nie mówiąc o tygodniach i miesiącach. Nie chciała go widzieć. Na pewno nie teraz, a właściwie to nigdy.

Problem w tym, że nie miała wyboru.

ROZDZIAŁ 10

Proszę sporządzić w moim imieniu ofertę. Damy pięć procent mniej, niż chcą właściciele. Ostateczna decyzja po analizie składu gleby i wody.

J.D. ogarnął wzrokiem rozległe pola farmy należącej do rodziny Zalinskiich. Uznał, że dobrze wypełnił powierzone mu przez ojca zadanie. Nie działał pochopnie i zdecydował się na zakup ziemi po rozważnej, chłodnej kalkulacji. Posesja warta była swojej ceny, spełniała oczekiwania ojca, który zamierzał założyć na niej winnicę.

J.D. już dawno doszedł do wniosku, że nie należy mieszać interesów z życiem osobistym i w tej sytuacji, choć nie było to łatwe, postąpił zgodnie z tą zasadą. Nie poddał się nastrojom, nie kierował własnymi chęciami; wziął pod uwagę dobro sprawy. Od czasu wesela Johna Cawthorne'a Tiffany wyraźnie go unikała, przy czym nie chodziło tu tylko o to, że nie chciała zostać z nim sam na sam. Nawet w obecności osób trzecich odpowiadała półsłówkami, odwracała wzrok, z czego J.D. wyciągnął tylko jeden wniosek - najwyższy czas się wynosić.

Maks Crenshaw poprawił krawat i uśmiechnął się szeroko. Na jego łysinie lśniły w słońcu kropelki potu, które spływały strumyczkami po tłustych policzkach i szyi, niknąc pod kołnierzykiem koszuli.

- Dobry wybór - pochwalił swego klienta, mrugając porozumiewawczo. - Nie będą się targować, bo zależy im na czasie. Nie przewiduję najmniejszego problemu z ofertą.

- Świetnie. - J.D., mając przed sobą widok farmy, upewnił się w swym wyborze.

Dom mieszkalny był murowany, do wzniesienia stodoł i zabudowań gospodarczych musiano użyć dobrze zakonserwowanego drewna, ponieważ były w dobrym stanie. W oddali rysowały się łagodne wzgórza, pomiędzy którymi wił się czysty strumień. Wokół budynków rosły sosny i dęby, ocieniając

dachy i trawnik. Parę sztuk bydła skubało resztki suchego zboża na rżysku, kozy i owce pasły się w zagrodach koło stodoły, a obok stał traktor z przyczepą. Ziemia była dobrze nawodniona i nadawała się do uprawy białego bordeaux. Co do czerwonego wina, należało spróbować uprawiać cabernet sauvignon i merlot. Takie były zresztą intencje starego Santiniego, który chciał stworzyć nowy gatunek. Zdaniem J.D. wybrane miejsce idealnie się do tego nadawało.

- Przyjadę po południu do pańskiego biura i podpiszę ofertę. Kopię prześlemy faksem mojemu ojcu do Portland - powiedział J.D. do pośrednika. - Z pewnością będzie chciał jak najwięcej dodatkowych informacji o tym miejscu. Jeśli są jakiegokolwiek problemy, na przykład z prawem dostępu do wody, też musi zostać o tym powiadomiony.

- Nie powinno być problemów. Zalinscy już się stąd wynieśli i teraz grunt użytkuje ich krewny z Ashland. Wie, że ziemia ma być sprzedana. Na pierwszy sygnał zabierze stąd swoje zwierzęta i maszyny - zapewnił Maks. - Już pozbierałem informacje o ewentualnym zadłużeniu. Poza niewielkim zastawem hipotecznym w miejscowym banku, farma jest czysta. Ale oczywiście sprawdzę wszystko jeszcze raz i umieszczę w raporcie dla pana ojca.

- Znakomicie.

J.D. ulokował się na siedzeniu samochodu Maksa. Ruszyli w kierunku głównej drogi. Pośrednikowi usta się nie zamykały, raz jeszcze podkreślił trafność wyboru, jakiego dokonał J.D., i wychwalał farmę, ale J.D. go nie słuchał. Myślał o tym, że już niedługo znajdzie się na powrót w Portland i, wraz z ojcem, zajmie się innymi sprawami związanymi z funkcjonowaniem rodzinnej firmy. Ta perspektywa zresztą bynajmniej nie budziła jego entuzjazmu. Nigdy nie zależało mu na wygodnej, ciepłej posiadce. Przeciwnie, traktował życie jak wyzwanie, licząc się z nieuniknionymi porażkami. Miał za to poczucie, że jest wolny i niezależny. W przeciwieństwie do Philipa, nigdy nie chodził na pasku ojca. Określone okoliczności wpłynęły na zmianę jego postawy. Philip zmarł w wyniku kraksy samochodowej, a on sam uległ wypadkowi na motorze.

Machinalnie rozmasował zranioną wówczas nogę.

Pograżony w niewesołych rozmyślaniach, J.D. patrzył nie widzącym spojrzeniem na umykający krajobraz. W pewnym momencie ocknął się i spostrzegł, że mijają farmę Wellsa.

- Zatrzymajmy się - powiedział.

Maks rzucił mu pytające spojrzenie.

- Przecież zdecydował się pan już na ziemię Zalinskiich, prawda?

- Owszem, ale chciałbym coś sprawdzić.

Pośrednik, jak zawsze gotów do usług, skrzył na podjazd i zgasił silnik.

- Zaraz wracam.

J.D. wysiadł z samochodu i, ignorując tablicę z napisem „Teren prywatny. Wstęp wzbroniony”, przeskoczył płot przy bramie. Noga dała o sobie znać, ale nie bacząc na to, truchtem okrążył dom straszący brudnymi szybami. Wokół niego rozciągał się zapuszczony ogród. Za domem stała drewnutnia, a dalej długa, obszerna stodoła. Odrzwia były zaryglowane, ale okno pozostało uchylone i J.D. mógł zajrzeć do środka. Betonowa podłoga była wymieciona, a wewnątrz pachniało smarem. W mroku J.D. rozpoznał cztery samochody. Każde auto przykrywał pokrowiec a, sądząc po warstwie zalegającego go kurzu, nikt nimi nie jeździł od miesięcy. Jedną ze ścian zajmował drewniany panel na narzędzia. Do drugiej były przymocowane półki, na których leżały czasopisma motoryzacyjne, szczotki i drobne części zamienne. Nad półkami, aż do samego sufitu, wisały felgi, kołpaki i stare tablice rejestracyjne. Najwyraźniej właściciel farmy należał do miłośników starych samochodów, którym musiał poświęcać znacznie więcej czasu niż gospodarstwu, sadząc z tego, jak się prezentowało.

Skoro ten stary człowiek był tak przywiązany do swych samochodów, czemu miałby ni z tego, ni z owego je zostawiać? Czy opuścił swoją farmę dobrowolnie? A może ktoś go do tego zmusił? A może, nie daj Boże, odszedł na zawsze? J.D. gotów był się założyć, że Stephen nadal wie więcej, niż powiedział, i że wciąż coś przed nimi ukrywa. A jeśli chłopiec znajdzie się w

niebezpieczeństwie? A może ktoś go szantażuje? J.D. doszedł do wniosku, że nie może tej sprawy tak zostawić. Jest to winny nieżyjącemu bratu, a także Tiffany. Wrócił do samochodu Maksa z mocnym postanowieniem odkrycia tajemnicy Stephena i ostatecznego wyjaśnienia jego związku ze zniknięciem Isaaca Wellsa, miłośnika starych samochodów.

- Był tu dziś ten chłopak od Deanów - powiedziała pani Ellingsworth, gdy Tiffany wróciła z pracy. Siedziały w kuchni, wypełnionej zapachami cynamonu, wanilii i orzechów.

- Mamuuniu!

Christina wspięła się na krzesło koło zlewu i podniosła do góry umięzione rączki.

- Już, już, kochanie. - Tiffany pocałowała córeczkę w czoło i dotknęła palcem jej małego noska. - Dlaczego się tak ubrudziłaś?

- Zrobiłyśmy ciastka.

- Ho, ho. A jakie, jeśli można wiedzieć?

- Z masłem orzechowym i galaretką.

- Tylko z masłem orzechowym - sprostowała Ellie. - Właśnie są w piecu. Planowałyśmy iść na hamburgery, potem do biblioteki po książeczki na dobranoc, i jeszcze na chwilę do parku. Aha, gdy będziemy wracały do domu, zatrzymamy się przy fontannie.

- I będziemy karmić kaczki! - dokończyła Christina.

- I nakarmimy kaczki - zaśmiała się Ellie i czule pogłaskała dziewczynkę po głowie. Pokochała Christinę jak rodzoną wnuczkę, której zresztą nie miała.

- Pójdiesz z nami? - spytała matkę Christina.

- Spotkamy się przy fontannie - obiecała Tiffany, poklepując córeczkę po pulchnej rączce.

- Weź ze sobą stryjka Jaya.

- On też ma przyjść?

- Tak - kategorycznie odparła Christina, podkreślając swe zdanie energicznym kiwnięciem czarnej główki. - Lubię go!

- Ja też go lubię - powiedziała Ellie.

Ja też, dodała Tiffany w myślach. Nie miała zamiaru głośno przyznać się do tego, że J.D. Santini skradł jej nie tylko pocałunki, ale i serce. Nie wiedziała, jak i kiedy to się stało, ale zakochała się w J.D., i już nic nie mogła na to poradzić.

- Wspomniałaś, Ellie, o jednym z braci Deanów. Przypuszczam, że to był Miles.

- Nie wiem, jak ma na imię, ale to ten starszy. - Ellie wytarła ręce w zbyt obszerny fartuch. - Jakoś nie mogę ich dobrze zapamiętać.

- Miles jest starszy od Laddy'ego.

- To na pewno ten. Przyszedł, jak tylko Stephen wrócił ze szkoły. Wiesz, jak lubię dzieciaki i zwykle z każdym się umiem dogadać. Ale nie z tym. Muszę ci powiedzieć, Tiffany, że trochę się go nawet przestraszyłam. Patrzył jakoś tak ponuro, spode łba. Takie ziółko nie powie prawdy nawet na sądzie ostatecznym.

- Ellie w ferworze wymachiwała przed nosem Tiffany łopatką do ciasta. - A jego ojciec? Nic dobrego! Odkąd pamiętam, niemal stale siedzi w więzieniu.

- Wiem - powiedziała Tiffany - ale to nie wina Milesa, że jego ojcem jest Ray Dean.

- Ani nie twoja, a tymczasem ten chłopak ma zły wpływ na Stephena, a to już twój problem.

Tiffany nawet nie próbowała oponować.

- Tak czy owak, Stephen i ten Miles niedawno sobie gdzieś poszli, obiecując, że wrócą przed szóstą.

- Miejmy nadzieję, że tak rzeczywiście będzie - odparła Tiffany, którą nagle rozboleła głowa. To wszystko z nerwów, pomyślała. Ale jak tu się nie denerwować, skoro Stephen znów zadaje się z Milesem. Czy rzeczywiście syn był z nią szczery? Czy wyznał jej wszystko, co wiedział na temat zniknięcia Isaaca Wellsa? Nowa fala niepokoju wzmogła ból głowy.

Zadzwonił minutnik, więc Ellie włożyła rękawicę i wyciągnęła blachę z piekarnika.

- No, słoneczko, wypuszczamy się na spacer. - Starsza pani odwiązała fartuch i zsadziła Christine z krzesła. - Wiesz, Tiffany, wreszcie miałam okazję zamienić parę słów z nowym lokatorem. Przystojny mężczyzna, nie ma dwóch zdań.

- Tak uważasz? - Tiffany nie zamierzała dać się wciągnąć w wymianę zdań na ten temat. Ellie, odkąd się tylko wprowadziła, niezmordowanie usiłowała bawić się w swatkę.

- Prawie tak przystojny jak twój szwagier.

- Prawie? - Tiffany spod oka zerknęła na starszą panią.

- Ten J.D. ma w sobie coś, kochanie, i nie wmawiaj mi, że tego nie zauważyłaś. Poza tym jest o wiele bardziej towarzyski niż Luke. - Ellie wyjrzała przez okno w kierunku wozowni i wskazała palcem apartament na piętterku. - Luke mieszka tu już... niech policzę, blisko tydzień, a prawie go przez ten czas nie widywałam.

- Może specjalnie cię unika - powiedziała Tiffany z uśmiechem.

- Nie drażnij się ze mną. Ale wiesz... coś w tym jest. Nie to, żeby unikał kogoś w szczególności, on stroni od wszystkich. Prawdziwy pustelnik. A może ukrywa jakieś ciemne sprawy z przeszłości?

- Niewykluczone - przytaknęła Tiffany. Nie chciała urazić starszej pani, rozczytującej się w romansach i kryminałach.

- A, zresztą. - Ellie machnęła ręką i odwróciła się do okna. Ujęła w swą pomarszczoną dłoń gładką jak ciastko z lukrem rączkę Christiny. - Wrócimy o czasie, prawda, Chrissy?

- Prawda! - Stanowczemu twierdzeniu towarzyszyło równie zdecydowane kiwnięcie główką. - Cześć, mamuniu! - Christina wyciągnęła ręce, jak zwykle oczekując na uściski.

- Bądź grzeczna, nie martw Ellie, dobrze?

- Dobrze.

- Zawsze jest grzeczna. - Ellie była gotowa bronić swojej pupilki.

Gdy wyszły, Tiffany załadowała pralkę i poszła na górę, żeby zmienić pościel. Zatrzymała się przed drzwiami przy schodach wiodących na drugie piętro. Poglaskała dłonią gładką poręcz i pomyślała o J.D. Od czasu wesela Johna Cawthorne'a wymienili zaledwie kilka zdań; J.D. często wyjeżdżał gdzieś samochodem, co Tiffany było na rękę. Unikała jego towarzystwa, obawiała się, że gdy zostaną sam na sam, nie zdoła mu się oprzeć. J.D. już dawniej działał na nią w szczególny sposób, wystarczyło, by jej dotknął, a cała płonęła. Pocałunek rozpalał ją do czerwoności. Żaden inny mężczyzna, nawet Philip, nie wzbudzał w niej takiej namiętności. Tiffany była pełna sprzecznych uczuć - pragnęła J.D. i chciała, by on jej pragnął, a jednocześnie nie wyobrażała sobie, jak mógłby ułożyć się jej związek z bratem nieżyjącego męża, z jednym z Santinich. Czy kiedykolwiek zdoła dojść do ładu z własnymi emocjami?

Kłopoty ze Stephenem wcale się nie skończyły. Syn stał się jeszcze bardziej skryty i jak kot zawsze chodził własnymi drogami. Uznała, że widocznie tak musi być, choć wcale nie było jej łatwo znosić tę sytuację, zwłaszcza że nie została wyjaśniona zagadka zniknięcia Isaaca Wellsa. Tiffany obawiała się, że jednak Stephen nie powiedział jej wszystkiego, że jest z tą sprawą powiązany. Jedyne Christina nie przysparzała jej zmartwień, a ostatnio ani razu nie obudziła się w nocy z krzykiem.

Tiffany poszła do swego pokoju i z ulgą zrzuciła buty. Miała za sobą ciężki dzień. Musiała dłużej zostać w pracy, telefon się wprost urywał, ponieważ nowe stawki ubezpieczeniowe wywołały liczne protesty klientów, a na domiar złego zepsuł się faks i zawiesiły się komputery. Sądny dzień!

Przebrała się w szorty i podkoszulkę z dużym dekoltem. Włosy związała w koński ogon. Przeszła do pokoju Stephena, gdzie panował nieopisany bałagan. Podłogę zalegały puste kubki i opakowania po wafelkach, a także papierowe tacki po frytkach; łóżko przypominało barłóg, wały się na nim czasopisma, komiksy i opakowania po grach wideo. Tiffany postanowiła, że tym razem

zmusi syna do posprzątania pokoju, czy mu się to podoba, czy nie. Co za dużo, to niezdrowo.

Usłyszała warkot silnika i wyjrzała przez okno. Przed domem stanął pikap Luke'a. Tiffany musiała przyznać rację Ellie. Nowy lokator prezentował się dobrze, choć, jak na jej gust był za bardzo skryty. Początkowo wydało się to Tiffany podejrzane. Ponieważ jednak zachowywał się spokojnie, nie sprowadzał towarzystwa i w ogóle nie sprawiał żadnych kłopotów, przestała doszukiwać się tajemnic. Bardzo potrzebowała jego pieniędzy. Gdyby się jeszcze udało wynająć ostatni lokal na dole... Och, może nareszcie związałyby koniec z końcem. Może.

Masując kark, zeszywniały od wielogodzinnego siedzenia przy biurku, ruszyła schodami na dół. W tym momencie z hukiem otworzyły się drzwi frontowe. Do środka wpadł jak burza spocony i zdenerwowany Stephen, z brwiami ściągniętymi w grubą linię i zaciśniętymi ustami.

- Cześć!

- O, to ty, mamó! Nie zauważyłem cię.

- Nie miałam zamiaru cię przestraszyć. - Tiffany zeszła kilka ostatnich schodków i skręciła w kierunku kuchni. - Ellie upiekła ciastka. Reflektujesz?

Zawahał się, ale szybko skinął głową.

- Jasne!

- Ellie powiedziała mi, że wychodziłeś z Milesem;

- I co z tego? - Stephen zgarnął z blachy garść ciastek.

- Gdzie byliście?

- Nad rzeką - odparł chłopiec, nie patrząc matce w oczy.

- Nie kapałeś się - stwierdziła raczej, niż spytała. Syn miał suche włosy, a w dodatku czuć było od niego papierosami.

- Nie.

Tiffany zdawała sobie sprawę, że dalsze naciskanie nic nie da, więc zmieniła taktykę.

- Jak ci idzie w letniej szkole?

- Nudy na pudy. - Stephen wyjął z lodówki karton mleka i napełnił szklanę.
- Radzisz sobie?
- No pewnie, czemu pytasz?
- Żeby wiedzieć - odpowiedziała Tiffany i też sięgnęła po ciastko. - To należy do moich obowiązków.
- Żadna płaca jak za taką pracę, co?
- Nie mów tak.
- Dobra. Idę wieczorem do kina.

W Bittersweet działało tylko jedno kino, a jego repertuar można było równie dobrze obejrzeć na kasetach wideo.

- Do kina? - zdziwiła się Tiffany. - Nie pamiętasz, że masz karę?
- Miałem. Do dzisiaj.

Z tym argumentem nie mogła się spierać. Stephen odpokutował już za swoją ucieczkę.

- Zgoda, ale pod warunkiem, że posprzątasz swój pokój.

Stephen już otwierał usta, by zaprotestować, ale musiał w ostatniej chwili zmienić zdanie, bo zmilczał.

- Z kim wybierasz się do kina? - spytała, mając nadzieję, że tym razem synowi nie będzie towarzyszył Miles Dean.

- Z Samem.
- A kto cię przywiezie? - spytała, nie kryjąc ulgi.
- Seth, brat Sama.

Tiffany postanowiła dać wiarę słowom syna. Seth miał prawie dwadzieścia lat i pracował w fabryce. Wyglądał na prostolinijnego, uczciwego chłopaka.

- Tylko wróc zaraz po seansie, dobrze?
- Jasne. Nie ma sprawy.

Tiffany miała nadzieję, że dotrzyma słowa. Z całych sił chciała wierzyć synowi. Przecież to dobry chłopak, przekonywała się w duchu, wracając myślą do sprawy zniknięcia Isaaca Wellsa i wizyty na policji, nie byłby zdolny do

popelnienia złego uczynku czy zrobienia komuś krzywdy. Jest bardzo młody i naiwny, podatny na wpływy kolegów, zbuntowany przeciwko światu dorosłych. Może ktoś wywiera na niego presję? Może ktoś go szantażuje? - zatrwożyła się Tiffany.

Jarrold Smith był sfrustrowany jak pies, który wytropił kota, a teraz bezsilnie warczy pod wysokim drzewem, na które ten kot umknął. Chodził długimi krokami po swym biurze i referował J.D. postępy w sprawie zniknięcia Isaaca Wellsa.

- Policja zbadała kilka tropów, ale wszystkie prowadziły donikąd. Z początku kierujący śledztwem sądzili, że w sprawę wplątany jest ktoś z krewnych lub przyjaciół Wellsa. Założyli, że stary padł ofiarą jakichś paskudnych machinacji, że to morderstwo lub porwanie. Jednak nic na to nie wskazuje, nie odnaleziono żadnych dowodów - dodał, rzucając swemu rozmówcy zakłopotane spojrzenie. - Wygląda na to, że Isaac po prostu poszedł sobie w świat, nikogo nie zawiadamiając o swym niezwykłym postanowieniu.

- Tylko po co miałyby to zrobić? - spytał J.D.

- Dobre pytanie. Wracamy do punktu wyjścia. Dlaczego Isaac Wells opuścił swoją farmę? Albo ktoś go do tego zmusił, albo coś mu się na stare lata przywidziało. A może wyruszył gdzieś niedaleko i nagle stracił pamięć? To się często przytrafia ludziom w starszym wieku. - Jarrold potarł nasadę nosa, jakby ten gest pozwalał mu się lepiej skupić. - Ale powiem ci, że rozmawiałem z ludźmi, którzy znali starego Isaaca o niebo lepiej niż ja. Z mnóstwem ludzi. Twierdzili z całą odpowiedzialnością, że Isaac nie cierpiał na demencję czy depresję. Uważają, że stary był zdrow jak dąb na ciele i na umyśle. Spędzał całe dnie, zajmując się głównie tymi swoimi starymi samochodami, które przechowywał w stodole. Nie zauważono żadnych niepokojących sygnałów. - Jarrold przysiadł na biurku, machając nogą. - Założyłem nawet, że Isaac gwałtownie potrzebował pieniędzy i chciał w ten sposób wyłudzić kwotę

należną z ubezpieczenia. Oczywiście musiałyby być z kimś w zмовie. Okazało się, że jego ubezpieczenie jest minimalne i ledwo pokryłoby koszty pogrzebu. Natomiast farma, obciążona niewielkim długiem hipotecznym, jest warta sto pięćdziesiąt, może nawet dwieście tysięcy. - Jarrod podniósł do ust kubek z kawą, spostrzegł, że jest pusty, i spytał: - Co powiesz na piwo? Ja stawiam.

- Chętnie się napiję - odparł J.D.

Gdy wyszli z biura, Jarrod poprowadził go na skróty, uliczką na tyłach.

- To moja droga ewakuacyjna - zażartował. - Możesz mi wierzyć, że jak byłem mały, to dawałem starym nieźle popalić, choć ani w połowie nie tak jak moi bracia. Wyczyny Trevora i Nathana przeszły do rodzinnej legendy.

Było późne popołudnie, słońce jeszcze przygrzewało, ale w powietrzu czuło się chłód. Weszli do Wooden Nickel Saloon i zajęli jeden z drewnianych boksów. Wnętrze baru było udekorowane pamiątkami pochodzącymi z okresu gorączki złota - począwszy od starych odważników, kół wozów osadniczych i końskich siodła, skończywszy na latarniach, motykach kopaczy złota i wypchanych zwierzęcych łbach, błyskających szklanymi oczami znad baru. Błat każdego stołu zdobiły zatopione w plastiku stare monety.

Jarrold i J.D. zamówili po dużym piwie z Portland, browaru pozostającego pod kontrolą firmy Bracia Santini. Poza kilkoma mężczyznami tkwiącymi przy barze i paroma innymi grającymi w bilard nie było nikogo. Nad kanciastą ladą zamontowano telewizor - akurat wyświetlano wyniki ostatnich rozgrywek baseballowych. Stuk bil i szmer rozmów zagłuszały przeboje country, sączące się z niewidocznych głośników. J.D. nie rozróżniał ani piosenkarzy, ani piosenek - podobała mu się muzyka, jej charakterystyczne brzmienie, i to mu wystarczało.

Młoda blondynka w obcisłych dzinsach, kowbojskich butach, kraciastej koszuli i kapeluszu postawiła na stoliku kufle z piwem i miseczkę chipsów.

- Coś jeszcze? - spytała, przyglądając się J.D. Nigdy go do tej pory nie widziała. W jej zielonych oczach błyszczała ciekawość.

- To nam wystarczy, dzięki, Nora - odparł Jarrod.

- Jakby co, wiesz, gdzie mnie szukać. - Dziewczyna mrugnęła porozumiewawczo i zniknęła na zapleczu.

Jarrod pociągnął długi łyk i, z zadowoloną miną, postawił kufel na stole. Nora wróciła na salę i czyściła teraz blat sąsiedniego stolika, skąd zręcznie zgarnęła napiwek.

- Chodziłem do tej samej klasy z jej starszą siostrą April - wyjaśnił, spoglądając spod oka na zgrabną sylwetkę dziewczyny. - Nawet parę razy umówiliśmy się na randkę. Zaprosiłem April na mój bal maturalny. Nora była wtedy jeszcze całkiem mała.

- Ale już dorosła - zauważył J.D., patrząc, jak z uśmiechem znów staje za barem.

- No, niby tak - powiedział lekko zakłopotany Jarrod. Rzucił dziewczynie przez ramię ostatnie spojrzenie, po czym zwrócił się do swego rozmówcy. - Nie mam pojęcia, w jaki sposób i czy w ogóle Stephen jest powiązany ze zniknięciem Wellsa. Miał jego klucze, to fakt, ale wyjaśnił policji, jak do tego doszło. Powinieneś sam z chłopcem porozmawiać, może jeszcze czegoś się dowiesz. Osobiście wątpię, by był zamieszany w tę aferę. Może mieć jakieś dziwaczne pomysły - sam wiesz, jak to jest w tym wieku - i z pewnością ukradł klucze, ale to wszystko. Policja nie ma przeciwko niemu żadnych dowodów i nie zamierza go oskarżać. Na posterunku chcieli go porządnie postraszyć, żeby wyznał, co wie, i tyle.

Popijali piwo, rozmawiając o sezonie baseballowym, o przesunięciach w lidze, o wszystkim i o niczym. Podczas rozmowy J.D. dowiedział się, że Jarrod był policjantem, zanim został prywatnym detektywem. Gdy w rewanżu Jarrod spytał o jego losy, J.D. powiedział mu, że dotąd był prawnikiem specjalizującym się w sprawach cywilnych.

- Po śmierci brata ojciec praktycznie zmusił mnie, żebym zajął jego miejsce w firmie - wyjaśnił. - Początkowo się opierałem, wynajdując wszystkie możliwe

preteksty, ale kiedy uległem wypadkowi, miałem parę tygodni przymusowej bezczynności na przemyślenie kilku ważnych życiowych spraw, no i zdecydowałem, że przyjmę propozycję ojca, przynajmniej na jakiś czas.

Jarrood pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Słyszałem, że chcesz kupić farmę Zalinskih.

- Złożyłem ofertę dziś rano.

- Nie miej mi za złe, że pytam. Pewnie już się zorientowałeś, że na prowincji plotki rozchodzą się z szybkością światła.

- To jeden z powodów, dla których wybrałem duże miasto.

- Ja nie zamieniłbym naszego miasteczka na metropolię. W dużym skupisku trudno nawiązać kontakt z ludźmi, człowiek się alienuje, czy tego chce, czy nie - wyniszczył swój pogląd Jarrood. - Oczywiście, że u nas są i tacy, którzy nadmiernie interesują się losem bliźnich i wsadzają nos w nie swoje sprawy, ale funkcjonowanie w obrębie małej społeczności ma swoje złe i dobre strony. Kiedy wpadniesz w tarapaty, wszyscy w mieście na wyścigi będą ci pomagać.

- Poza sprawą Isaaca Wellsa.

- Odnoszę wrażenie, że zagadka zniknięcia Wellsa pozostanie nie rozwiązana. Chyba że Isaac wróci i sam opowie, co mu się przydarzyło. - Jarrood odchylił się w krzesło, przybierając bardziej wygodną pozycję. - A jak ci się układa ze szwagierką?

J.D. natychmiast się najeżył.

- Jako tako - odparł enigmatycznie, zastanawiając się, dlaczego Jarrood się tym interesuje.

- Piękna kobieta.

J.D. przytaknął w milczeniu.

- Nie miała lekkiego życia. Wychowywała się bez ojca, który przez lata nie pamiętał o jej istnieniu. Matka starała się, jak mogła, ale w ich domu się nie przelewało. Potem tragiczna śmierć męża... Spadło na nią dużo obowiązków i nie mniej kłopotów.

- Daje sobie radę.
- Ma charakter, zresztą jak wszystkie córki Cawthorne'a. Odziedziczyły to w genach. Weźmy, na przykład, moją siostrę Katie. Musiała sobie radzić, mając takich trzech braci jak my. - Jarred spochmurniał. - Nie ma co, dostała swoją porcję batów od życia, była w dołku, ale wyszła z tego obronną ręką. Zahartowała się, teraz nic jej nie złamie - dodał z podziwem. - To zadziwiająca kobieta. Zawsze dopnie swego - jak ją wyrzucisz drzwiami, to wróci oknem. - Jarrod uśmiechnął się. - Pasuje do tego porzekadła: gdzie diabeł nie może, tam babę pośle. Wydaje mi się, że Tiffany, choć silna i uparta, jest dużo spokojniejsza od Katie. - Jarred potarł dłonią brodę. - Na pewno niełatwo jej samej wychowywać dwoje dzieci, zwłaszcza że chłopak wszedł w trudny okres dojrzewania.
- Po co mi to wszystko mówisz? - J.D. stał się czujny.
- Żeby ci uświadomić, że dobrze mieć kogoś takiego w rodzinie.
- Ty chyba też jesteś jej kuzynem.
- Nie da się ukryć - roześmiał się Jarred. - Gdy John poślubił moją matkę, zyskałem dwie przyrodnie siostry. Nie martwi mnie to, przeciwnie.
- Zobaczymy, jak się dalej ułoży życie rodzinne - zauważył J.D., kończąc piwo.
- W tej sprawie jestem optymistą. - Jarred sięgnął po portfel i zostawił na stole kilka banknotów. - Ja stawiałem - powiedział, uprzedzając ruch J.D., który też chciał wyjąć pieniądze.
- Dobrze, ale następnym razem moja kolej - zgodził się J.D.
- Pomyślałam sobie, że gdybyś znalazła trochę czasu, ja, ty i Bliss mogłybyśmy się jutro umówić na lunch. Wreszcie byśmy spokojnie porozmawiały - przekonywała Katie.

Tiffany skinęła w milczeniu głową, trzymając przy uchu słuchawkę. Katie już poprzednio występowała z propozycją spotkania trzech sióstr. Starła się do tego pomysłu przekonać Tiffany, która nie była nim zachwycona. Nadal miała

wątpliwości, czy powinna nawiązać bliższe i bardziej serdeczne stosunki z rodziną ojca, który nagle po tylu latach przypomniał sobie o jej istnieniu. Nie mogła jednak nie brać pod uwagę potrzeb Stephena, który jasno i dobitnie dał do zrozumienia, że nie podziela jej stanowiska w tej sprawie.

- Może być jutro - usłyszała własną odpowiedź. - O wpół do pierwszej ci odpowiada? Doris mnie wtedy zmieni.

- Cudnie! Zaraz dzwonię do Bliss. Spotykamy się w Blue Moon Cafe. Mają miły zwyczaj wystawiać stoliki na zewnątrz, do ogródka.

- Jak chcesz. Do zobaczenia - powiedziała Tiffany i odwiesiła słuchawkę. Klamka zapadła. Czy chciała tego, czy nie, będzie musiała zobaczyć się i porozmawiać z przyrodnimi siostrami.

- Tiffany?! - zabrzmiał od głównego wejścia podniesiony głos J.D.

- Już idę! - odkrzyknęła i wyszła z kuchni do holu. Spotkali się w połowie drogi.

- Gdzie dzieci?

- Christina jest na spacerze z panią Ellingsworth, a Stephen poszedł z kolegami do kina.

- To świetnie.

- Dlaczego? Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego.

- Urządzimy sobie małą uroczystość.

- Uroczystość? Z jakiej okazji? Nie, nie mów mi, sama zgadnę. Wyjeżdżasz? - spytała Tiffany, starając się zachować obojętny ton, choć zrobiło się jej bardzo smutno.

J.D. zatopił przenikliwe spojrzenie w jej oczach.

- Czy nie tego właśnie chciałaś, odkąd przekroczyłem próg tego domu?

A więc jednak, zatrwożyła się Tiffany. Na myśl o tym, że już go nie zobaczy, jej oczy wypełniły się łzami.

- Ale... ale przecież wynająłeś pokój na sześć miesięcy.

- Zgadza się. - J.D. potarł dłonią napięte mięśnie karku. - Zatrzymam go, bo

jeszcze tu wrócę.

- Kiedy? - Zakochane serce Tiffany aż podskoczyło z radości.

- Będę tu przyjeżdżał co miesiąc, prawdopodobnie na kilka dni.

- I to wszystko?

- Tylko mi nie mów, że będziesz za mną tęskniła - powiedział nie bez ironii.

- O tym możesz tylko marzyć, Santini - odcięła się, choć wolałaby wyznać, że rzeczywiście będzie tęskniła.

- Co dzień o tym marzę - zapewnił J.D., tym razem całkiem poważnie. - Chodź, Tiffany, przejedźmy się - poprosił niskim, ciepłym głosem. - Chcę ci coś pokazać.

- Co takiego?

- Coś, dzięki czemu mogę wyjechać - odparł.

- A jednak - szepnęła. Zatem klamka zapadła. - Oczywiście.

- Czy nie tego chciałaś?.

- Chyba tak... - odparła Tiffany bez przekonania.

Początkowo traktowała J.D. jak intruza, wysłannika Santinich, którzy nigdy jej nie ufali i nie zaakceptowali. Była zdruzgotana, gdy oznajmił, że pragnie wynająć pokój w jej domu, w dodatku na całe pół roku. Nie życzyła sobie kontroli, nie potrzebowała pomocy. Jednak J.D. okazał jej wiele zrozumienia, wsparł w rozwiązywaniu kłopotów ze Stephenem, sam z własnej woli wziął się za domowe naprawy. Przekonała się, że nie przyjechał na przespiewki. Z czasem sytuacja się skomplikowała - J.D. nie krył, że nadal pragnie Tiffany, a ona ze zdumieniem odkryła, że się w nim zakochała. Co za galimatias!

- W drogę.

Zanim Tiffany zdążyła wymyślić jakąś wymówkę, już siedziała w dżipie, który J.D. prowadził pewną ręką. Przejechali przez miasteczko i niebawem znaleźli się na drodze wijącej się pomiędzy polami.

- Słyszałaś o farmie Zalinskich? - spytał J.D.

- Poznałam Myrę Zalińską w naszej agencji. Wyprowadzili się stąd.

- Ale nie sprzedali gospodarstwa. Aż do wczoraj.

- Ty je kupiłeś?

- Nie ja, tylko spółka Bracia Santini - odparł.

Właśnie mijali ranczo Isaaca Wellsa. Mimo ciepła panującego w sfoferce, Tiffany przejął lodowaty dreszcz. Zastanawiała się, co mogło się przydarzyć starszemu panu, dlaczego zniknął bez wieści. Czy Stephen mógł na ten temat coś jeszcze wiedzieć? Coś, co ukrywał? Nie, uspokoiła się. On nic nie wie. Jest moim synem i muszę mu wierzyć, pomyślała Tiffany.

Trochę dalej J.D. skręcił w wąską, wysypaną żwirem drogę dojazdową. Po obu stronach rozciągały się pola, na okolicznych łąkach pasło się parę sztuk bydła, a przez środek doliny płynął strumień. Niebawem ukazał się solidny, murowany dom.

- Co cię skłoniło, żeby wybrać tę farmę?

- Wielkość, cena, bliskość głównej drogi, skład chemiczny gleby i intuicja. - J.D. zaparkował samochód pod rozłożystym starym dębem. - Umowa jeszcze nie podpisana, ale sądzę, że z tym nie będzie problemu. To jest dokładnie to, o co ojcu chodziło.

- Można tu hodować winorośl? - spytała, udając zainteresowanie, choć myślami była gdzie indziej. Zastanawiała się, jak to będzie, gdy J.D. wyjedzie. Czy będzie się czuła bardzo osamotniona? Czy będzie wspominać pocałunki i pieśczozy i na próżno o nich marzyć?

- Nie zwykłą winorośl. Najlepszą.

- Ach, rozumiem. - Nie potrafiła się nawet zdobyć na uśmiech. Zrozumiała, że nie chce, aby J.D. wyjeżdżał.

- Nie pierwsi Bracia Santini będą tu produkować wino. W trójkącie między Bittersweet, Ashland i Jacksonville już jest kilka winnic. My chcemy tu wykreować nowy gatunek.

- I opanować rynek.

- Jeśli się uda, to czemu nie?

- Twój ojciec zawsze osiąga to, co sobie zaplanuje i czego chce, prawda?

- Prawie zawsze. Chodź. Pokażę ci posiadłość.

Sięgnął na tylne siedzenie i wyciągnął spory worek, który przerzucił przez ramię.

- To nasz koszyk piknikowy - wyjaśnił.

Podeszli do obszernego domu stojącego w cieniu drzew. Z boku, koło drzwi, pozostawiono ogrodową huśtawkę, która najlepsze czasy miała już dawno za sobą. Z drugiej strony rozciągało się herbarium, okalające kamienne patio, dochodzące aż do strumienia.

- Pięknie tu... to znaczy, kiedyś będzie pięknie - powiedziała Tiffany.

Mimo przygnębienia próbowała wykrzesać z siebie autentyczne zainteresowanie planami szwagra. Dom wymagał solidnego remontu. Z boku, na tyłach, mieścił się ogród warzywny i przylegający do niego sad. Pomiedzy domem a garażem zainstalowano drewnianą kratownicę, po której pięła się winorośl.

- To na pierwsze winobranie - zażartował J.D., dotykając małego gronka niedojrzałych, zielonych kuleczek.

Wziął Tiffany za rękę. Niespodziewany dotyk jego palców sprawił, że przeszedł ją dreszcz oczekiwania. Nie myśl o niczym, mówiła sobie. Ciesz się chwilą, bo niedługo zostaniesz sama jak palec. Znowu sama. Dlaczego wszyscy mężczyźni, którzy byli dla niej ważni, muszą ją w taki czy inny sposób opuszczać? Najpierw ojciec, potem mąż, teraz J.D... Pokochała go wbrew sobie, świadoma, że nie powinna do tego dopuścić. Szła o krok za nim wąską ścieżką, zrezygnowana i przybita, pełna sprzecznych emocji.

Słońce zaczęło skłaniać się za horyzont, oświetlając swym blaskiem chmury wiszące nad zachodnimi wzgórzami. J.D. prowadził teraz Tiffany w stronę stodoły. Jaskółki mościły się już na noc w gniazdach, więc powitały nieproszonych gości wrzaskiem. Żaby zaczęły nad strumieniem swój wieczorny koncert, a w oddali kojot zawiódł samotną pieśń.

- Ale tu sielsko - szepnęła Tiffany. - Zupełnie inaczej niż w mieście.
- Na wsi, jak to na wsi - powiedział J.D. i odsunął wrota stodoły. Zaskrzypiały w głośnym proteście.

- Potrzeba trochę smaru - zauważyła Tiffany.
- Całą beczkę smaru. Cała ta farma wymaga mnóstwa pracy, choć nie więcej, niż od początku zakładałem. Dom i stodoła są sędziwe i chociaż kilkakrotnie je modernizowano, należy od nowa zrobić instalację elektryczną i wodociągową, a poza tym ponaprawiać dachy. Przy odpowiednim nakładzie pracy i pieniędzy można z tej posesji zrobić istne cacko. Oczami wyobraźni już widzę piwnicę i winiarnię, jaką można będzie tu urządzić.

J.D. wszedł do mrocznego wnętrza. Poczerniałe ze starości belki stropowe podpirały sufit, z boku widać było obszerne boksy dla koni, a na górze strych z sianem. Z gniazda pod stropem poderwała się do lotu zaniepokojona sowa. J.D. rozglądał się wokół, jakby już miał w głowie plan przebudowy stajni i konfrontował go z rzeczywistymi możliwościami. Wyszli ze stodoły tylnymi drzwiami i znaleźli się na pastwisku, które łagodnie opadało ku małemu stawowi.

- Trzeba będzie uporządkować ten teren, nad stawem można zainstalować elementy małej architektury, zbudować podium. Będzie można urządzać uroczystości, przyjęcia i letnie koncerty.

- Tak jak w tamtej winnicy, gdzie po raz pierwszy się spotkaliśmy - zauważyła mimochodem Tiffany i poniewczasie poczerwieniała z zażenowania.

- Tak, właśnie o tym myślałem - powiedział J.D., wbijając ręce w kieszenie. - Nie sądziłem, że pamiętasz.

- Jak mogłabym zapomnieć?

Popatrzył na nią i uśmiechnął się lekko.

- Byłaś smarkułą, która pozowała na dorosłość - powiedział.

- A ty zgrywałeś ponuraka i buntownika, któremu na niczym i nikim nie zależy.

- I co, udało mi się?
- No pewnie. Goście uznali, że to z twojego powodu zatrudniono ochroniarzy.
- To było tak dawno...
- Wieki temu - przyznała.
- Byłaś wtedy panną.
- A ty kawalerem.
- I pozostałem nim do tej pory.
- Dlaczego się nie ożeniłeś? - spytała. I, nie dając mu czasu na odpowiedź, dorzuciła: - Tylko mi nie opowiadaj, że nie natrafiłeś na właściwą kobietę, bo i tak ci nie uwierzę.

Milczał przez chwilę, a potem spojrzał na nią pociemniałymi nagle oczami. Wiatr ucichł i zapadła taka cisza, że niemal słychać było bicie ich serc.

- Znalazłem odpowiednią dla mnie kobietę, ale mnie nie chciała. Wybrała mojego brata.

Tiffany ogarnęło wzruszenie. Więc to tak. Gdy pocałował ją po raz pierwszy, zrobił to nie z przekory czy zadufania, ale dlatego, że mu się spodobała. Po pogrzebie zajął się nią, utulił, ukoił, wziął w ramiona nie dlatego, żeby skorzystać z okazji. Chciał ją pocieszyć, ponieważ już wtedy była mu bliska. Nie mógł jej o tym powiedzieć, nie wtedy, tuż po ceremonii pogrzebowej.

- Ja... kochałam twojego brata. Wiem, że wasza rodzina oskarżała mnie o interesowność, o to, że wyszłam za starszego od siebie mężczyznę, aby zapewnić sobie opiekę i łatwe życie, ale to nieprawda. Zakochałam się w Philipie, ujął mnie swoją dobrocią, uprzejmością, zaimponował wiedzą. Początkowo zgadywał każde moje życzenie. Być może, w naszym związku nie było jakiejś nadzwyczajnej namiętności, i z biegiem lat miłość przekształciła się w przywiązanie, ale mieliśmy siebie, dzieci, rodzinę...

- Ja też go kochałem. - J.D. zacisnął usta w cienką kreskę. - Jak ci się wydaje, z jakiego powodu tak długo trzymałem się od ciebie z daleka?

- Ja... Ja nic nie wiedziałam.

- A teraz, jak sądzisz, dlaczego stąd wyjeżdżam?

- O, Boże, nie mów mi proszę, że...

- Zaraz ci powiem, dlaczego. Ponieważ nie mogę poradzić sobie z samym sobą, z moim uczuciem do ciebie, z myślą, że pożądałem i pożądam żony mojego brata - powiedział ze śmiertelną powagą. - W głębi serca chciałem, żebyście się rozwiedli, żebyś była wolna.

- Jay, błagam cię, nie mówmy o tym! - Tiffany krajało się serce.

- Sama mnie spytałaś.

- To prawda... To, co się zdarzyło między nami, było...

- Było niewłaściwe i nie powinno się zdarzyć - dokończył za nią. - Wiem o tym. Wierz mi, że świetnie zdaję sobie z tego sprawę.

- Nie miałam zamiaru cię prowokować....

- A ja ciebie wykorzystywałem - uciął cierpko, najwyraźniej chcąc zakończyć ten temat. Zeszli po trawie nad staw, którego brzeg okalało sitowie. Nieco dalej strzelały w niebo wysokie sosny i dęby. Niebo przybrało fioletowy odcień i powiała chłodniejsza bryza.

Tiffany i J.D. milczeli, każde pogrążone w swoich niewesołych myślach. Co przyniesie im przyszłość? Czy mogą liczyć na odmianę losu? Czy odważą się snuć wspólne plany?

- No, dobrze. - Pierwszy odezwał się J.D. Wyjął z worka butelkę wina. - Przejdźmy teraz do rozrywkowej części wieczoru. Powinniśmy oblać objęcie tej wspaniałej ziemi przez rodzinę Santinich. - J.D. wyciągnął z kieszeni scyzoryk zaopatrzony w korkociąg. - Firma Bracia Santini jak zwykle niezawodna. Chcesz powąchać korek?

- Nie trzeba, wierzę ci. To znaczy...

- Wiem, co to znaczy. - Odstawił butelkę na płaski kamień koło stawu, żeby wino mogło chwilę pooddychać. Mimo pozornie beztroskiego tonu wcale się nie rozluźnił, przeciwnie, był spięty jak zwierzę do skoku. - Wcale mi nie wierzysz. Nigdy nie wierzyłaś - powiedział z wyrzutem.

- Zwracam ci uwagę, Jay, że od chwili, kiedy mnie zobaczyłeś, stale dawałeś mi do zrozumienia, że nie jestem dość dobra dla twego brata,

- Nie chodziło o to, że nie jesteś dość dobra.

- Nie? To o co?

- Uważałem, że jesteś za młoda jak na żonę Philipa.

- Przecież to nie była twoja sprawa, więc po co wtrącać swoje trzy grosze?

- Już ci powiedziałem, że to była moja sprawa.

- Nie miałeś prawa! - wykrzyknęła Tiffany, nie panując nad emocjami. - Tak samo jak nie miałeś prawa tu przyjeżdżać i mieszać się w nasze życie.

- Uważasz, że to właśnie robię?

- Dokładnie! Wydaje ci się, że wszystko ci się od życia należy. Sięgasz jak po swoje po coś, co nie jest twoje.

- To nieprawda, Tiffany. Gdyby tak istotnie było, między nami ułożyłoby się zupełnie inaczej.

- Naprawdę? Niemożliwe...Och!

J.D. objął ją i stłumił okrzyk namiętnym pocałunkiem. Tiffany oblała falą gorąca jak zawsze, gdy J.D. brał ją w ramiona. Z pasją, której nie potrafiła powstrzymać, oddała pocałunek. Czuła dłonie J.D. na swoim ciele, dotykały i głaskały, sprawiając, że cała płonęła z pożądania. Rzeczywistość wokół przestała istnieć, liczyła się tylko wzajemna bliskość i namiętność, która szukała spełnienia. Zdrowy rozsądek odszedł w zapomnienie.

J.D. ułożył Tiffany na trawie i, cały drżący, zaczął całować nagą skórę nad wycięciem dekoltu. Jej palce zaplątały się w jego włosy. Cała oddała się pieścizotom, nie protestowała, gdy ściągnął jej przez głowę koszulkę, ani wtedy, gdy pocałował stwardniały czubek każdej z piersi. Zaraz potem ona ściągnęła z niego koszulkę. Gładząc muskularne ramiona, wyczuwała grę mięśni pod skórą; przejechała palcami po pokrytej ciemnym puchem piersi i dotarła do pępka.

- Napytasz sobie biedy - ostrzegł J.D.

- Wiem. Raz kozie śmierć.

- Tak? To do dzieła. - Rozpiął jej stanik i odrzucił na trawę. - Tak... właśnie tak... - szepnął z zachwytem. Dokonywał cudów z jej ciałem. Tiffany wygięła się w łuk, by ułatwić mu dostęp do piersi. Lizał je i całował, a ona wiła się z rozkoszy.

- Jay - szepnęła ponagłajaco.

- Jestem, kochanie. - Rozpiął suwak jej szortów. Przesunął ustami po jej brzuchu, jednocześnie ściągając szorty. Jeszcze chwila, i oto leżała na trawie całkiem naga, wyjąwszy wąski biały pasek jedwabiu.

- Jesteś piękna - powiedział, całując jej pępek i ocierając ciało gorącym oddechem. - Taka piękna. - Odsunął się nieco i zręcznie ściągnął zębami figi, sięgając ustami do źródła pożądania.

- Jay, och, Jay - jęknęła z zamkniętymi oczami. Jej ciało w mroku błyszczało od potu.

J.D. szybko zrzucił buty i džinsy.

- Błagam cię, Jay, nie przerywaj.

- Sama nie wiesz, o co prosisz - powiedział, ale po chwili i on całkowicie stracił kontrolę nad sobą. Zagarnął Tiffany pod siebie i poprowadził ją do krainy nieziemskiej rozkoszy. Gdy pod powiekami wybuchły jej kolorowe fajerwerki, wykrzyczała imię J.D. W chwilę potem poczuła, jak on drga spazmatycznie, wydając przy tym okrzyk triumfu. Później oboje zapadli w nicość.

ROZDZIAŁ 11

Ciekawe, kim jest ten twój nowy lokator? - Katie zanurzyła chipsa w miseczce z sosem, po czym zjadła go ze smakiem. Pytanie skierowała do Tiffany. Wraz z Bliss spotkały się, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, na lunchu i siedziały teraz w restauracyjnym ogródku pod parasolem.

- Nic nie ujdzie twojej uwagi - stwierdziła z przekąsem Tiffany, nadal nie do końca przekonana do pomysłu zacieśnienia więzów z rodziną ojca.

- Nie zapominaj, że jestem dziennikarką, a moim obowiązkiem jest wiedzieć wszystko o wszystkich - odparła z uśmiechem Katie i otarła wargi. Na jej gładkim czole lśniły kropelki potu. Było upalnie.

- Nazywa się Luke Gates, oznajmił, że przyjechał z małego miasteczka w zachodnim Teksasie. Jest skryty, raczej unika towarzystwa, nie zawarł bliższej znajomości z żadnym z pozostałych lokatorów i dlatego niewiele o nim wiem.

- Ciekawe, co go sprowadziło do Bittersweet - zauważyła Katie.

- We wszystkim dopatrujesz się tajemnicy - stwierdziła Bliss.

- Raczej sensacji. Nie darmo jestem reporterką. Jak wiecie, w naszym miasteczku niewiele ciekawego się dzieje, ot, dzień jak co dzień. Ta ostatnia historia z Isaakiem Wellsem to wyjątek potwierdzający regułę. - Katie pociągnęła łyk mrożonej herbaty i przesunęła się z krzesłem, aby znaleźć się w cieniu. Parasol nie osłaniał całego stolika. - Dowiedzieć się, co przydarzyło się Wellswi, dlaczego rozplątał się jak we mgle - oto prawdziwe wyzwanie dla reportera, zwłaszcza że policja niewiele zdziałała. Praktycznie niczego się nie dowiedzieli.

- Niestety. Nie odnaleziono żadnych śladów, żadnych dowodów - wtrąciła Bliss.

Katie kontynuowała wywód:

- Isaac Wells żył samotnie, o jego rodzinie wiadomo niewiele. Nie był zbyt sympatyczny, można chyba powiedzieć, że raczej dziwaczały, i z pewnością nie wszyscy w miasteczku za nim przepadali. Jednak to jeszcze nie wyjaśnia, dlaczego zniknął. A jeśli nawet został porwany, to czemu nikt nie wystąpił z żądaniem okupu? To się nie trzyma kupy.

- Zgadzam się z tobą - powiedziała Tiffany, po raz kolejny upewniając się w duchu, że jej syn na pewno nie ma z tą sprawą nic wspólnego. Stephen wszedł w trudny okres, chodzi własnymi drogami, próbuje udowodnić, że nie potrzebuje rady i opieki dorosłych - to prawda. Nie oznacza to jednak, przekonywała się w myślach, że byłby zdolny do popełnienia przestępstwa. Z całą pewnością.

- A co słyhać u J.D? - spytała Katie, zmieniając temat.

Tiffany o mało się nie zakrztusiła mrożoną herbatą.

- A czemu mnie o to pytasz?

- Widziałam, jak tańczyliście na weselu. On jest w tobie zakochany. Co do tego nie mam wątpliwości.

- Zakochany? - Tiffany pokręciła głową z gorzkim uśmiechem. Nigdy nie uwierzy w szczerść zapewnień J.D. - On przyjechał w interesach.

Bliss i Katie wymieniły znaczące spojrzenia.

- Jasne, w interesach.

- Oczywiście, że tak. Ojciec polecił mu wyszukać w tym rejonie ziemie nadające się pod uprawę winorośli. Jeździł z pośrednikiem po okolicy i wybrał farmę Zalinskich. Złożył ofertę kupna, sprawa jest przyklepana.

- Słyszałam o tym - powiedziała Katie. - Słyszałam też, że Santini chcą uruchomić interesy w Oregonie. To wszystko nie tłumaczy faktu, że w niedzielę J.D. wpatrywał się w ciebie zakochanym wzrokiem i za nic nie umiał utrzymać rąk przy sobie.

Tiffany, speszona, nie potrafiła powstrzymać rumieńca, który wypełził jej na policzki. Aż za dobrze pamiętała namiętne pocałunki, cudowne pieszczoty, uczucie bliskości i zjednoczenia, rozkosz, którą przeżyła dzięki J.D. Nigdy przedtem nie doświadczyła czegoś tak niezwykłego...

- Ja i J.D. jesteśmy tylko...

- Jeśli przysięgniesz, że ty i J.D. jesteście tylko parą dobrych starych przyjaciół - wpadła jej w słowo Katie - i tak ci nie uwierzę.

- Nie przesadzasz? - wtrąciła Bliss.

- Ani trochę - odparła Katie. - Przecież widzę, co się święci.

- Nie wtrącaj się, to sprawa Tiffany - skarciła Bliss siostrę. - Wybacz, ale jak Katie nabije sobie czymś głowę, to nie ma na to rady.

- Niczego nie wymyśliłam, po prostu jestem spostrzegawcza i mam tak zwanego „nosa” - zaprotestowała Katie.

- Dobrze, dobrze - machnęła ręką Bliss. - Ja wiem swoje.

- Muszę być sprytna, w moim zawodzie to konieczność.

- Nie nazywałabym tego sprytem. Raczej oślim uporem. - Bliss mrugnęła porozumiewawczo do Tiffany.

- No wiesz, nie spodziewałabym się tego po tobie. Myślałam, że tylko chłopaki to wredne typy. - Katie udała obrażoną, dobrze wiedząc, że siostra się z nią przekomarza.

- Uważam, że Tiffany ma prawo do prywatności, zresztą jak każdy z nas - nie ustępowała Bliss.

- Dajcie spokój, nie róbcie z mojego powodu tyle zamieszania - wtrąciła Tiffany. - Moje układy z J.D. są..., dość skomplikowane.

- Ludzie zawsze tak mówią, kiedy nie chcą się przyznać, że są zakochani - zauważyła Katie.

Czy to aż tak po mnie widać? - zadała sobie w duchu pytanie Tiffany. A głośno spytała:

- Wiesz to z własnego doświadczenia?

- Może - kiwnęła głową Katie.

- Nie jestem sama, mam dwójkę dzieci i odpowiadam za nie - zaczęła Tiffany, nieoczekiwanie dla samej siebie decydując się na zwierzenia. Może siostry coś jej doradzą? - Rzeczywiście, pomiędzy mną a J.D. zawiązała się więź, staliśmy się sobie bliscy. Zadałam sobie pytanie, czy mam prawo wprowadzać zmiany w życie mojej rodziny... - Urwała, zastanawiając się nad dalszymi słowami.

- Mów dalej - zachęciła Katie.

- Jak dzieci reagują na obecność J.D.? - spytała Bliss.

- Christina go uwielbia. Odkąd u nas zamieszkał, wciąż o nim mówi. Po śmierci Philipa prawie co noc budziła się z krzykiem, ponieważ dręczyły ją koszmary, a teraz znów śpi spokojnie. - Tiffany przestała grzebać widelcem w sałatce z kurczaka i uniosła wzrok znad talerza. - Dziś wieczorem wybieramy się na przedstawienie na wolnym powietrzu, w parku. Koniecznie chciała, żeby

poszedł z nami J.D. Zresztą, często dopomina się o to, żeby J.D. nam towarzyszył, gdy gdzieś się udajemy.

- A Stephen? Co on myśli o J.D.? - dociekała Katie.

- Celné pytanie. - Tiffany nie mogła pojąć, czemu nagle stała się taka szczerą wobec sióstr, których praktycznie nie znała. To prawda, traktowały ją bardzo życzliwie i nie kierowały nimi jedynie ciekawość. Wyczuwała, że chętnie by jej pomogły, gdyby o to poprosiła. Ważniejsze chyba jednak było to, że oto miała okazję podzielić się swoimi problemami z kobietami, które zdawały się dobrze ją rozumieć. - Stosunek Stephena do J.D. nie jest jednoznaczny. Z początku traktował go jak wroga. To zrozumiałe, zwłaszcza że po śmierci Philipa został jedynym mężczyzną w domu. Ostatnio zaczęli się dogadywać. Wydaje mi się, że Stephen potrzebuje męskiego wzorca i autorytetu, wchodzi w trudny wiek - dodała Tiffany.

- Zobaczysz, że wszystko się ułoży. - Bliss była pełna optymizmu. - Nie możesz skazywać się na samotność do końca życia. A teraz pozwólcie, że o coś was zapytam. Czy zgodzicie się być moimi druhami na ślubie z Masonem? Planujemy niewielką, cichą uroczystość.

- Jasne - entuzjastycznie zgodziła się Katie. - Czemu nie?

Tiffany nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Czy po pierwszym spotkaniu, choć serdecznym i nieoczekiwanie wypełnionym osobistymi zwierzeniami, mogła wystąpić w roli osoby tak bliskiej pannie młodej? Czy chciała i mogła czuć się jak członek rodziny? Przyrodnie siostry potraktowały ją tak życzliwie, okazały zrozumienie... A jednak były powody, aby odmówić.

- No... sama nie wiem - wybąkała, niezdecydowana.

- Nie musisz dawać mi odpowiedzi natychmiast - zauważyła taktownie Bliss. - Rozumiem twoje wątpliwości. Do dzisiaj żyliśmy z dala od siebie, mało o sobie wiedziałyśmy. Nie będę cię naciskać, ale zapewniam cię, że byłabym szczęśliwa, gdybyś się zgodziła i towarzyszyła mi w tej, tak bardzo dla mnie ważnej, chwili.

- Nie masz przyjaciółek od serca, które chciałabyś zaprosić?

- Owszem, ale mam też dwie przyrodnie siostry. Nie zamierzam usprawiedliwiać postępowania ojca wobec mojej matki, uważam jednak, że czas się pogodzić i zacząć patrzeć w przyszłość, zamiast analizować przeszłość, rozdrapywać zabliznione rany. Cieszę się, że was mam, drogie siostry.

- To nie John ci to podszeptał? - spytała Tiffany, wciąż pełna nieufności wobec człowieka, który jako ojciec zupełnie się nie sprawdził.

- Nawet nie wie, że zamierzałam was o to prosić. Mason zresztą też nie. To mój pomysł.

- Na mnie w każdym razie możesz liczyć - obiecała powtórnie Katie.

Tiffany nadal, mimo wyjaśnień Bliss, wahała się. Potrzebowała trochę czasu na rozeznanie się w swoich odczuciach.

- Przemyszę to - powiedziała w końcu.

- Przemysł i daj mi znać. Do ślubu zostało jeszcze parę tygodni.

- Będzie super - pewnym głosem oświadczyła Katie.

Gdy przyszła kelnerka z rachunkiem, pierwsza sięgnęła po niego Bliss.

- Lunch był na koszt taty.

- Co takiego? - oburzyła się Tiffany.

- Nalegał, i to bardzo.

- Nie zgadzam się. Zawsze płacę za siebie - oznajmiła stanowczo Tiffany. Nie życzyła sobie żadnych podarunków od Johna Cawthorne'a.

- A ja się zgadzam, zaoszczędzę parę dolarów - uśmiechnęła się Katie. - Zresztą i tak muszę już uciekać, spieszę się.

- Ale...

- Daj spokój, niech raz w życiu zapłaci za ciebie ten cholerny rachunek - powiedziała Katie, zarzucając na ramię wypchaną torbę. - Przynajmniej tyle może zrobić.

- Nie musisz go kochać, Tiffany - dodała Bliss. - Nie musisz go nawet lubić. Ale pozwól przynajmniej, że postawi ci lunch.

- Dobrze - uległa Tiffany, nie do końca przekonana. Nie rozmyślała jednak nad tym dłużej, bo miała ważniejsze sprawy na głowie. Pierwsze miejsca na liście zajmowali Stephen i J.D.

J.D. siedział przy stoliku w swoim pokoju i po raz setny czytał zrzeczenie się praw własności do domu, podpisane dłonią Philipa. Kontrakt był nie do podważenia.

Jak ją o tym powiadomić? - zastanawiał się J.D. Znalazł się doprawdy w trudnym położeniu. Miał sobie za złe, że do tej pory nie zaznajomił Tiffany ze stanem prawnym, z faktem, że dom nie należy do niej i dzieci. Był jej winny lojalność, a jednak w tej sprawie nie potrafił zdobyć się na szczerłość. Chciał oszczędzić jej zmartwień, i tak miała ich bez liku z powodu Stephena. Ponadto odczuwał potrzebę chronienia jej, roztoczenia nad nią opieki. Była silna i dzielna, radziła sobie z licznymi obowiązkami, ale zarazem była taka krucha i wrażliwa. Wzbudzała w nim nie tylko pożądanie i namiętność, o tym wiedział od dawna, gdy była dla niego zakazanym owocem. Ostatnio odkrył, że Tiffany budzi w nim czułość. Czyżby się zakochał?

- Psiakrew - mruknął pod nosem, po czym sięgnął po słuchawkę. W pokoju było gorąco i duszno, jak zwykle wieczorem po długim, upalnym dniu. Wystukał znany na pamięć numer i czekał, aż ojciec podejdzie do telefonu.

- Cześć, tato. To ja.

- Cześć, Jay. Co słychać?

- Chcę się wycofać. Rezygnuję z pracy w firmie.

- Żartujesz. Chyba się przesłyszałem.

- To nie żarty.

- Nie przepracowałeś ze mną nawet pół roku.

- Wiem, ale nie podoba mi się ta robota.

- Dlaczego?

- Z wielu powodów. Przede wszystkim w ogóle nie powinienem się godzić na

twoją propozycję. - J.D. zawiesił głos, a potem dodał: - Nie jestem podobny do Philipa, tato.

- Nie musisz mi tego mówić.

- Posłuchaj, tato. Jutro rano wyruszam do Portland. Zamierzam sprzedać swoje akcje, łódź, motor i mieszkanie, żeby spłacić długi Philipa wobec firmy.

- Ale na Boga...

- Tiffany potrzebuje tego domu. Jej dzieci też. Chcę, żeby była wolna i mogła sama o sobie decydować.

- Przecież nie wyrzucam na bruk własnych wnuków - z goryczą powiedział Carlo. - Chciałbym tylko, żeby mieszkały bliżej nas.

- Zapomnij o tym, tato. Tu jest ich dom.

- Nie wiem, co się tam u was dzieje - rzekł z westchnieniem Carlo - ale jeśli ta kobieta zawróciła ci w głowie...

- To co? Co mi chcesz powiedzieć? Że ją zaczniesz szantażować? Że użyjesz argumentów finansowych? Że ją zmusisz, żeby przeniosła się do Portland i żyła na twoim garnuszku?

- A co w tym złego?

- Nic nie rozumiesz, tato. Tiffany stała się osobą niezależną i stanowczą, która postępuje tak, jak sama uzna za stosowne. Ma swoje problemy, ale ma też prawo, żeby je po swojemu rozwiązywać. Nie potrzebuje wyreki ani doradców. Mógłbyś przynajmniej - a to co mówię, dotyczy całej rodziny - zdobyć się na okazanie zaufania.

- Ale...

- Podpisz papiery. Zobaczymy się jutro. Cześć. - J.D. odłożył słuchawkę. Obawiał się, że ojciec natychmiast zatelefonuje i będzie namawiał go na zmianę decyzji, ale, na szczęście, nie zrobił tego. J.D. otworzył okno, aby się ochłodzić. Wychylił się i w tym momencie usłyszał cichą rozmowę, prowadzoną przez dwóch chłopców. Musieli znajdować się w pobliżu wozowni.

- Przysięgam ci, Santini, że jeżeli piśniesz chociaż słówko, to już nie żyjesz -

dobiegło z dołu. Jeden z chłopców podniósł głos.

J.D. wychylił się. Dojrzał Stephena, który wraz z drugim chłopcem, wyższym i starszym, stali pod niedawno umocowanym koszem do gry.

- Nic nikomu nie powiem.
- Szczerze ci radzę. Umowa to umowa.
- Wiem o tym, Miles.

Więc ten niechlujnie ubrany, pryszczaty dryblas z tlenionymi blond pasemkami to słynny Miles Dean! Zdaniem J.D. nie wyglądał zbyt groźnie.

- Uważaj, bo już raz skrewiłeś.
- Ta wpadka... nie była z mojej winy.
- Schowałeś przede mną klucze, ty nędzny krętaczu. Gdybyś mi je dał, tak jak obiecałeś, gliny by ich w życiu nie namierzyły.

- A jakbyś się nie zaczął bić, to by nas wtedy nie zwinęli.
- Nie próbuj podsłakiwać i siedź cicho. Trzymaj się tego, co było ustalone. Wiesz, co będzie, jak jeszcze raz podpadniesz.

J.D. usłyszał wystarczająco dużo. Doskoczył do drzwi, zbiegł po schodach i w ciągu paru sekund był na dole. Wypadł z domu, pędem pokonał trawnik i zanim chłopcy się zorientowali, już był przy nich. Na widok J.D. Miles odwrócił się, żeby odejść.

- Nie tak szybko, kolego - powiedział J.D., przytrzymując go za ramię.
- Puszczaj pan.
- Najpierw załatwimy parę spraw.
- Puść go - poprosił Stephen, wyraźnie wystraszony.
- Chwileczkę, musimy porozmawiać. Przypadkiem usłyszałem waszą rozmowę.

Chłopcy milczeli. W ciszy słyhać było ożywiające się pod wieczór komary.

J.D. zwrócił się do Milesa:

- Dlaczego groziłeś Stephenowi i co wiesz o zniknięciu Wellsa?
- Nic.

- Nie? To po co łąsisz za Stephenem i próbujesz go szantażować? - J.D. wskazał pobladłego bratanka.

- Nie wiem, o czym pan mówi! - warknął Miles.

- Naprawdę? To spróbujemy razem się dowiedzieć. Teraz pójdziesz ze mną grzecznie na policję, a potem zadzwonimy do twojej matki i posłuchamy jej wyjaśnień.

- Nie wolno panu!

- Zobaczymy!

- Nie rób tego! - krzyknął zdesperowany Stephen.

- Dlaczego nie?

- Bo... Bo... - Stephen usiłował przebłagać wzrokiem Milesa, ale ten wyrwał się, korzystając z okazji, że J.D. puścił jego ramię. Przebiegł odległość dzielącą go od płotu, przeskoczył go i znikł w uliczce. J.D. miał początkowo zamiar go gonić, ale zrezygnował.

- Kto cię prosił, żebyś się wtrącał? - spytał Stephen, bliski łez. - To nie twoje sprawy.

- Skoro twoje, to i moje.

- Nie rozumiem.

- Zależy mi na waszej rodzinie. - J.D. nie spuszczał oczu z twarzy chłopca.

- Nie jesteś moim tatą! - wykrzyknął oskarżycielskim tonem Stephen. - To, że Chrissie cię polubiła, nie znaczy jeszcze, że ja też muszę. - Stephen zaperzał się coraz bardziej. - Widziałem was razem, mamę i ciebie! Christina jest mała, nic nie rozumie. Co ona wie o życiu? Wydaje ci się, że to dzięki tobie nie ma już nocnych koszmarów, ale nie jesteś Panem Bogiem. Jak stąd wyjedziesz, wszystko się zacznie od nowa i będzie tak samo źle, jak było. - W oczach chłopca płonęło wyzwanie.

J.D. speszył się. Stephen miał rację. Christina bardzo się do niego przywiązała. Z pewnością, kiedy on odjedzie, a ma to nastąpić jutro rano, będzie nieszczęśliwa. Może być jeszcze gorzej, niż przed jego przyjazdem, to fakt.

Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyślał.

- Nie miałem złych intencji. Jestem twoim stryjem, Stephen, jesteśmy jedną rodziną. Kocham was.

- Tere-fere.

- To prawda, synu.

Stephen stał nieruchomo, z zaciśniętymi pięściami i płonącymi oczami. Ale widać było, że sytuacja go przerasta i zbiera mu się na płacz.

- Opowiedz mi teraz wszystko, co wiesz o Wellsie.

- Nie ma nic do opowiadania - uciał chłopiec.

J.D. ujął go za ramię.

- Najlepiej zacznij od początku. Tym razem ma to być prawdziwa wersja.

- Puść mnie! - Stephen od razu się najeżył.

J.D. zwolnił uścisk.

- Przepraszam. Nie chciałem, żebyś mi uciekł, jak ten twój przyjaciel.

- Miles Dean nie jest moim przyjacielem.

J.D. uznał te słowa za obiecujący początek.

- Skoro tak mówisz... Opowiedz mi o Isaacu Wellsie i jego kluczach.

- Nie mogę - upierał się Stephen.

- Możesz, możesz.

- Posłuchaj - cicho powiedział Stephen, przygryzając dolną wargę - ty nic nie zrozumiesz.

- Zaryzykuj.

- Miles mnie zabije - targował się Stephen.

- Miles nikogo nie zabije.

- Ty go nie znasz. Ani jego... ojca.

- Raya Deana? - J.D. nadstawił uszu. - A co on ma do tego?

- Znów się pojawił w mieście. To jest... bardzo zły człowiek.

- Albo opowiesz tę historię mnie, albo policji. - J.D. żał było chłopca, ale postanowił doprowadzić sprawę do końca i ostatecznie wszystko wyjaśnić. Tym

bardziej że zamierzał wyjechać z Bittersweet.

- Ja... nie mogę.

- Dlaczego?

Stephen zaczął się wahać. Niepewnie potarł dłonią łokieć i aż podskoczył ze strachu, gdy w pogoni za ćmą przemknął obok nich Węgielek.

- O Boże!

- Cokolwiek masz do powiedzenia, na pewno się jest to takie straszne.

Stephen obejrzał się przez ramię. W jego szeroko otwartych oczach czaił się paniczny lęk.

- Ty naprawdę nic nie rozumiesz. Gdybym cokolwiek powiedział tobie albo policjantom, oni wtedy zrobią krzywdę mamie i Chrissie.

Te słowa zelektryzowały J.D.

- Kto? Kto chce je skrzywdzić?

- Nikt.

- Posłuchaj mnie uważnie, Stephen. - J.D. złapał go za ramiona i mocno potrząsnął. - Nieważne, w co jesteś wciągnięty i co się zdarzyło. Obiecuję, że ci pomogę. Rozumiesz to? - Gdy chłopiec nie odpowiadał, tylko stał jak słup, ze wzrokiem wbitym w ziemię, J.D. powtórzył: - Dotarło?

- Tak.

- Dobra. No więc o co chodzi? Kto cię straszył, że zabije twoją matkę i siostrę? Stephen z trudem przełknął ślinę. Jego zbielełe wargi drżały.

- Miles - powiedział - i jego ojciec.

- A więc za wszystkim stoi Ray Dean.

- Nie... to znaczy tak... Ojej, co ja zrobiłem. - Chłopiec odgarnął opadające na czoło włosy. - On wyszedł niedawno z więzienia... To on chciał ode mnie kluczy pana Wellsa.

- Po co? - J.D. gorączkowo rozważał sens otrzymanej przed chwilą informacji.

- Nie wiem. - Stephen potrząsnął niepewnie głową. - Dowiedział się, że kiedyś podprowadziłem kluczyki i przejechałem się jednym z tych starych

samochodów. Miles mu o tym powiedział i to on się ze mną założył, że nie zdołam tego zrobić drugi raz. Ale ja zdobyłem klucze, tylko mu ich nie dałem. Powiedziałem, że tym razem mi się nie udało. Postanowiłem, że nie wejść z nimi w spółkę i dlatego zatrzymałem kluczyki. Chciałem je podzucić na miejsce, ale wtedy pan Wells zniknął i...

- I co? - nie dał mu przerwać J.D. Teraz za wszelką cenę musiał wydobyć z chłopca całą prawdę.

- I ukryłem je. Miles się na mnie wściekł i pobił mnie. Powiedział wtedy, że jak nie dam mu kluczy, to jego ojciec zrobi coś złego Chrissie i mamie. A potem złapała mnie policja i... no i wpadłem.

J.D. odsunął Stephena na odległość ramienia i spojrzał mu prosto w oczy. Czuł, jak mocno jest związany z tym chłopcem.

- Posłuchaj, synu - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Najwyższy czas, żebyś się ze wszystkiego wyplątał.

Tiffany ze śpiącą Christiną w ramionach wróciła do domu, ale zastała drzwi zamknięte.

- Co się dzieje? - powiedziała na głos, próbując wydostać klucze z przepastnej torby. Stephen od dawna powinien być już w domu, tak samo jak J.D., który nie miał zwyczaju wracać zbyt późno. Zerknęła na podjazd, ale nie spostrzegła dżipa. No i dobrze, pomyślała, nie będę musiała rozmawiać z J.D. Potrzebowała czasu i samotności na uporządkowanie myśli.

Christina ziewnęła i otworzyła oczy.

- Jesteśmy już w domu, kochanie - szepnęła Tiffany, której nareszcie udało się wyciągnąć klucze i otworzyć zamek. - Stephen? - zawołała. Odpowiedzią była cisza. - No, ładnie - mruknęła i sprawdziła, czy na kuchennym stole nie ma kartki z informacją. Niczego nie było. Tylko bez paniki, powiedziała sobie w duchu, nieobecność chłopca na pewno wkrótce się wyjaśni.

- Pójdziemy spać, moje maleństwo - zwróciła się do Christiny.

Tym razem dziewczynka nie protestowała. Była naprawdę zmęczona. Po dwudziestu minutach, umyta i przebrana w piżamę, już spała smacznie w swoim łóżeczku.

Tiffany nie chciała siedzieć sama w opustoszałym domu. Wyszła do ogrodu i skierowała się do mieszkania pani Ellingsworth. Zastukała i drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Ellie miała na głowie lokówki, a na twarzy pozbawionej makijażu warstwę kremu.

- Przepraszam, szukam Stephena - powiedziała Tiffany.

- A nie ma go w domu? - Ellie zmarszczyła brwi.

- Nie ma.

- Ale był. Przyszedł razem z tym chłopakiem, co to nie mogę zapamiętać, jak się nazywa. Wiesz, z tym dryblasem.

- Z Milesem Deanem? - zdenerwowała się Tiffany.

- Tak, starszy syn Deanów - kiwnęła głową Ellie. - Zawsze ich mylę. Tak czy inaczej, był tu ze Stephenem. Widziałam ich przez okno. - Mimo iż mieszkanie znajdowało się nisko, przez szybę wpadało dość dziennego światła. - Aha, jeszcze jedno - Ellie pstryknęła palcami - przed nimi wrócił J.D. Słyszałam motor jego dżipa.

- Tak? To dziwne, bo teraz samochodu nie ma.

- Wobec tego musiał znowu pojechać do miasteczka.

Tiffany, zaniepokojona tym, co usłyszała od starszej pani, pożegnała się i wróciła do domu. Na werandzie dostrzegła Luke'a Gatesa.

- Dobry wieczór - powitał ją z lekkim uśmiechem.

- Cześć, Luke. Nie widziałeś gdzieś mojego syna?

- Widziałem. - Luke kiwnął głową. - Wcześniej. Z J.D. i tym przyszczatym gnojkiem, co się tu kręci.

- Z Milesem? - upewniła się Tiffany. Nie rozumiała, co J.D. robił w towarzystwie chłopców. Co się mogło stać? Lęk ścisnął jej serce.

- Nie wiem, jak się nazywa. Najpierw ich zauważyłem, a potem usłyszałem,

jak ktoś zapala silnik dżipa.

- Dzięki.

- Zawsze do usług.

Gdy Luke odjechał, Tiffany weszła do domu. Coraz bardziej się denerwowała. Żeby się trochę uspokoić, zajrzała do śpiącej Christiny, a potem do pokoju Stephena. Panował w nim znacznie mniejszy bałagan niż zazwyczaj. Ze wzruszeniem pogłaskała drewniany samochodzik, którym Stephen bawił się w wyścigi jeszcze za życia Philipa. Przeszukała biurko, licząc na to, że może zostawił kartkę z informacją, ale nie znalazła żadnej. Po wyjściu z pokoju Stephena minęła uchylone drzwi na drugie piętro. Z poczuciem winy, że narusza cudzą prywatność, weszła na schody i przez szeroko otwarte drzwi zajrzała do pokoju J.D. Zobaczyła jego podróżny worek, całkowicie spakowany. Zatem wyjeżdża, tak po prostu, i to zaledwie dzień po tym, gdy tak namiętnie się kochali.

Choć Tiffany była na to przygotowana, serce ścisnęło jej się z żalu. Ale czyż miała prawo oczekiwać czegoś innego? Weszła do środka i skierowała się do okna, żeby spojrzeć na ciemniejące na tle jasnego granatu nocy drzewa. Jej uwagę przykuły leżące na stole dokumenty.

Nie wolno mi tam zaglądać, skarciła się w duchu, ale ciekawość zwyciężyła. Drżącymi palcami przewracała kolejne strony, uważnie wczytując się w ich treść. Stopniowo zaczynała rozumieć, po co J.D. Santini przybył do Bittersweet. Nie po to, by kupić ziemię pod winnicę. Nie po to, by odwiedzić bratanków i nawet nie po to, żeby szpiegować i donosić na nią ojcu. Przyjechał, żeby sprawdzić, w jakim stanie jest stary wiktoriański dom, i czy warto, by Carlo Santini w niego inwestował. W dom, który uważała za swój azyl.

Jak się okazuje, zupełnie niesłusznie, bo wcale do niej nie należał.

Prawnym właścicielem budynku była firma Bracia Santini. Philip rzekł się prawie wszystkiego, co uważała dotąd za swój spadek. To, co jej zostawił, nie było warte wzmianki. A zadaniem J.D. miało być powiadomienie jej o tym, tyle

że stchórzył.

I co ona teraz pocznie? Gdzie się podzieje wraz z dziećmi?

Nie potrafiła pohamować łez. Przestała płakać, gdy usłyszała odgłos nadjeżdżającego samochodu. Wyjrzała przez okno i rozpoznała sylwetkę dziopa. Jej dłonie zacisnęły się na kartkach kontraktu. Z najwyższym wysiłkiem wprawiła w ruch nogi, ciężkie jak z ołowiu. Postanowiła, że nie będzie na nic czekać i raz na zawsze zakończy swą rozgrywkę z J.D.

ROZDZIAŁ 12

Jak ci się wydaje, kim ty jesteś?! - krzyczała Tiffany, biegnąc przez wyschnięty trawnik. Oczy jej błyszczały, twarz płonęła, a ślicznie wykrojone wargi zaciśnięte były w surową, wąską kreskę. Czarne loki podskakiwały gwałtownie, gdy unosiła głowę, wygrażając J.D. trzymanymi w dłoni papierami.

Nie miał złudzeń. Zrozumiał, że odnalazła to, co za wszelką cenę chciał przed nią ukryć. Wskoczył z samochodu. Zaskoczony Stephen pozostał w szoferce, nie wiedząc, jak powinien zareagować na zachowanie matki.

- Mamo... - zaczął.

- Do domu, Stephen, ale już! - zakomenderowała nie znoszącym sprzeciwu tonem.

- Ale...

- Żadnych „ale”! Słyszałeś, co powiedziałam?! - Była tak wściekła, że cała drżała. - Muszę się nareszcie rozmówić z twoim stryjem.

- Ale myśmy już wszystko załatwili - zapewnił pospiesznie Stephen.

- O czym ty mówisz?

- Byliśmy na policji...

- Mama nie ma na myśli sprawy Wellsa - wyjaśnił chłopcu J.D.

Tiffany cofnęła się o krok, przestraszona. Zapomniała o swoim gniewie.

- O czym wy mówicie? - spytała.

- A o czym ty mówisz? - Stephen odpowiedział pytaniem napytanie.

- Myślę, że lepiej będzie, kiedy wszyscy usiadziemy spokojnie za stołem. - J.D. ujął Tiffany pod ramię, bo wyglądała, jakby za chwilę miała zemdleć. Odsunęła się ze wstrętem, jak od trędowatego.

- Wyjaśnijcie mi od razu, o co tu chodzi.

- Stephen rozmawiał z sierżantem Pearsonem.

- O Boże! - Głos jej się załamał. Tiffany wypuściła trzymane w ręku papiery. Rozsypały się na ziemi.

- Już wszystko dobrze, mamie - uspokajał ją Stephen.

- Dobrze?

- Na posterunku Stephen powiedział wszystko. Wyjaśnił, dlaczego zachowywał się tak, a nie inaczej, i o co chodziło z kluczami starego Wellsa - powiedział J.D. Pochylił się i pozbierał z trawy luźne kartki. - Założę się, że Ray Dean i jego syn już siedzą w areszcie.

- Ray Dean? - powtórzyła machinalnie Tiffany. - A co on ma z tym wspólnego? - Oblizwała nerwowo wargi. - Wiedziałam, że wyszedł z więzienia, ale..., On za tym stoi, tak?

- Na to wygląda.

- O Boże. - Nogi znów się pod nią ugięły.

J.D. objął Tiffany w pól. Tym razem nie zaprotestowała. Zaprowadził ją do kuchni i posadził na krześle.

- Powtórz mamie to, co powiedziałaś sierżantowi i mnie - polecił Stephenowi, gdy już usiedli przy stole. Nalał szklankę wody i postawił ją przed Tiffany. Nie tknęła jej nawet, a on myślał tylko, co by tu jeszcze zrobić, by jej pomóc. Wiadomości o sprawie Wellsa były dobre, pozostawała jednak sprawa własności domu.

- No więc Miles powiedział mi, że jak nie będę robić tego, co mi każe, i jak mu nie oddam kluczyków, to jego stary zrobi ci coś złego, mamie. Skrzywdzi ciebie i Chrissie. - Łzy nabiegły Stephenowi do oczu. - Uznałem, że muszę ich słuchać, bo przecież się wami opiekuję. Nie mogłem pozwolić, żeby wam się coś stało.

- Och, kochanie, naprawdę nie musiałeś...

- Musiałem, mamó. Taty już nie ma, więc kto się ma wami opiekować?

Tiffany wstała, podeszła do syna i mocno go przytuliła. Łzy ściekały jej po twarzy.

- Nie musisz się mną opiekować. To ja siewami opiekuję, bo jesteście moimi dziećmi i kocham was. - Spojrzała na J.D. ponad ramieniem Stephena. - Czuwam nad wszystkim, kochanie - szepnęła synowi do ucha i pocałowała go w czoło.

- Teraz już nie musisz się o nic martwić - powiedział J.D. Przysiadł na krześle, wyciągając przed siebie długie nogi. - Policja zajęła się Deanami. Wyjaśnienie, co się stało z Wellsem, to tylko kwestia czasu. Dzwoniłem do Jarroda Smitha, który od dawna pracuje nad tą sprawą. Moim zdaniem Isaac pojawi się w ciągu paru dni.

- Myślisz, że Ray go gdzieś wywiózł i przetrzymywał?

- To możliwe.

- Ale nie ma pewności?

- Jeszcze nie. - J.D. wstał. - Najważniejsze, że Stephen wyszedł z tej historii cało. To jego zeznanie naprowadziło policję na właściwy ślad. Chłopak ma czystą kartę.

- To najlepsza wiadomość od tygodni - z ulgą westchnęła Tiffany.

- A wszystko dzięki J.D., mamó - powiedział Stephen. W jego głosie dźwięczała troska o stryja i męska solidarność. - Gdyby nie on, nigdy bym się z tego nie wyplątał.

- To prawda? - Tiffany spojrzała na J.D. - Chyba powinnam ci podziękować.

- Tak uważasz? - spytał. Wyciągnął z kieszeni zmięte papiery. Tiffany zeszywniała.

- Słuchaj, synku, chyba powinienes odpocząć, idź do swojego pokoju - zaproponowała Stephenowi. - Mamy ze stryjem jeszcze coś do omówienia.

- Co? - Zaniepokojony chłopak przenosił wzrok z matki na J.D., próbując

cokolwiek z tego zrozumieć. - Chcę wiedzieć.

- To osobista sprawa - powiedziała Tiffany. - Wyjaśnię ci wszystko później.

- Idź, stary. To krótka sprawa, najwyżej na pięć minut - dodał J.D.

Ociągając się, Stephen pchnął wahadłowe drzwi, ale nie wyszedł od razu. Odwrócił się i spytał:

- Czy to ma coś wspólnego ze mną?

- Nie! - odpowiedzieli chórem dorośli.

- To dobrze, bo myślałem, że znowu będę mieć kłopoty - powiedział z ironicznym uśmiechem i wyszedł.

Tiffany milczała, póki nie usłyszała jego kroków na schodach. W chwilę później dom wypełniły stłumione dźwięki gitary.

- Żeby tylko nie obudził Christiny - zatroszczyła się Tiffany. Zrezygnowała jednak ze sprawdzenia, czy córeczka śpi. Najpierw musiała wyjaśnić sprawę praw własności do domu.

- Wytlumaczysz mi wreszcie, co to za dokumenty? - spytała obcesowo.

- Prosta sprawa. Ojciec obarczył mnie niezbyt przyjemną misją. Przyjechałem do Bittersweet, by ci powiedzieć, że ten dom nie należy do ciebie, tylko do rodziny Santinich, Philip musiał go oddać za długi.

- Więc znalazłam się z dziećmi na bruku?

- Nie. - J.D. Przedał papiery na pół, a potem jeszcze raz, i jeszcze, aż zostały z nich małe kawałeczki. - Sprawa jest nieaktualna.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że mój ojciec zmienił zdanie - powiedział, trącając czubkiem buta małe jak konfetti strzępki papieru, zalegające podłogę.

- Nie musiałeś tego robić. Sama bym sobie poradziła. - Tiffany powinna być urażona, a tymczasem ogarnęło ją wzruszenie na myśl, że J.D. wystąpił w obronie jej i dzieci. Może czekała ich w końcu lepsza przyszłość?

- Nie mówmy o tym. Ty i dzieci należycie do rodziny.

- Daj spokój, Jay, nie kłam. To poniża i mnie, i ciebie. Ja nigdy nie będę w

klanie Santinich. Tak zdecydował twój ojciec. To jego wybór, nie mój.

- Mówiłem ci, że teraz wszystko będzie inaczej.

- Wyjeżdżasz, prawda?

- Skoro świt.

- Dlaczego?

- Mam parę spraw do załatwienia.

- Czyżby? A może nie chcesz już na mnie patrzeć i mieć ze mną do czynienia?

- Nie opowiadaj bzdur. Dobrze wiesz, że jest zupełnie inaczej. Przepadłem z kretesem.

- Przepadłeś? Jak mam to rozumieć? - Tiffany nagle zrobiło się gorąco.

- Jak? Bardzo prosto, Tiffany. - J.D. przybliżył się tak, że poczuła zapach jego skóry i wody kolońskiej. - W pewnym momencie zrozumiałem, że już po mnie, że nie mam szans.

- Ja... ja nie wiem, o czym mówisz.

- Próbuję ci, do cholery, powiedzieć, że się w tobie zakochałem od pierwszego wejrzenia. Dalej nie rozumiesz?

- Zakochałeś się? We mnie? - Tiffany nie wierzyła własnym uszom. Chyba się przestyszała. Serce biło jej jak oszalałe. Czy to prawda?

- Tak jest.

- Nie wiem, co mam powiedzieć.

- Nic nie musisz mówić. - J.D. zbierał się, aby pójść na górę, do swojego pokoju. Tiffany schwyciła go za ramię.

- Zaczekaj.

Muskularne ramię napięło się pod dotykiem jej palców.

- Na co?

- Na mnie - wyszeptała z trudem. - Zaczekaj na mnie.

J.D. znieruchomiał.

- Ja cię też kocham, Jay - wyznała ze łzami. - Od dawna cię kocham.

Po chwili milczenia J.D. otoczył Tiffany ramionami. Ona objęła go w pasie

najmocniej, jak mogła. Pocałunek trwał wieczność. Tulili się do siebie jak rozbitkowie ocaleni po długotrwałej walce o życie albo ludzie, którzy odnajdują się po wielu latach wojennej zawieruchy. Gdy wreszcie oderwali się od siebie, J.D. spytał z uśmiechem:

- I co dalej?

- Ożeni się pan ze mną, panie Santini - odpowiedziała z tłumionym śmiechem.

- Pragnę pozostać uczciwą kobietą.

- Nie wiem, czy się uda.

- Spróbuj - rzuciła wyzywająco i roześmiała się, odchylając głowę do tyłu.

Była szczęśliwa.

- Dobrze. Punkt dla ciebie. Jutro jedziemy do Portland, szukamy sędziego pokoju i po południu bierzemy ślub.

- Nie ma mowy. Już raz brałam cichy ślub. Tym razem nie zrezygnuję z całej frajdy. Mój syn musi poprowadzić mnie do ołtarza.... Moja córka będzie rzucać kwiatki przed orszakiem, a siostry będą... - Tiffany zawahała się, zaskoczona własnymi słowami. - Moje siostry też muszą przy tym być.

- A twój ojciec?

Tiffany pomyślała, że skoro rozpocznie nowe życie, powinna ostatecznie pogrzebać przeszłość.

- Zaproszę go. Jak wszystkich innych gości, bez specjalnego wyróżniania. Jeśli będzie chciał przyjść, to dobrze.

- A jeśli nie przyjdzie?

- To jego strata.

J.D. pocałował ją w czoło.

- Mądra dziewczynka. Jesteś pewna, że wiesz, co mówisz?

- Absolutnie.

Tiffany czuła się tak, jakby była na lekkim rauszu. Gdy pozbyła się przytłaczających ją czarnych myśli, od razu odzyskała wigor i radość życia.

- A co będzie z twoją pracą, Jay?

- Już ją rzuciłem. Wydaje mi się, że nawet w tej dziurze prawnik cywilista znalazłby coś do roboty.

- Niewątpliwie.

- Poza tym mam parę dolarów na koncie. Jest jeszcze jedna bardzo ważna sprawa.

- Co takiego?

- Dzieci. Chciałbym je adoptować.

- Przecież jesteście ich stryjem.

- Nie szkodzi. Chciałbym, żeby mnie traktowały jak ojca. Oczywiście, jeśli same zechcą.

- Myślisz, że się z nimi dogadasz? - spytała z powątpiewaniem.

Określił ją, jakby tańczyli walca.

- A nie mówiłem ci już, że w życiu wszystko jest możliwe?

- Mówiłeś - przytaknęła.

- Więc daj mi szansę, Tiffany.

- Już ją masz.

EPILOG

Dwa tygodnie później Tiffany przeglądała się w lustrze. Zakręciła się jak w tańcu, wprawiając w ruch błękitny jedwab.

- Jaka piękna - powiedziała, odwracając zarumienioną twarz do swych sióstr.

- Fantastyczna - kiwnęła głową Katie, ubrana w identyczną kreację.

- Cieszę się, że się wam podobają. - Bliss zagłębiła się w fotel. Były w salonie krawieckim, gdzie zamówiła nie tylko suknię ślubną, ale także stroje dla swych druhen.

Tiffany kwitła, ponieważ nareszcie spełniło się jej dziecinne marzenie. Czuła przynależność do rodziny. Ustalili z J.D. datę ślubu, Tiffany spędzała także coraz więcej czasu z przyrodnimi siostrami, poznając je z każdym dniem lepiej. Dzieci bez oporów zaakceptowały przyszłego męża mamy. Stephen pod wpływem J.D. przestał się włóczyć w podejrzanym towarzystwie, a mała Christina

była w siódmym niebie.

- Dobra, dziewczyny, koniec na dzisiaj - powiedziała Bliss. - Chodźcie, postawię wam mineralną.

- Uważam, że po takim wysiłku zasłużyliśmy co najmniej na dżin z tomikiem
- zażartowała Katie, ściągając suknię. Niebieski jedwab z zaznaczonym szpilkami obrębieniem przekazała w ręce Betty, właścicielki salonu.

- A może spróbujemy zimnego chablis?

- Wspaniale!

Przebrały się i wyszły na ulicę, skapaną w promieniach zachodzącego słońca. Przy chodnikach rosły rozłożyste drzewa; ruch był o tej porze dnia symboliczny.

- Aż nie chce mi się wierzyć, że obie niedługo wyjdziecie za mąż - powiedziała z westchnieniem Katie, gdy zmierzały na parking do postawionego w cieniu dębu mustanga, kabrioletu należącego do Bliss. Dach samochodu był opuszczony, bo pilnował go Oskar, mały kundelek o złocistej sierści. Na widok pani wydał radosny pisk i karnie przeskoczył na tylne siedzenie.

- Nie martw się, i na ciebie przyjdzie kolej - powiedziała Bliss i zajęła miejsce za kierownicą. Tiffany usiadła obok niej, a Katie koło pieska, którego od razu zaczęła drapać za uszami.

- Nie mam zamiaru wychodzić za mąż. Jestem zbyt zajęta.

- Na przykład czym? - Bliss przekręciła kluczyk w stacyjce i uruchomiła silnik zrywnego sportowego wozu.

- Na przykład sprawą Wellsa. Muszę się dowiedzieć, o co chodziło Rayowi Deanowi.

- Nie możesz zostawić tego policji? - spytała Tiffany.

- I przepuścić taką okazję? To jest sensacja na pierwszej stronie!

Wiatr rozwiewał włosy trzech pasażerek mustanga. Tiffany uśmiechnęła się w milczeniu. Tak, życie było naprawdę piękne. Coraz piękniejsze.

- A co tam u twojego nowego lokatora? - zadała sakramentalne pytanie Katie.

- U Luke'a? Nie mam pojęcia. Jak zwykle jest bardzo skryty.

- Ciekawe, dlaczego?
- Sama go spytaj, może ci powie - zasugerowała Tiffany.
- To całkiem niezły pomysł.

Tiffany zobaczyła z daleka swój dom i znów się uśmiechnęła do siebie. Wielkopański gest Carla Santiniego dawał jej, w charakterze wcześniejszego prezentu ślubnego, prawo własności do całej posesji. Carlo nie wziął pieniędzy od J.D., rozpaczliwie próbował zatrzymać go w rodzinnej firmie, ale J.D. już zdecydował, że poszuka sobie czegoś na własną rękę w Bittersweet.

- Mamuuuniu! - wołała już z daleka Christina, która pierwsza zauważyła wóz Bliss na podjeździe. Rzuciła się pędem, a tuż za nią J.D. Już prawie przestał utykać, a w oczach błyszczały mu figlarne ogniki. Oskar wyskoczył z auta i czule oblizał pucułowatą buzię dziewczynki. Christina zachichotała radośnie.

- Dobrze, że w końcu wróciłaś - powiedział J.D., otwierając drzwi przed Tiffany.

- Cieszysz się? A ja myślałam, że pilnowanie małych dziewczynek to twoje ulubione zajęcie - zażartowała z niego.

- Bo tak jest.

W tej chwili na podwórze wjechał zmaltretowany pikap Luke'a Gatesa. Kierowca zaparkował i wolnym, niedbałym ruchem wysunął się z szoferki.

- Skorzystaj z okazji - szepnęła Bliss do Katie. Młodsza z sióstr uzbroiła twarz w szeroki, promienny uśmiech.

- Dzięki za przypomnienie. Nigdy niczego nie przegapiam.

- O czym one mówią? - spytał zdziwiony J.D.

- To historia na dłuższe opowiadanie - uśmiechnęła się Tiffany. J.D. objął ją i Katie ramionami i poprowadził w stronę wysokiego Teksasńczyka. - I nie zdziw się, kiedy w końcu przeczytasz ją w „Obserwatorze”.

- No, no. Z tej Katie jest niezłe ziółko - stwierdził J.D. - Co chce tym razem wyśledzić?

- Sama jeszcze nie wie - powiedziała: Tiffany. Ogarnęła wszystkich wzrokiem

i westchnęła z zadowolenia, że ma wokół siebie tylu kochających, bliskich ludzi.

Susan Crose A FAMILY KIND OF GAL 1998

Przekład: Maria Kalinowska

Harlequin 1999

ISBN 83-7149-749-0